

II/1587/AK

### Informacja o autorze

Urodził się w 1906 roku w Chodowie w osiadłej tu od wieków rodzinie chłopskiej. Gimnazjum w Miechowie. Po odbyciu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim - psychologia i pedagogika - uczył w seminarium nauczycielskim w Siennicy i w Pedagogium w Wilnie.

Podczas okupacji współpracował z Biurem Informacji i Propagandy przy wileńskiej komendzie Armii Krajowej pisząc artykuły i organizując kolportaż.

W Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej reprezentował ludowców, był członkiem Rady, redaktorem pisma "Jednością silni". Organizował sieć terenową i kolportaż.

Aresztowany we wrześniu 1944 roku skazany został na dziesięć lat. Odbywał wyrok w obozach Warkuty. Wrócił do kraju w grudniu 1955 roku.

Po powrocie pracował w ciągu siedemnastu lat w wydawnictwie "Iskry" jako redaktor serii "Wackoło świata". Przetłumaczył kilka książek z rosyjskiego, opracował książkę "Sztuka czytania". Napisał wspomnienia. Brał udział w pracach organizacyjnych sybiraków i zagłerników. Jest ostatnim z żyjących Polaków organizatorów strajku górników w rezerwacji<sup>R</sup> w 1953 roku.

Franciszek Król

II/1856

Wilno - Workuta - Warszawa

1939-1990

Spis rzeczy

1. Z rąk do rąk  
Wilno 1939-1944
2. Więzienie  
Wilno 1944-1945
3. Ajaczejagińskie szachty  
Workuta 1945-1949
4. W Reczlegu  
Workuta 1949-1953
5. Bunt górników  
Workuta 1953
6. Oswobodzenie. Powrót  
Workuta - Warszawa 1954-1955
7. W domu i w kraju. Workuta powróciła  
Warszawa 1955-1990

# Z RAK DO RAK

~~WILNO~~

WILNO

1939 - 1944

Ostatniego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wracaliśmy ze Szczawnicy. O godzinie jedenastej wieczorem wsiedliśmy na Dworcu Wschodnim do pociągu wileńskiego. Tłok niesamowity, gdzie dużo poborowych. Niedogodności podróży łagodni ogólna zycliwość. W Białymstoku wyrwa nas z drzemki ryk syren. Alarm. Ktoś irytuje się, że niepotrzebnie ludzie straszą, przecież to nie wojna. Jedziemy dalej. Niedaleko Grodna pociąg zatrzymuje się w lesie. Kilkunastoletni chłopcy podają przez okno ciężkie metalowe odłamki bomby. Obok toru widać dwie jamy w ziemi o średnicy dwóch-trzech metrów. Ślady bomb. A więc wojna!

Ruszamy dalej, by po kilku minutach zatrzymać się przed Grodnem. Ustawione obok mostu na Niemnie działa przeciwlotnicze biją do przelatujących niewysoko sześciu samolotów. Jeden, trafiony, zakołysał się, zadymił, ale pociągnął dalej.

Za Grodnem widzimy znowu wyrwy w ziemi. Bombardowano tu transport wojskowy idący z Wilna, na szczęście nieskutecznie. Mijamy kolejny eselon z wojskiem. Jesteśmy bardzo opóźnieni, do Wilna dojeżdżamy już w nocy. Na dworcu tłok, dużo poborowych spieszących do swych jednostek, dużo ludzi wraca z wakacyjnych wyjazdów. W zupełnych ciemnościach docieramy do domu. A więc wojna już się toczy. Jesteśmy przygnębieni, prawie nie rozmawiamy. Zmęczeni, zasypiamy szybko mimo czarnych myśli.

Od rana zaczynamy ciężkie, przygnębiające dni w Wilnie. Wiadomości z frontu słe i z każdym dniem gorsze. Kilkakrotnie bombardowano lotnisko na Porubanku. Życie w mieście toczy się prawie normalnie, otwarte sklepy, restauracje, czynne są urzędy. Ludzie są przygnębieni, nasłuchują, szukają wiadomości, są zabiegani, usiłują coś kupić. A już brakuje cukru. Ruszyły szkoły. Żona pracuje w swojej. U nas w pedagogium

2

na drugim roku mniej niż połowa słuchaczy, bardzo mało kandydatów na pierwszy rok. Kilku kolegów, oficerów rezerwy, poszło na front, również i kilku słuchaczy. Zaczynamy jednak naukę.

Trzeciego września wiadomość o przystąpieniu Anglii i Francji do wojny. Ogromna radość. Ale nie zmieniły się doniesienia z frontu. Wiadomości są złe. Niemcy przełamują obronę, pada Kraków, prą na Lwów, pojawiają się pod Warszawą. Sypie się wszystko. A sojusznicy na Zachodzie stoją bezczynnie, rozrzucają ulotki nad Niemcami. Lotnisko na Perubanku znowu było bombardowane. Zaczyna brakować chleba, cukru, mięsa.

Jak grom z nieba spada na miasto przemówienie Mołotowa siedemnastego września i wkroczenie wojsk radzieckich na ziemie polskie. Świat się wali. A po dwu dniach rosyjskie wojska zalały miasto. Ciągną ulicami niekończące się kolumny zmęczonych żołnierzy o ziemistych twarzach, w bitych szynelach. W wielu punktach miasta stanęły czołgi i wysuwają jak żądła lufy karabinów maszynowych. Teraz już brakuje wszystkiego, nawet chleba. Większość sklepów zamknięta.

Wracając z miasta spotykamy kilku kolejarzy, którzy wycofując się przed frontem utknęli za Grodnem. Zmarnowani, rozbici. Zabieramy ich do siebie. Dołącza się jakiś oficer. W domu walą się wszyscy pokotem na podłogę. Rozlega się wkrótce chrapanie i ciężki kaszel. Odpoczywają kilka dni. Żywimy się jakoś razem. Po czterech dniach odjeżdżają ku Warszawie. Dla oficera znaleźliśmy jakieś ubranie, mógł się wybrać w głąb kraju.

Losy naszej szkoły w zawieszeniu. Zachodzę tam codziennie. Wracam kiedyś do domu i zastaję na schodach pod drzwiami do mieszkania żonę i dwu cywilów - jeden Żyd - z opaskami czerwonymi na rękawach i z karabinami w rękach. O co chodzi?

Mają rozkaz pilnować nas i mieszkania do przyjęcia komendanta. Otwieram drzwi, wchodzimy, siadamy w pokoju, czekamy. Po godzinie przy-

3

chodzi oczekiwany komendant w cywilu. Towarzyszy mu dozorca Józef.

- Jakich to pięciu ludzi przechowywaliśmy w mieszkaniu w ubiegłym tygodniu - pyta komendant.

Wyjaśniam, że byli to kolejarze z rozbitego pociągu, których spotkaliśmy błąkających się obok dworca i szukających schronienia. Zabraliśmy ich, a po czterech dniach, gdy odpoczęli, wyjechali do Warszawy. A było ich sześciu.

- To było pięciu czy sześciu? - zwrócił się "komendant" do dozorca. Ten zmieształ się.

No i na tym się skończyło. Zorientowaliśmy się tylko, że to dozorca nas sprzedał. Był to zresztą Rosjanin, tylko nie wiedzieliśmy o tym dotąd. A teraz służył gorliwie swoim. Sporo teraz wypłynęło na miście młodych twarzy w służbach porządkowych na miście. Często byli to Żydzi. Stara policja zniknęła przecież z ulic.

Przeraźliwie smutne nastały teraz dni. Przygnębiała świadomość straszliwej klęski tak nagłej, tak niespodziewanej. Rząd i wódz naczelny uciekli, internowani w Rumunii. Szukano winnych. Krążyły opowieści powracających z frontu o dezorganizacji, o tchórzostwie.

Ulice opustoszały, poszarzały. Wychodzimy z domu tylko z konieczności. W wielu punktach miasta stoją czołgi. Prawdziwa to groza, zwłaszcza gdy za nami przechodzącymi obok obraca się wieżyczka z dwoma karabinami maszynowymi. Spotkałem kiedyś grupkę ludzi rozprawiającą z "sowiecką" w szynelu. Ludzie upierali się, że u nas było lepiej. Z jej wywodów zapamiętałem słowa "my inżyniera, my wracsi", my lekarze, inżynierowie, wypowiedane z programowo dobrotliwym uśmiechem.

Wezwano kiedyś nas - nauczycieli - na zebranie informacyjne. Ustawione przed wejściem do sali dwa czołgi nadały od razu ton. W sali kilkaset osób, w prezydium woźny jednej ze szkół, jakiś robotnik, jakiś inteligent z Warszawy i ... Putrament. Żadnego nauczyciela z Wilna nie było. Wystąpił sowiecki "komandir" Klimow - szarżę trudno było

określić, miał prostokąty na kołnierzu - z agitacyjno-informacyjną przemową, na temat nowych, lepszych warunków dla szkolnictwa. Zrozumieliśmy z jego wywodów nie więcej niż połowę, nie znaliśmy przecież rosyjskiego. Najprzykrzejsze wrażenie zrobiły jednak słowa Putramenta potępiające przedwojenną szkołę i cały układ stosunków w Polsce i zapowiedź, że dopiero teraz otwiera się przed nami jasna przyszłość. Nie zapomnę jego gestu szeroko rozkładanych rąk. Wyszliśmy nie czekając końca. Nie należało w ogóle wybierać się na to spotkanie.

Trzymamy się domu, ograniczamy wychodzenie do najkonieczniejszych potrzeb. A miasto jest bardzo niespokojne. Wciąż jeszcze wracają żołnierze z frontu. Zalewa miasto wielojęzyczna fala uciekinierów z centralnej Polski. Dużo wśród nich Żydów. To zrozumiałe. Często ~~pociągają~~<sup>nie</sup> ulicami długie kolumny wojska. Działa jeszcze poczta, wysyłamy więc listy do przyjaciół w Warszawie i do rodziny pod Krakowem. Przychoǳą nawet odpowiedzi, na szczęście pomyślne, wszyscy nasi bliscy żyją. Pojawiają się trudności z chlebem. Szukamy wciąż wiadomości, informacji, ale więcej jest pogłosek i plotek. Pojawiają się przepowiednie, wyraz oczekiwań i nadziei. A tymczasem zaczęły się aresztowania i wywózki.

W końcu października władze radzieckie przekazują Wilno Litwinom. Litwa Smetonowska - prezydentem jest Smetona - zachowuje ustrój demokratyczny, parlamentarny. Związek Radziecki przekazuje Litwie pas przygraniczny z Wilnem i Nową Wilejką, utrzymuje natomiast bazy wojskowe w kilku miastach. Podobne bazy wojskowe wprowadzone są na Łotwie i w Estonii.

Odczuwamy ogromną ulgę, skończyły się areszty. Podobno nawet ostatniego transportu aresztowanych nie wywieziono, gdyż kolejarze wileńscy zdołali go jakoś zatrzymać.

Litwini dość szybko przejmują władzę, organizują swoją administrację, zamykają polskie instytucje i urzędy. Pojawiają się litewskie

urzędy, policja, sieć sklepów spożywczych, mięsnych i nabiałowych prowadzonych przez centrale spółdzielcze Maistas i Pies<sup>n</sup>ocentras. Życie w mieście jest jednak ciężkie. Wilno jest przepełnione. Kilkanaście tysięcy uchodźców z centralnej Polski i ze wschodnich powiatów. Duża część Polaków, stałych mieszkańców Wilna, straciła pracę. Dużo ludzi jest bez środków do życia, bez grosza. Dopiero częściowa wymiana pieniędzy i pierwsze wypłaty dla zatrudnionych przynoszą pewną poprawę i uspokojenie.

Ruszyły polskie szkoły podstawowe i średnie. Uniwersytet nadal zamknięty. Lokal, pracownie i wszystkie urządzenia naszego pedagogium przejął litewski instytut pedagogiczny. Władze oświatowe zezwoliły na uruchomienie ostatniego kursu dla słuchaczy pedagogium i liceum pedagogicznego. Zostaje zatrudniony jako lektor w wymiarze jedenastu godzin tygodniowo. Otrzymuję za to sto dwadzieścia pięć litów, równoważność stu złotych. ~~Wystarczy to na bardzo skromne przetrwanie.~~ Żona pozostaje bez pracy. Ludzie szukają na wszelkie sposoby zatrudnienia i zarobku, ale z tym jest ciężko. Organizują się nauczyciele. Odbywa się dzięki inicjatywie Lucjana Krawca, starego działacza związkowego, zebranie ogółu nauczycieli w liceum imienia Zygmunta Augusta. Powstają kursy języków obcych. Ja korzystam z książeczek angielskich pożyczonych od kolegi Borowskiego i ucze się samodzielnie. "Tymczasówka" jakos się ułożyła, jest trochę pracy, na chleb wystarcza, lżej będzie czekać do wiosny czy lata, które na pewno przyniesie spodziewane pomyslnie rozstrzygnięcie wojenne.

Litwini dostali Wilno od władzy radzieckiej, płacąc od razu wysoką cenę pełnego uzależnienia, czego dobitnym wyrazem są bazy wojskowe. Na razie nie odczuwają tego bardzo. Starają się zorganizować w "odzyskanej stolicy" normalne życie, a jednocześnie nasycić ją litewskim elementem. Przecież w momencie objęcia przez nich władzy w Wilnie nie

6

było i trzech procent litewskiej ludności. Napływa teraz kilka tysięcy urzędników, pracowników sieci handlowej - maistas, pienocentras, walgis - policjantów i nauczycieli. Przenosi się kilka szkół średnich z internatami. Decydującą rolę gra jednak przeniesienie szkół wyższych, części uniwersytetu z Kowna i instytutu pedagogicznego z Szawel. Oznacza to napływ wielu tysięcy uczniów i studentów litewskich. Daje to razem kilkanaście tysięcy. Trudno jest ~~więc~~ zrobić szybko z Wilna miasto litewskie. Władze dążą jednak usilnie do tego celu. Policjanci litewscy - dobrani specjalnie wysokiego wzrostu chłopcy, wyróżniający się w swych czerwono-granatowych mundurach - "nie rozumieją" po polsku, wydają polecenia tylko po litewsku, wszystkie urzędy, szkoły i inne instytucje mają wyłącznie litewskie szyldy. Zmienia się nazwy ulic na litewskie. Wprowadza się nabożeństwa litewskie w kościołach. Są przypadki napadów litewskich bojówek na polskie nabożeństwa, co powoduje bójki w kościołach. Trudno jest Polakom uzyskać pracę, a przecież tyle jest poszukujących jej dawnych urzędników i nauczycieli, a także uchodźców.

Daje się we znaki <sup>u</sup>sąguma, litewska służba bezpieczeństwa. Są aresztowania polskich działaczy społecznych i politycznych. Widać zorganizowaną, celową działalność litewskich władz do utrudnienia życia Polakom. Bieda zaczyna się dawać we znaki. Wiele tysięcy urzędników i nauczycieli straciło pracę, pojawiły się tysiące uchodźców.

Spółczesność polskie zaczyna się organizować. Powstaje Komitet Pomocy Uchodźcom, w którym działają ofiarnie Ignacy Zagórski, Maria Petrusiewiczowa, prof. Kazimierz Felczar. Udziela się pomocy lekarskiej, pieniężnej, w odzieży, działają bezpłatne stołówki, uruchamia się schroniska dla bezdomnych.

Interesy społeczeństwa polskiego wobec władz litewskich reprezentuje na pół oficjalny Komitet Polski. Przewodniczy mu znany i szanowany adwokat wileński Bronisław Krzyżanowski z zastępcami

7

Aleksander Zwierzyński, Witoldem Staniewiczem i Jerzym  
Dobrzańskim. Wspiera go rada: Ludwik Chmaj, Kazimierz Górski, Ludwik  
Ehrenkreutz, Zygmunt Jundziłł, Lucjan Krawiec, L  
Kulikowski, J Zajmo i inni. Władze litewskie tolerują istnie-  
nie komitetu, liczą się z jego postulatami i opiniami.

Zaczynają działać tajne organizacje o charakterze politycznym i  
wojskowym. Akcja Ludowa, Koła Pułkowe z Optulewiczem, Komisariat  
Rządu ze Światnickim i Wasilewskim, pilsudczycy i ogadnicy z W. Ka-  
mińskim, Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW) z Hauisławem Kornaćkim  
i Witoldem Świerzewskim. Podpułkownik - Jodko (ps. Sulik) i  
major Krzyżanowski (ps. Wesółowski) wysłani z Warszawy organizują  
Służbę Zwycięstwa Polski (SZP), przekształconą później w Związek Wal-  
ki Zbrojnej (ZWZ). Komendant Jodko powołuje doradczą Radę Polityczną,  
w skład której obok niego i Krzyżanowskiego wchodzi ks. dr Świerkow-  
ski, W. Świerzewski (Stron. Narodowe), W. Kamiński i A. Galiński (sa-  
nacja), L. Chmaj (Stron. Ludowe), J. Dobrzański (PPS).

Ukazują się tajne pisma: "Polska w Walce" (red. W. Kamiński), a  
później "Niepodległość" (red. Andruszkiewicz i Dobrzański). Biuro  
Informacji i Propagandy wydaje biuletyn informacyjny w 3000 egz.  
(red. Andruszkiewicz i Dobrzański).

Ożywiło się znacznie polskie środowisko. Życie płynie podwójnym  
nurtem. Potoczne toczy się dość zwykłym trybem - codzienne bytowe  
sprawy, praca, zabiegi, by związać koniec z końcem. Ludzie są przy-  
gnębieni, ograniczają z konieczności swe potrzeby, a znaczna część  
żyje w prawdziwej biedzie. Zaczynają wyprzedawać mniej potrzebne rze-  
czy, co ruchliwi jeżdżą do Kowna, by uzyskać lepsze ceny. Powstają  
sklepy komisowe tłumnie odwiedzane przez Litwinów. Ale to przecież  
tymczasowe warunki, trzeba jakoś przetrwać, przeczekać.

Prawdziwe, istotne sprawy - to wojna, ona rozstrzygnie te poplą-  
tane sprawy ze Związkiem Radzieckim, z Litwą, z łamie hitlerowską

przemoc, pozwoli zorganizować na nowo i lepiej niż dawniej życie kraju i odrodzone państwo. Przecież istnieje na Zachodzie rząd polski, są już początki armii polskiej organizowane przez naczelnego wodza generała Władysława Sikorskiego. Zachowaliśmy ciągłość państwowego bytu. A teraz trzeba przetrwać, zachować jak najwięcej substancji narodowej, ludzi, urządzeń gospodarczych i kulturalnych.

Nie było nam się łatwo. Żona straciła pracę w szkole. Ja uczyłem przedmiotów pedagogicznych garstkę słuchaczy pedagogium i liceum pedagogicznego, których udało się zebrać. Za jedenaście godzin lekcyjnych otrzymywałem 125 litów, co stanowiło równowartość stu złotych. Po opłaceniu mieszkania zostawało 50 litów. Nie wystarczało na życie. Ograniczyliśmy swe potrzeby, zaczęliśmy wyprzedawać mniej potrzebne rzeczy. Podobnie żyli nasi znajomi.

Obracaliśmy się w gronie najbliższych kolegów szkolnych: Kowmas, Krawiec, Mroszczyk, Borowski, Arcimowicz, Pelcowa, Swianiewiczówna, Walczakowa, Bydalscy. Odwiedzaliśmy się, przekazywali sobie wiadomości, deliberowaliśmy nad bieżącymi wydarzeniami, nad oczekiwaniami. Kilkakrotnie odwiedziłem żonę kierownika dawnej szkoły świeżej, panią Walczakową, która żyła z małym synkiem, zagubiona. Mąż jej, oficer rezerwy, nie wrócił z kampanii wrześniowej. W styczniu czterdziestego roku otrzymała od niego pocztówkę ze Starebielska. Miał nadzieję na szybki powrót. Kiedy potwierdził tę nadzieję w kolejnych dwa krótkich listach, wrażliwa i uczuciowa niewiasta zaczęła gotować obiady na dwie osoby, chciała przyjąć wracającego męża gorącym posiłkiem. Ale od marca nie otrzymała już żadnej wiadomości.

Późną jesienią wrócił mąż koleżanki żony, Bydalski. Opowiadał, jak szarpał się ze swoim taborem trzydziestu furmanek wyładowanych amunicją do armat, poganiany z miejsca na miejsce przez niemieckie samoloty. A potem jak już przebrany przedsięwziął się przez salaną

9

wojskami sowieckimi Białostoczną i Nowogródczą w stronę Łdy i Wilna, jak dzięki kolejarom i własnej przemyślności wymykał się Rosjanom z rąk.

Wracali i inni, opowiadali o swych wrzesniowych bojach. Były to jakieś epizody, drobne utarczki i ciągłe cofanie się w coraz większym bezładzie. Mówiono o braku dobrego dowództwa, o przypadkach zwykłego tohórzostwa. I o miążdzącej przewadze czołgów i niemieckiego lotnictwa. A ze wschodu zdradziecki nóż w plecy.

Co teraz będzie? Wszystkie myśli biegły na Zachód, gdzie powstał nowy rząd polski, gdzie organizowała się polska armia. Gdzie stały potężne armie sojuszników. Nie ruszyli się we wrzesniu, uderzą na wiosnę.

Tymczasem Sowiety uderzyły w końcu listopada na Finlandię. Nie pomogło oburzenie całego świata ani bohaterski opór, po czterech miesiącach Finlandia musiała podpisać w marcu czterdziestego roku pokój, tracąc ziemię na południu i północy.

Dziesiątego kwietnia kolejny wstrząs: Niemcy uderzyły zdradziecko na Norwegię. Daremne próby niesienia pomocy ze strony aliantów. Boje naszej karpackiej brygady w Narwiku. Wycofanie się.

Miesiąc później rozpoczęły się walki na Zachodzie, ale to nie alianci uderzyli, to Niemcy zajęli po kilkudniowych walkach Holandię i Belgię, i ruszyli na Francję. Tu napotkają - sądziliśmy - wreszcie należyty odpór równych liczbą, a przeważających techniką, a zwłaszcza samolotami, wojsk francuskich i angielskich. Są tam też i nasze oddziały.

Niestety, nie było w te wiosenne dni czterdziestego roku dobrych wiadomości. Klęska szła za klęską, nawet linia Maginota została przełamana. Francuzi nie chcą się bić. Legendarny bohater z pierwszej zwycięskiej wojny, marszałek Pétain, podpisuje w Compiègne zawieszenie broni w tym samym wagonie, w którym kapitulowali cesarscy genera-

10

żowie w 1918 roku. Anglicy wycofują resztki swych wojsk ekspedycyjnych przez Dunkierkę.

Świat runął w grasy, przysły nasze nadzieje, zawiodły rachuby. Ogarnia nas rozpacz. Trudno się pozbierać. Ale przecież Anglia trwa w walce. Podnosi głos z Anglii generał de Gaulle, wzywa Francuzów do dalszej walki. Przeniosły się do Anglii resztki polskich wojsk, polscy lotnicy, jest tam rząd polski. A więc to jeszcze nie koniec. Ale jakże oddalił się ten koniec wojny!

Dobiegają końca nasze szkolne zajęcia. W końcu czerwca odbywają się egzaminy i oto wypuszczamy ostatnią grupę polskich nauczycieli. Komisji egzaminacyjnej przewodniczy dyrektor Instytutu Pedagogicznego dr Marcinkus, pedagog, patriota litewski, ale nie zaślepiony szowinizmem. W ostatnim dniu egzaminów słyszemy dochodzący z ulicy niarowy tupot nóg, szczeł i jaseot żelastwa. To kolumny radzieckich wojsk, czołgów i artylerii wkraczają do Wilna. Dogorywa demokratyczna republika litewska. Obaj zdajemy sobie z tego sprawę. Dyrektor, człowiek prawdziwie twardy, jest załamany. Podpisujemy ostatnie dokumenty, żegnamy się mocnym uściskiem dłoni.

Kolejne wydarzenia szybko ustalają nowy porządek rzeczy: nowy, komunistyczny rząd Paleckisa przeprowadza "wybory", nowy litewski parlament "uchwala" stworzenie Litewskiej Socjalistycznej Republiki Rad, Rada Najwyższa ZSRR przyjmuje trzeciego sierpnia czterdziestego roku Republikę Litewską w skład Związku Radzieckiego. W tych dniach dyrektor Marcinkus odbiera sobie życie. Z tą nową odmianą losu znaleźliśmy się w Litwie radzieckiej.

Litwa radziecka! Znowu wszystko zawirowało. W mieście dużo wojska. Na ulicy coraz częściej słyszy się język rosyjski. Czerwone flagi, czerwone gwiazdy opanowują ulice. Pustoszeją i zamykają się większe prywatne sklepy. Pojawiają się rosyjskie gazety. Jest też

11

czerwony polski "Kurier Wileński". Pogłębiło się nasze przygnębienie. Odczuwamy teraz ciężką łapę Moskwy i NKWD. Chwilowo jednak ulżyło się trochę i łatwiej teraz Polakom uzyskać pracę.

W lipcu odnajdliśmy dwa pokoje trzyosobowej rodzinie uchodźców z Warszawy, sami ograniczyliśmy się do jednego. Aleksander Haftka, człowiek wykształcony i w świecie bywały, był działaczem żydowskim, redaktorem miesięcznika "Żydzi w Polsce Odrodzonej". Zamierzał wyjechać z rodziną - żoną i sześciolletnią córką - do Stanów Zjednoczonych. Często wyjeżdżał do Kowna, gdzie wciąż jeszcze nieściły się władze centralne, a także konsulaty - angielski i amerykański. Często przychodzili też do Haftków inni Żydzi, uchodźcy. Naradzali się nad możliwościami wyjazdu do Ameryki, czynili starania u władz radzieckich i amerykańskich. Dużo rozmawialiśmy wtedy o sprawach polskich, o Palestynie i sprawach żydowskich, o wojnie.

Ważnym wydarzeniem tego lata była niemiecka ofensywa powietrzna przeciw Anglii. Śledziliśmy uważnie jej przebieg, ciesząc się wiadomościami o wyczynach polskich lotników. Bitwa o Anglię została na szczęście wygrana. To pierwsze niepowodzenie Hitlera w długim paśmie sukcesów podniosło nas na duchu.

Bardzo ciekawym wydarzeniem były zapisy do szkół na nowy rok szkolny. Zwołano w tym celu zebranie nauczycieli, którzy mieli je przeprowadzić. Zebranie prowadził Jedrychowski, zapowiedział, że szkoły będą zorganizowane na zasadach narodowościowych. Podstawą ma być deklaracja rodziców przy zapisie. Zapisy zostaną przeprowadzone następnego dnia. Przyjęto zgłoszenia nauczycieli do tych prac, stworzono komisje i rozdzielono rejony. Na drugi dzień nasza komisja, obejmująca rejony ulic Piłsudskiego, Rydzki Śmigłego i Wiwulskiego, rozpoczęła pracę od rana. Do godziny jedenastej zapisaliśmy ponad trzysta dzieci do szkoły polskiej i czworo do szkoły litewskiej. Zajrzał wtedy ktoś z polskich komunistów, bodaj Stec, a po dwunastej polecono

12

nam przerwać zapisy. Okazało się bowiem, że w stolicy radzieckiej Litwy siedemdziesiąt kilka procent dzieci rodzice zgłosili do szkół polskich. Nie dowiedzieliśmy się, ile dzieci zgłoszono do szkół litewskich, podobno niecałe dziewięć procent. Tego "skandalu" nie należało oczywiście rozgłaszać.

Wczesną jesienią rozmieszczono w naszym domu lotników radzieckich. Duży trzypiętrowy dom mieścił kilkadziesiąt trzy- i czteropokojowych mieszkań. Do każdego przydzielono lotnika z rodziną. Odtąd wojskowy autobus zabierał codziennie rano czterdziestkę lotników i odwoził ich na Perubanek, na lotnisko.

Do nas trafił podoficer Piotr Kozłow. Pewnego popołudnia przyszedł niosąc pod pachą różkę polowe, a towarzyszący mu major dźwigał jego tobole z rzeczami. Dziwna była dla nas ta ich komitywa. Po paru dniach przyjechała żona Kozłowa z dużą drewnianą skrzynią zbitą z desek i z trojgiem dzieci w wieku od dwu do ośmiu lat - Marusia z Anią, Kolą i Zoją. Byliśmy teraz w komplecie. Wróciliśmy do swej naszej sypialni, Haftkowie zostali w dużym środkowym pokoju, Rosjanie gnietli się w piątce w moim pokoju do pracy o powierzchni trzynastu, czternastu metrów.

Bez słowa protestu przyjęliśmy nowe urządzenie losu. Wszyscy wykazywali dużo dobrej woli i nasze życie potoczyło się w tej ciszynie zgodnie. Obserwowaliśmy się wzajemnie z ciekawością, byli to przecież Rosjanie ze środkowych rejonów kraju, znad Wolgi. Marusia i Pietia - tak ich później nazywaliśmy - pochodzili ze wsi, z kółchozu, mieli zaledwie podstawowe wykształcenie. Marusia miała jedną spódnicę, przenoszoną już jesienką i czerwony beret na głowę. Po tych czerwonych beretach poznawaliśmy Rosjanki na mieście. Był nawet złośliwy żart na ten temat: (i wszy muszą mieć swój "kрасnyj ugołok"). I kuchenne wyposażenie miała Marusia bardzo skromne. Głównym naczyniem była żelazna polewana w środku rynienka, w której codziennie

podsmażała na oleju kartofle i kiszoną kapustę. Był to podstawowy i ulubiony posiłek na śniadanie i obiad. Żyli więc bardzo skromnie, skromne zapewne pobory podoficera zawodowego z trudem starczały na pięciuosobową rodzinę.

I my żyliśmy skromnie, jeszcze skromniej. Trzeba było wyprzedawać się, poszedł dywan, stół, narty ... Podobnie ciężko żyło się większości polskiego społeczeństwa, a w najgorszej sytuacji byli uchodźcy.

Wiadomości z szerszego świata nie były optymalne. Anglia ponosiła dotkliwe straty w walce o Atlantyk. Niemcy umacniali się na Bałkanach, zawierając pakt przyjazny z Rumunią, Bułgarią i Węgrami. Włochy zajęli Somalię, Sudan, uderzyli z Irbil na Egipt, a niebawem przekroczyli granice Albanii i rozpoczęli wojnę z Grecją. Japonia przystąpiła do paktu z Niemcami i Włochami.

Pewnego dnia, w sobotę, dostałem wezwanie do NKWD. Bardzo nas zaniepokoiło to wezwanie do jaskini lwa. Czy wrócić stamtąd? A może dla pewności przysnąć? Ale wtedy trzeba by już całkowicie przejść na nielegalny żywot i ciągle ukrywać się. Całą niedzielę trwały narady i namysły. Zdecydowałem się jednak posłuchać wezwania. Przecież gdyby mnie chcieli aresztować, to przyszliby do domu, a nie wysyłałiby wezwania.

W poniedziałek zgłosiłem się więc do biura przepustek, skąd dyskusyjny enkawudysta poprowadził mnie schodami i korytarzami do oficera śledczego. Ten przeprowadził ze mną wywiad w sprawie mojego kolegi z pedagogium Lucjana Krawca. Na tego najwybitniejszego wśród nauczycieli działacza zwrócili uwagę Litwini i aresztowali go jeszcze na czasów Smetany. Opisałem jego robotnicze pochodzenie, trudne przebijanie się o własnych siłach, solidną pracę w szkole, słowem "wydałem mu bardzo pozytywną opinię". Sam oficer śledczy wyprowadził mnie po wszystkim do wyjścia. Odwiedziłem zaraz żonę Lucjana infor-

mując ją o wszystkim i zapowiadając zwolnienie męża w krótkim czasie. Tak się też stało. W tydzień później byliśmy u pani Krawiecowej. Rozmowę przerwała nam mieszkająca u niej młoda Litwinka wbiegając z krzykiem: Pan wrócił! Radość była ogromna, tylko trzyletnia Marynka nie chciała się przyznać do zarośniętego, wyniszczanego ojca.

W tym też czasie dowiedzieliśmy się, że w Wilnie mieszka siostra Feliksa Dzierżyńskiego. Odnaleźliśmy ją. Moja żona odnawia<sup>T</sup> znajomość, pracowała z nią niegdyś w jednej szkole, gdzie pani Aldona była sekretarką. Dziś mieszka z drugim mężem - podobno to była pierwsza młodzieńcza miłość - w Wilnie. Państwo Kojałowiczowie, staruszkowie, żyją jak para gołąbków w ciepłutkiej serdeczności. Władze radzieckie odnoszą się do siostry "wielkiego Feliksa" z ogromną atencją. Pani Aldona, piękny typ polskiej matrony, pozwala z rzadka na jakieś oficjalne odwiedziny. Oddaje też - na gorące prośby - część listów, jakie Feliks do niej pisał. Była bowiem jedynym członkiem rodziny, który utrzymywał z nim kontakt. Dla innych Feliks nie istniał, nie mówiło się o nim w domu. Panią Aldonę nachodzono często z prośbą o pomoc. Nie odmawiała. Jej interwencje u władz były długo skuteczne. Wreszcie któryś z wysokich dygnitarzy sowieckich zrobił jej uwagę odmawiając i przestrzegając: "Sibir u nas szirokaja". "Syberię znam i nie boję się jej, opowiadał mi o niej dziadek zesłany przez cara" - odpowiedziała.

Ciągnęła się nam nieznośnie ta ciężka zima. W lutym wyjechali wreszcie Haftkowie, wyruszyli przez Syberię do Władywostoku i dalej przez Japonię do Stanów Zjednoczonych. Haftka z żalem opuszczał Wilno, z zazdrością patrzył, że ja zostaję na swojej ziemi, podczas gdy on wyrusza na obczyznę, na niepewne. "A Warszawy nie zapomnę, niechby mi wtedy ręka uschła" - użył starego, żydowskiego zaklęcia. Uścianał mi dzień i wszedł do wagonu, który wydał mi się jakiś ogrom-

ny.

Pietia z Marusią zajęli teraz dwa pokoje, a my ten trzeci. Ozwoliliśmy się jakoś z naszymi gośćmi, zaczynamy lepiej rozumieć język rosyjski, zaczynamy rozmawiać. Niezawsze się rozumieliśmy. Zaczęło się kiedyś od sprawy zaufania. Koszów zdecydowanie twierdził, że nikomu nie można ufać. Oponowałem, twierdząc, że można, jeśli się kogoś dobrze zna. Pietia kategorycznie zaprzeczył. Ani żonie, ani dobremu przyjacielowi? Ani najlepszemu przyjacielowi, bo nigdy nie wiadomo, czy on się nie zmieni, nie zdradzi. Upór Pieti był tak kategoryczny, że wreszcie zrozumiałem jego intencję; chciał mi dać dobrą radę, przestrzec. Przypomniałem sobie jego przestrogi trzy lata później, w więzieniu.

Wiosna nie przyniosła dobrych wiadomości. Anglia ponosi wciąż ogromne straty na Atlantyku. W Afryce Rommel posuwa się ku Egiptowi, zajmuje Cyrenaikę - prócz Tebruku, gdzie broni się załoga polsko-australijaska. Anglicy i Francuzi - zwolennicy de Gaulle'a - opanowują Bliski Wschód. W kwietniu pada po dwutygodniowych walkach Jugosławia, a potem Grecja i Kreta.

W Wilnie robi się jakoś ciasno. Zdarzają się aresztowania. Zbliża się pierwszy maja. Gzynione są ogromne przygotowania. Są próbne pochody, ulice toną w czerwieni i w gwiazdach. Przedsięwzięte wielkie ostrożności, choć ludzie są bardzo wystraszeni i potulni. Obserwowaliśmy z daleka, z Góry Boufałowej, pochód pierwszomajowy na ulicy Mickiewicza, dziś Giedymina. Dużo wojska. Na jezdni przed trybunami cztery szeregi żołnierzy ustawione wzdłuż ulicy. Kolejne grupy pochodu wchodzi w te kleszcze i wśród nich posuwają się dalej. Przed samymi trybunami silny głos wznosi przez megafon okrzyki, na które chórem odpowiadają defilująca oddziały.

- Towarzyszcze Stalinu! - Ura!!!

- Towarzyszcze Mołotowu! - Ura!!!

I tak dalej. Niektóre grupy śpiewają "Sziroka strana maja radnaja" i inne pieśni rosyjskie. Na ulicach jest jednak mało ludzi, kto może, siedzi w domu.

40/41

Wieża święta przeminęły prędko, zaczęły się natomiast areszty na ogromną skalę i masowe wywózki. Wilno zostało otoczone kordonem wojsk, nie było więc mowy o wydobyciu się z miasta i ukryciu się gdzieś na wsi. Wszyscy czekali zrezygnowani na swoją kolej. Wpadaliśmy na krótko do znajomych, by dowiedzieć się jakichś szczegółów. Poznaliśmy wkrótce, jak się to odbywa. Przychodzą żołnierze NKWD (~~niewiarygodnie~~ ~~niebieskie czapki~~) i dają godzinę czasu na spakowanie się. Można zabrać jedną walizkę czy torebkę na osobę. Zbierają wtedy na ciężarówkę i wywożą. Krótkie narady, co przede wszystkim warto zabrać. Według informacji dawniej wywiezionych trzeba zabrać ubrania, buty, sprzęt kuchenny; noże, garnki, patelnię. Z Lucjanem ustalamy, że trzeba wziąć choć jedną książkę. Jaką? "Pana Tadeusza".

Minał maj, jest połowa czerwca. Wychodzimy raz na Górę Boufałową, skąd widać dobrze fragment ulicy Mickiewicza. W ciągu krótkiego czasu przejechało ze dwadzieścia ciężarówek, a na każdej kilkoro ludzi siedzących przy swoich torebkach. Strzegą ich uzbrojeni enkawudysty. Straszne. Po południu odwiedziliśmy znów kilka domów. Kownasowie i Wroszczykowie na Zakrecie są. Krawiecowie i Chmielewscy na Bernardyńskim Zaułku też jeszcze są. Wracamy do domu zgnębieni i bezradni.

Nie rozmawiamy na ten temat z Marusią i Pietią. Pewnego razu sześćdziesięcioletni Kola mówi do żony: - "A kagda was wozmut, tagda wsio budiet nasze". To z pewnością odbitka tego, o czym mówią z sobą jego rodzice. Przypomniała mi się wtedy chwila sprzed dwu miesięcy, kiedy w rozmowie o uczciwości Pietia gorąco deklamował: Kiedy na ulicy będzie leżeć pięć tysięcy rubli, kiedy przejdzie koło nich pięć tysięcy ludzi i nikt ich nie ruszy, to będą to uczciwi ludzie. Nie na długo - jak się okazuje - wystarczyło tej pryncypialnej uczciwości.

17

Wieczorem Pietia przyniósł butelkę wódki i zaczął pić. Był przygnębiony. Na drugi dzień Marusia mówiła o tym, że Niemcy rozmieścili dużo wojsk nad granicą. Na pytanie - po co - odpowiedzieli, że przywieźli wojsko na odpoczynek. To Rosjanie też podciągnęli swoje wojska mówiąc, że będą tych Niemców ochraniać.

Dwudziestego drugiego czerwca około godziny ósmej posłyszeliśmy odległe detonacje z południowej strony. Wyglądamy oknem. Z wysokości naszego trzeciego piętra widać wyraźnie pikujące samoloty, a potem słyszeć silne detonacje. To lotnisko na Porubanku. Marusia wyraża przypuszczenie, że to chyba ćwiczenia. Ale na podwórzu rozlega się głośny lament kobiety. Marusia zbiega na dół i wraca po chwili: wojna!

Uderza w nas ta wiadomość i niespodziewana, i trochę oczekiwana. Pierwsze refleksje. Z naszego punktu widzenia to wydarzenie pomyślne. Pozostajemy na zewnątrz spokojni. Kręcą się natomiast i snują zaniepokojone Rosjanki, żony lotników. Późnym popołudniem przyjeżdża wojskowy autokar i po godzinie odjeżdża, zabierając Rosjanki z dziećmi. Ledwie zdążyły się spakować. Wieczorem mieszkanie było już puste, zostaliśmy sami.

Po trzech dniach Niemcy byli w Wilnie. Nie było wielkich mas wojska. Widziało się nieduże oddziały, dużo aut różnego typu, trochę czołgów. Tak od 25 czerwca 1941 roku rozpoczęliśmy w Wilnie okupację niemiecką.

Pierwsze dni przyniosły ulgę, skończyły się kosztowne masowe areszty i wywózka prowadzona przez NKWD. Niemcy urządzą wszystko po swojemu, wykorzystują litewski aparat gospodarczy i administracyjny oraz policję. Cała gospodarka ma służyć potrzebom wojennym. Wprowadzają kartki żywnościowe.

Pojawiają się pierwsze zarządzenia w stosunku do Żydów; wszyscy muszą nosić żółte gwiazdy na ubraniu, wolno im chodzić tylko po

18

Jedni, mężczyźni są zabierani codziennie na przymusowe roboty.

Po kilku tygodniach pojawia się gestapo i zasnuwa miasto swą siecią. Współdziała z nim ściśle <sup>u</sup>sałguma, litewska bezpieka. Odczuwają to niebawem Polacy, są pierwsze aresztowania. Materialne warunki pogarszają się coraz bardziej. Okupanci wyciskają z kraju wszystko: żywność, drewno i wszelkie materiały przydatne dla celów wojny.

Na froncie nadal Niemcy prą szybko naprzód, idą od zwycięstwa do zwycięstwa. Wielkie nadzieje budzi wśród Polaków zawarcie w dniu 30 lipca wstępnego porozumienia między rządem radzieckim i rządem polskim określanego później jako pakt Sikorski - Majski. Przychodzą w następstwie wiadomości o organizowaniu w Związku Radzieckim wojska polskiego, o rozmowach Sikorskiego ze Stalinem. Nadchodzi wczesna i ostra zima. Niemcy nie osiągnęli decydującego rozstrzygnięcia mimo zajęcia krajów nadbałtyckich, całej Białorusi i większej części Ukrainy. Zostali zatrzymani pod Moskwą i Leningradem. Wojna zaciągnęła się. Ogromny przełom w nastrojach przynosi grudniowa wiadomość o uderzeniu japońskiej floty w Pearl Harbor i o wypowiedzeniu wojny Stanom Zjednoczonym przez Niemcy i Włochy. Teraz stało się już całkowicie jasne i pewne, czyje będzie ostateczne zwycięstwo w tej wojnie. Jak długo trzeba będzie na nie czekać? A w Wilnie zima daje się we znaki, jest chłodno i głodno. Żydzi zostają zapędzeni do getta. Gestapo wyrwa coraz to nowe ofiary z naszego społeczeństwa.

Rok 1942 przynosi dalsze sukcesy państwom osi. Japonia zajmuje Hong Kong, Syjam, Birnę, Indonezję, Singapur. Dopiero klęska morską w bitwie o Midway w czerwcu 42 roku staje się momentem przełomowym w zmaganiach wojennych na Dalekim Wschodzie. Na Atlantyku Anglia uzyskuje poważne sukcesy dopiero w drugiej połowie roku, ale wciąż ponosi duże straty. Ma też Anglia poważne sukcesy <sup>północnej</sup> w Afryce. Letnia ofensywa niemiecka na Ukrainie osiąga znaczne sukcesy, front zbliża się do Kaukazu i Wołgi, rozpoczyna się oblężenie Stalingradu.

19

W Nowogródzkim, na Wileńszczyźnie i w samym Wilnie rośnie ruch oporu. Społeczeństwo polskie organizuje się skutecznie. Pracuje rozgałęziona sieć tajnego nauczania. Rozwija się pomoc społeczna i indywidualna. Ze wsi i z majątków docierają do miasta produkty żywnościowe: ziemniaki, mąka, kasza. Nie tylko na wymianę. W niewystarczającej mierze, ale w znaczący sposób wspomagają wygłodzone miasto. Ludzie pomagają sobie wzajemnie i podtrzymują się na duchu. Istnieje i poprawia się informacja o sprawach wojny, o sprawach kraju. Duże nadzieje budzi proklamowanie w styczniu 42 roku Deklaracji Narodów Zjednoczonych. Ruch oporu krzepnie i przybiera zorganizowaną formę. Od marca działa Delegatura Rządu na okręg wileński. Organem doradczym jest Konwent Stronnictw Politycznych.

Rozwija się ruch wojskowy. Z wczesnych organizacji <sup>politycznych</sup> ~~Koła Pułkowe~~ ~~Optuzowiczem, Komisariat Rządu se-~~ ~~Wiatnickim i Boleśławem~~ ~~Wasilewskim, piłsudczycy i osadnicy z~~ ~~W. Kamińskim, Narodowa Organizacja Wojskowa z Hanciszewem~~ ~~Kowalcem i Witoldem~~ ~~Świątkowskim i wiele innych~~) powstaje Służba Zwycięstwa Polski ~~+ ZWZ +~~ przekształcona później w Związek Walki Zbrojnej - ZWZ - a wreszcie w Armię Krajową - AK - której komendantem zostaje major Aleksander Krzyżanowski, pseudonim Wilk. Komendant powołuje Komitet Polityczny Kierownictwa Walki Podziemnej z przedstawicielami ludowców (Henryk Jackiewicz), socjalistów (Jerzy Dobrzański), demokratów (Edmund Greczanik), narodowców (doktor Kasperowicz), piłsudczyków (Adam Galiński). Powstaje wojskowa sieć organizacyjna, formowane są pierwsze oddziały zbrojne, partyzantka w terenie. Działa przy komendancie Biuro Informacji i Propagandy - BIP. Wydawany jest organ komendantury "Niepodległość" (do stycznia 1945 - 49 numerów, nakład do 3000 egz.). Dla środowiska wiejskiego wychodzi dodatek "Nasza Wieś" w nakładzie 2000 egz. Okręgowej komendzie AK podporządkowują się wszystkie samorzutnie powstające oddziały.

Wpływ tej sieci organizacyjnej - delegatura ze stronnictwami, komenda AK, pisma niepodległościowe - na społeczeństwo jest znaczny. Ludzie czują wyraźne oparcie, mają podstawową informację, są pewniejsi i spokojniej patrzą w przyszłość. Z biegiem czasu rosną partyzanckie oddziały w terenie zarówno na Wileńszczyźnie, jak i w Nowogródzkiem. Uchodzą do nich ludzie spaleni w miejscach stałego pobytu. Oddziały te chronią ludność wiejską przed represjami Niemców i litewskiej <sup>u</sup>sałguny, przed bandyckimi napadami radzieckich uciekinierów. Dochodziło też do starć z partyzantką radziecką. Główna stała się podstępna likwidacja oddziału Kmiciwa, który lojalnie współpracował z grupą Markowa. Nie dał się natomiast osaczyć Lupaszko ze swoją brygadą.

Najpoważniejszym ruchem społeczno-politycznym stała się Wileńska Koncentracja Demokratyczna biorąca początki jeszcze w Akcji Ludowej z jesieni 1939 roku. Był to sojusz polityczny ludowców, socjalistów i demokratów wraz ze związkami zawodowymi, sojusz ludzi, którzy myśleli o przyszłości kraju, o jego ustroju społeczno-gospodarczym, o formie jego rządu po wojnie. Był to związek ludzi, którzy nie chcieli powrotu po wojnie rządu piłsudczyków, którzy odrzucali skrajne ruchy narodowe i faszystujący ONR również, jak próby pochwylenia władzy przez komunistów.

Władzę w Polsce winni wziąć w swe ręce <sup>niezależnie</sup> chłopcy, robotnicy i demokratyczna inteligencja. Oni powinni utworzyć pierwszy rząd i formować kształt odrodzonego państwa. Winno to być państwo ludowe, w pełni demokratyczne, kierujące się zasadami wolności i sprawiedliwości społecznej, państwo o dobrze zorganizowanej gospodarce, wykorzystującej indywidualną inicjatywę, organizującej szeroką sieć spółdzielczą. Musi być przeprowadzona radykalna reforma rolna. Podstawą ustroju rolnego winno być gospodarstwo indywidualne. Szeroki samorząd wyzwoli inicjatywę społeczną. Dobrze zorganizowana oświata stworzy

wszystkim równe szanse rozwoju. Służba zdrowia, ubezpieczenia i opieka społeczna muszą być dobrze zorganizowane. W rękach państwa pozostaną wielkie organizacje gospodarcze: koleje, poczta, kopalnie, huty, przemysł obronny, banki oraz opieka i kontrola nad całością. Władzę sprawować będzie rząd wybierany i kontrolowany przez demokratycznie wybrany parlament. O większości spraw lokalnych na terenie gminy i powiatu decydować będzie samorząd. Obywatel będzie się czuł w demokratycznej Polsce bezpiecznie, będzie wolny, będzie miał pełnię praw i możliwość pełnego rozwoju, będzie gospodarzem swego państwa.

Taki program zarysowała Wileńska Koncentracja Demokratyczna, uzgadniając go z projektami warszawskich demokratycznych kręgów politycznych. Ruszyły prace przygotowawcze. Należało uświadomić społeczeństwo i pozyskać je do tego programu, należało zorganizować je w wyraźną siłę polityczną zdolną przejąć w swe ręce władzę po odzyskaniu niepodległości. Należało już teraz, w czasie okupacji, budzić świadomość społeczną i polityczną, świadomość i solidarność narodową, budować zręby organizacji, przygotować się do uchronienia ludności i dorobku materialnego i kulturalnego przed okupantem. Zaczęliśmy zbierać siły, wynajdywać właściwych ludzi, dyskutować, naradzać się nad programem i formami pracy. W krótkim czasie uformowała się dojrzała, rozbudowana organizacja polityczna.

Na jej czele stała Wileńska Rada Koncentracji Demokratycznej w następującym składzie:

Zo strony ludowców:

prof. Ludwik Chmaj (ps. Jaroński)

Henryk Jackiewicz (Marian)

Franciszek Król (Wojciech)

Zo strony socjalistów:

dr Jerzy Dobrzański (Maciej)

Lucjan Krawiec (Kazimierz)

22

Czesław Rukaszto (Wiktor)

Jerzy Wroński (Stopa)

Ze strony demokratów i związków zawodowych:

Edmund Greczanik (Ryś)

Piotr Gulewicz (Witalis)

Franciszek Pieślak (Lysy).

W ciągu trzech lat zachodziły zmiany w składzie Rady. Z uwagi na wymogi konspiracji wyłoniono Prezydium Rady w składzie J. Dobrzański, L. Chmaj, P. Gulewicz z sekretarzami: J. Wroński, Cz. Rukaszto.

Prace programowe toczyły się w siedmiu sekcjach obsadzonych przez fachowców: ustrojowo-prawna, gospodarcza, samorządowa, rolno, oświaty i kultury, zdrowia i opieki społecznej, narodowościowa.

Centralny Wydział Wykonawczy zajmował się konkretną realizacją zadań. Przewodniczył mu L. Krawiec (PPS), współdziałając z H. Jackiewiczem (Lud.) i E. Greczanikiem (SD). Dla regionalnego podziału prac wyłoniono odrębne organizacje.

Wydział Miejski działał głównie na terenie miasta Wilna. Prace toczyły się tu w trzech komitetach:

komitet robotniczy (F. Stęszowski)

komitet rzemieślniczy (F. Pieślak)

komitet pracowników umysłowych (St. Lisowski, L. Krawiec, E. Greczanik).

Wydział Wiejski obejmował działaniami wieś, głównie powiaty wileńsko-trecki i oszmiański, ale docierano też w święciański, brasławskie, postawskie i lidzkie. Działali tu H. Jackiewicz, F. Król, L. Chmaj. Pozyskano do współpracy grupę ludzi wywodzących się ze wsi lub związanych ze wsią przez pracę. Znaleźli się wśród nich L. Chemiński, starosta wileńsko-trecki

inspektor szkolny A. Szwed, sędzia J. Wojciechowicz i inni. Sieć terenowa opierała się na nauczycielach, byłych słuchaczach pedagogium

23  
i na młodych działaczach wiejskich i wieśiowcach.

Wydział Informacji (prasowy) odgrywał ważną rolę (J. Wroński)<sup>3</sup><sup>2</sup><sup>1</sup>  
Najważniejszy był tu Komitet Redakcyjny, w skład którego wchodził J. Dobrzański, L. Krawiec, F. Król, J. Wroński. Wydawano w 42 roku "Drogę Wolności" i "Polskę Ludową", a od 43 roku "Jednością silni" w nakładzie około 300 egzemplarzy. Wyszło jedenaście numerów. Agencja Informacyjna (Agin) zajmowała się zbieraniem i rozpowszechnianiem wiadomości. Dział Techniczny (Teka) zajmował się stroną techniczną, drukiem. Trudną i ważną sprawą był kolportaż.

Wydział Milicji Zakładowej (Małek) organizował w zakładach przemysłowych straż obywatelską mającą za zadanie czuwanie nad nimi i uchronienie ich przed zniszczeniem lub wywiezieniem przez okupanta. Organizowano też sabotaż przemysłowy.

Rozpoczęte w 1942 roku prace WKD potoczyły się żywo, a w roku 43 rozwinęły się żywiołowo. Rozrastały się komórki i agendy, rosły szeregi czynnych członków. Wilno było objęte gęstą siecią organizacyjną. Widoczne było oddziaływanie naszej propagandy na społeczeństwo, rosło jego uświadomienie, krzepiły się nadzieje, tętnił ruch oporu wobec okupanta.

Dobrze układała się współpraca z komendą AK, która pozytywnie odnosiła się do naszych sugestii i inicjatyw, korzystała zaś sama z pomocy naszej w informacji i kolportażu "Niepodległości", wysłuchiwała naszych opinii i rad.

Koncentracja Demokratyczna <sup>podjęwała</sup> czyniła próby porozumienia z umiarkowanymi kołami litewskimi. Odbyły się dwa spotkania działaczy polskich i litewskich. Były też próby niesienia pomocy Żydom, z ograniczonym niestety rezultatem.

Poświęcałem tym pracom dużo czasu i wysiłku. Trudne było organizowanie sieci terenowej na wsi. Trzeba było wyszukiwać odpowiednich ludzi. Oni, najczęściej nauczyciele i młodzi działacze wiejscy, zawią-

24

zywali kilkuosobowe komórki kadrowe po wsiach i po gminach, prowadzili prace nad uświadomieniem. Zajmowali się zbieraniem informacji, rozprowadzali prasę niepodległościową. Dużo tu było odważnych, oddanych sprawie ludzi, szczególnie spośród wiciowców. Konspiracja wymagała znalezienia punktów kontaktowych w nieście. Bardzo często były one u dozerców domów. Mam najlepsze wspomnienia ze współpracy z nimi. Nie zawiedli nigdy.

Jako pedagog brałem udział w opracowaniu racjonalnego systemu oświatowego. Wśród przemyśleń i dyskusji przyjęliśmy ośmioletnią szkołę podstawową i czteroletnie liceum. Mieliśmy dużą satysfakcję, gdy otrzymaliśmy projekt pedagogów warszawskich, był taki sam. Dojrzał - było jasne - poglądy, że powszechną oświatę oprzeć należy na wysoko zorganizowanej ośmioletniej szkole. Udział w redagowaniu "Jednością silni" wyczerpywał moje prace.

Przy prowadzeniu prac w tak szerokim zakresie nie obyło się bez ofiar. Wpadki były przypadkowe, nie było nigdy zdrady. Ginęli najwartościowsi ludzie, jak komendant milicji zakładowej Małek, jak wybitny działacz nauczycielski Iśowski, jak jeden z filarów naszego ruchu Lucjan Krawiec, wywieziony po brutalnym śledztwie do obozu w Prowieniskach. Dużym wstrząsem dla polskiego społeczeństwa był brutalny akt terroru - aresztowanie nocą z 16 na 17 września 1943 roku pięćset zakładników i natychmiastowe rozstrzelanie o świcie dziesięciu znanych osobistości. Zginęli wtedy: prof. K. Pelczar, prof. M. Gutkowski, adwokat M. Engiel, kapitan E. Biłgorajski, J. Rynkiewicz, K. Iwanowski, T. Lothe, W. Mandryk, A. Orłowski, inż. B. Antuszewicz.

Brożyło się gestapo i współdziałająca z nim <sup>4</sup>sałguma. Ulgę przynosiły wiadomości o klęskach zorganizowanego przez Niemców litewskiego korpusu penitkowego gen. Flechawieziusa w walkach z polską partyzantką. Szczególną wesołość wywołała wiadomość o bitwie pod Murewa-

na Oszmiankę, po której wziętych do niewoli żołnierszy generała rezebrano przed zwolnieniem do bielizny i tak wracać musieli do koszar. Wkrótce po tym wydarzeniu Niemcy zrezygnowali z wątpliwej wartości sojusznika i rozwiązali w maju 1944 roku tę formację. Polska zaś partyzantka rosła w siłę, przygotowywała się do oczekujących ją zadań.

Od początku czterdziestego trzeciego roku zachodzą na frontach przełomowe wydarzenia. W styczniu przerwana zostaje blokada Leningradu. W lutym kapituluje w Stalingradzie marszałek Paulus z trzysetmilionową armią. W lipcu Niemcy ponoszą klęskę w ostatniej próbie podjęcia ofensywy pod Kurskiem. Odtąd armia radziecka przebiega naprzód. Na Zachodzie sprzymierzeni likwidują armię Rommla w Afryce, zajmują Sycylię i południowe Włochy. W dniach od 28 listopada do 1 grudnia 45 roku odbywa się konferencja sprzymierzonych w Teheranie. Potwierdza ona wolę trzech mocarstw przywrócenia niepodległości Polski, wcześniej jednak, 26 kwietnia, Związek Radziecki zerwał stosunki z rządem polskim w Londynie pod pretekstem, że gen. Sikorski poprosił szwajcarski czerwony krzyż o zbadanie zbrodni katyńskiej, ujawnionej przez Niemcy. Zaciemnił się bardzo nasz horyzont, zwłaszcza gdy w ZSRR powstał Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele, gdy od maja zaczęto tam formować wojsko polskie.

W tej sytuacji skomplikowały się sprawy AK na Wileńszczyźnie i Nowogródzynie. Wobec zbliżania się frontu do Wilna AK otrzymała rozkaz dokonania próby uwolnienia miasta od niemieckiego okupanta i wystąpienia wobec wojsk i władz radzieckich w roli gospodarza przyjmującego sojuszników. Generał Wilk ściągnął swe oddziały pod Wilno i zaatakował szóstego lipca 44 roku niemiecką załogę miasta. Dopiero jednak wspólnie z oddziałami radzieckimi <sup>marzaska</sup> generała Czerniachowskiego <sup>v</sup> Wilno zostało zdobyte po kilkudniowych bojach. Na zamkowej wieży za-

łopotowała biało-czerwona flaga. Te harcercze Józefa Grzesiaka od tej strony dostali się do miasta i tak zadokumentowali swój udział w bojach o Wilno.

Jednak po zdobyciu miasta tymczasowe porozumienie gen. Wilka z marszałkiem Czerwiachowskim w sprawie tworzenia regularnych dywizji polskich i włączenia ich do walk frontowych zostało serwane przez władze radzieckie. Nie odbyła się zapowiadana defilada polskich oddziałów, zostały one internowane, a generała Wilka i jego oficerów aresztowano. Tak został przekreślony samodzielny polski czyn zbrojny na Wileńszczyźnie.

Wydarzenia te zahamowały działalność kół polskich, zarówno Delegatury, jak i WKD. Byliśmy przygnębieni, zagubieni. Odbyło się kilka spotkań, kilka narad, oczywiście w ścisłej konspiracji. Ukazał się ostatni numer "Jednością silni". A tymczasem Wilno zalały formacje NKWD, na ulicach widać było żołnierzy w niebieskich czapkach.

Wracając któregoś dnia do domu dostrzegłem na niektórych ulicach drewniane tabliczki z dziwnymi napisami: choziajstwo Dawidowa, choziajstwo Masłowa i podobnymi. Okazało się, że to NKWD tak gospodarzy. Miasto zostało podzielone na nieduże kwartały, a każdy został przydzielony specjalnemu opiekunowi. W ten sposób miasto zostało poddane ścisłemu nadzorowi.

Niebawem posypały się areszty. Wzięty został delegat rządu Z. Fedorowicz, a w kilka dni później prof. L. Chmaj. Trzeba wzmóc środki ostrożności. Umawiamy się co do znaków sygnałnych. U nas doniczka z kwiatem w lewym rogu kuchennego okna oznacza bezpieczeństwo. Greczanik wywiercił sztyłem otwór w drzwiach ponad klanką i umieścił w nim drucik. Jeśli drucik wystaje z drzewi, to jest bezpiecznie. Z inspektorem szkolnym umawiamy się co do ewentualnego tłumaczenia się. Znamy się z udziału w komisji egzaminacyjnej dla nauczycieli, a spotkaliśmy się ostatnio na zebraniu informacyjnym o meldowaniu się.

Przydało się to później rzeczywiście. W podobny sposób ubezpieczamy i inne punkty.

A tymczasem wypadki wojenne toczą się coraz szybciej. Armia radziecka oczyszcza Nadbałtykę, wkracza na Bałkany, przekracza Bug, dociera do środkowej Wisły w okolicach Magnuszewa. Sprzymierzeni lądują szóstego czerwca w Normandii i po przełamaniu niemieckiego oporu prą naprzód. Decierają wiadomości o majowych bojach Polaków pod Monte Cassino. Z kraju dochodzą wieści o powstaniu w lipcu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), o zorganizowaniu Krajowej Rady Narodowej (KRN) i tworzeniu Wojska Polskiego na terenie lubelszczyzny. Wszystko to w porozumieniu i pod naciskiem władz radzieckich. Wreszcie wybucha powstanie w Warszawie. Wiadomości są skąpe i niestety złe. Zamęt w głowie.

Wszystko idzie inaczej niż spodziewaliśmy się, niż chcieliśmy. Wali się nasz świat. Czy na marne pójdzie ogromny wysiłek polskiego społeczeństwa na Wileńszczyźnie? Tyle lat wytężonej pracy organizacyjnej, uświadamiającej, rozbudzenie poczucia narodowego szerokich kręgów ludności wsi i miast. Miasto Wilno i najbliższe powiaty - wileńsko-trocki i oszmiański - są zdecydowanie polskie. Mają teraz być stracone? Daremny był piękny czyn zbrojny: dwadzieścia tysięcy w akwskich szeregach partyzanckich, liczne potyczki i boje z okupantem, walka o Wilno, setki padłych w boju. Ogrom poświęcenia i ofiarności całego społeczeństwa, ludzi prostych i wykształconych, młodzieży i kobiet, wielki zryw patriotyczny opłacony setkami ofiar gestapo i NKWD - czy to wszystko daremne? Dążyliśmy do Polski wolnej, sprawiedliwej, prawdziwie demokratycznej, gospodarnej. Czy my jednak będziemy ją urządać? Czy będziemy prawdziwymi gospodarzami w swoim kraju? Przecież już gospodarzą w Chełmie i Lublinie "patrioci" z Wasilewską na czele. Gospodarzą z ramienia Moskwy i pod jej dyktando.

Czy możliwy jest jeszcze zasadniczy zwrot w naszych losach? Ale

to przecież Czerwona Armia wyzwala polskie ziemie spod hitlerowskiego jarzma, a sprzymierzeni daleko na Zachodzie. Czy ujmą się poważnie, czy nacisną z odpowiednią siłą na Stalina? Czy on ustąpi pod naciskiem? Przecież chyba nie dojdzie do zbrojnego starcia dotychczasowych sojuszników. I takie zwarciwane myśli zaczynają się czepiać zmęczonych umysłów. Trudne są nasze rozmowy, trudne narady.

A "patrioci" kuszą do współpracy, szukają kontaktów. Rozmawialiśmy z Mutą Dziewicką, a później z Putramentem. Tłumaczą nam, że nie ma innego wyjścia, usiłują pozyskać do współpracy. W naszych kręgach, w kręgach naszej Koncentracji Demokratycznej nikt jednak nie skłonił się ku tej pokusie. Będziemy trwać do końca wierni swej sprawie. Wojna nie jest jeszcze skończona, sprawa polska nie jest zamknięta.

Z Warszawy dochodzą złe wiadomości. Nie udało się opanować miasta w pierwszym zrywie. A teraz, kiedy radzieckie dowództwo zatrzymało front przed Warszawą, kiedy nie udzieliło lotnisk dla samolotów sprzymierzonych niosących pomoc miastu, Niemcy łamią opór powstańców i niszczą stolicę.

A może jeszcze radziecki front ruszy? Chyba jednak nie. Wolna Warszawa, podporządkowana rządowi w Londynie, jest niewygodna dla Sowie-  
tów. A więc bohaterki zrywu społeczeństwa znów idzie na marne? Czy rzecz była dobrze przygotowana, uzgodniona, we właściwym czasie podjęta? Straszne pytania, straszna odpowiedzialność decydujących. A teraz tylko chorał "Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej" słyszemy z Londynu. Tragiczne te nasze polskie losy.

Dawno już nie odbyliśmy ogólnej narady, spotykamy się pojedynczo. Dobrzański opuścił dom, ukrywa się. Urwały się niektóre kontakty wiejskie. Chłopcy pytają, co robić. Jak im odpowiedzieć?

Dni są piękne, wieczory ciepłe.

# WIĘZIENIE

~~(W-wileńskich więzieniach)~~

WILNO 1944 - 1945

Siódmego września. Ciepły letni wieczór. Wracam z miasta zmęczony ale zadowolony. Mam za sobą dwa dobre kontakty, a teraz tylko wpadnę po drodze do Edmunda i przekażę mu zapiskę z Zarzecza i dwie fotografie do dowodu dla jednego ukrywającego się partyzanta. Ciągnę Nowogródzką w górę, skręcam w Mako-  
wą. Ciemno choć oko wykol, na ulicy żywej duszy. To tu. Wcho-  
dzę po ciemku po schodach, zatrzymuję się na podeście i macam  
po drzwiach, szukam wystającego sztyfciku, oznaki że można  
wejść. Wtem drzwi się otwierają na oświetlony korytarz i bar-  
czysty major z pistoletem w ręce zaprasza:

- Zachaditie, zachaditie!

Zaskoczony wchodzę. Major prowadzi mnie do pokoju. Jasne  
światło oślepia mnie na chwilę. Jest tu ze trzydzieści osób!  
Major przekazuje mnie dwu oficerom, z których jeden rozpoczyna  
natychmiast rewizję osobistą, drugi siedzi za stołem i bacznie  
mnie obserwuje. Szybka myśl: zapiska i fotografie! Ważniejsza  
zapiska, bo jest tam jeden adres.

Udając wielkie zdenerwowanie i nieskładność ruchów wcis-  
kam zapiskę w kieszonkę na zegarek przy pasku, wyjmuję dro-  
biazgi, opuszczam na podłogę fotografie, ale choć zasłaniałem  
ten ruch nogą, dostrzegł mój manewr kapitan zza stołu. Nie  
było rady, musiałem je podnieść i podpisać kartkę, że są moje.  
Kartkę dołączono do odebranych rzeczy. Koniec!

Major przyprowadza znowu kogoś z korytarza. Nieznajomy.  
Jeszcze jeden. Rozglądam się. Edmunda ani jego żony nie ma.  
Jest Marian z Komitetu Wiejskiego, większość to nieznajomi.

Uprzytamniam sobie, że to straszna wsypa. NKWD założyło kocioł, do którego już wpadło dużo ludzi, a ile jeszcze wpadnie? Myślę o żonie. Przecież do nas jeszcze tej nocy zjadą. Czy żona zdąży zniszczyć trefną bibułę? I znowu u nas założą kocioł, a do mnie też sporo ludzi ściąga z terenu, mimo że większość spotkań staram się odbywać w różnych punktach poza domem. Fatalna sprawa. Ale nic już nie można poradzić. Skończyła się moja organizacyjna robota. Mocno się nasza sieć organizacyjna porwie. I Marian, i Edmund, a nie wiem, kto jeszcze został ujęty i wytrącony z naszych prac.

Major wciąż w przedpokoju. Teraz wszedł, zabrał starszego pana i przekazał go młodemu cywilowi, który wyprowadził aresztowanego przystawiając mu pistolet do pleców. Po kilkunastu minutach zabiera w ten sposób mnie. Ciemności. Konwojent trzyma mnie lewą ręką za ramię, prawą przystawił mi pistolet do krzyża. Schodzimy ulicą Makową w dół do Nowogrodzkiej. Tu w ciemnościach stoi ciężarówka. Żołnierze. Wsadzają mnie do skrzyni, w której siedzi <sup>już</sup> kilkunastu ludzi. Nad nimi czterech żołnierzy z automatami w rękach. Jeszcze kogoś doprowadzają. Ruszamy w ciemnościach ulicą Słowackiego i jedziemy przez Górę <sup>u</sup>Bożafalową w stronę dawnych sądów, dziś siedziby NKWD. Po drodze wyrzucam napiskę, wyrzucam też klucze. Przynajmniej nie dostaną się do nas sami, nie zaskorzą żony. Obmyślam, jak się tłumaczyć. Fotografie znalazłem na ulicy, chciałem odesłać według adresu. A że adresu żadnego nie ma, nie zauważyłem. Do Greczanika zaszedłem zapytać, czy będziemy razem starać się o drzewo w lesie jak w poprzednim roku. W ciemności dojeżdżamy do gnachu sądów. Na dziedzińcu jakieś auta, ludzie płaczą się w ciemnościach.

Wygarniają nas z ciężarówki i prowadzą przez długie korytarze w głąb, a potem pojedynczo wprowadzają do jakieg<sup>o</sup> ogromnego pomieszczenia.

Boufat...

bałi. Oslepia mnie jasne światło, mrużę oczy. Po chwili widzę dużą salę. Za długim stołem siedzi pułkownik NKWD w otoczeniu kilkunastu oficerów o zadufanych, zadowolonych twarzach. Pułkownik pyta o nazwisko, imię, „kliczkę”<sup>x/</sup>, zadaje jeszcze jakieś pytania, których nie rozumiem, a nie chcę się domyślać. Widzę, że enkawudyści święcą wielki triumf, zadowoleni są, że odkryli jądro wrogiej organizacji. Po chwili wyprowadza mnie młody oficer, prowadzi na drugie piętro i rozpoczyna przesłuchanie, „dopros”, jak się później dowiedziałem.

Mój śledczy to młody, najwyżej trzydziestoletni lejtnant, człowiek o dość pospolitej twarzy. Zabiera zegarek, wieczne pióro, teczkę, zapisuje to. Zapisuje potem imię i nazwisko, imię ojca - tu dowiaduję się, że to jest "otczestwo", wykształcenie i zawód. Teraz następuje charakterystyczny wstęp. Czy znam Gorkiego - pyta. Tak, czytałem kilka książek. Czy znam jego powiedzenie, że kiedy się wróg nie poddaje, to należy go zniszczyć? No właśnie, mam odpowiadać na wszystkie pytania i mówić prawdę. Wyrażam zgodę. Na stawiane pytania wyjaśniam, że zaszedłem do Greczanika, by dowiedzieć się, czy będzie robił starania w lesie o opał jak w zeszłym roku, czy będę się mógł przyłączyć. Fotografie znalazłem przechodząc przez rynek, podniosłem, żeby je odesłać według zapisanego adresu. Śledczy ogląda fotografie i stwierdza, że adresu nie ma. Udaję zdziwienie, sprawdzam i ja. Jestem zaskoczony. Śledczy długo namawia mnie, abym niczego nie ukrywał, grozi, ale niczego więcej ze mnie nie wydobywa, odprowadza mnie po czwartej - ostatni raz spojrziałem na swój zegarek - na dół i przekazuje w ręce więziennej straży.

-----  
x/ kliczka - pseudonim

Prowadzą mnie do piwnic. Uderza chłód, wilgoć i smród. Kraty, jedne, drugie drzwi, klucze dzwonią. Długi korytarz. Zapadam się w zimne, kamienne piekło. W celi są już czterej ludzie. Zgnębiony, unęczony, układam się na podłodze, podkładam pod głowę pantofle i zasypiam. Na krótko. O szóstej budzi nas dyżurny słowem "padjom". Potem prowadzą nas do ubikacji, któryś z naszych zabiera z sobą "paraszę", zardzewiały blaszany kocioł z kałem i moczem z poprzedniego dnia. Można oddać mocz i kał, można opłukać twarz i ręce. Wracamy, czekamy. Na śniadanie podają nam przez okienko po kawałku chleba i po kubku ciepłego płynu, ma to być kawa.

Po śniadaniu rozglądam się. Cella to dawna pojedynka. Do bocznej ściany pod oknem przymocowana jest rama z żelaznej rury z naciągniętym płótnem jak w leżaku. To łóżko podnoszone we dnie na zawiasach. Wysoko w górze zakratowane okno, szyby wybite. Koło drzwi stoi zardzewiały, blaszany kocioł - parasza. W drzwiach okrągły wziernik. Już kilka razy zaglądał przez niego dyżurny "nadziratiel". Nieco niżej jest okienko zamykane z zewnątrz na zasuwę. Przez nie podano nam chleb i kawę.

Jest nas pięciu. Jakiś litewski urzędnik, młody i silny, drugi Litwin to drobny i niski cieśla wiejski, brodacz, Polak Ławrynowicz, robotnik z wileńskich zakładów komunalnych i drugi milczący, trudny do rozgryzienia. Rozmawiamy po polsku. Towarzysze informują o porządku dnia, o posiłkach. Żadnego dotąd nie bili. Znikają najgorsze paniczne myśli, które nachodziły nocą. Rozmowa utyka, abci się nie znamy, ani nie ma o czym mówić. Egzystujemy obok siebie. Myślę o domu, o żonie. Jakież biedy ściągnąłem na jej głowę? Co z naszą Koncentracją Demokratyczną teraz będzie, czy

rozszyfrują jej strukturę, program i dążenia? Kogo jeszcze schwytają? Czy się kto nie załamie?

Na obiad dostajemy po pół litra rzadkiej rozgotowanej kaszy. I znowu wloką się godziny. Snują się natrętne myśli: że też dałem się tak łatwo schwycić! Ale czy mogłem tego uniknąć? Okazało się, że wymyślone przez Edmunda zabezpieczenie - wysuwany i chowany sztyfcik ponad klamkę - nie sprawdziło się. Za drzwiami stał i nasłuchiwał major, słyszał, że podchodzę i zatrzymuję się, że badam drzwi dłonią. W ciemności nic przecież nie widziałem. Pozostało mu tylko otworzyć na roścież niedomknięte drzwi i... zaprosić do środka. Cofnąć się? A pistolet... Nie było rady. Prózne to już teraz rozważania.

Po kolacji - kubek więziennej kawy - otwiera się okienko i niski chrypliwy głos pyta:

- Na "ke"?

Wymieniam swoje nazwisko.

- Sobirajsia! - pada rozkaz, otwierają się drzwi i więzienny dozorca zabiera mnie dzwoniąc kluczami. Jedne zakratowane drzwi, schody, drugie drzwi i czekający na korytarzu śledczy - już wiem, że to sledowatiel. Zabiera mnie do tego samego pokoju, gdzie odbyło się pierwsze przesłuchanie. Rozpoczyna się ciąg dalszy.

Nawet nie znając rosyjskiego rozumiem dobrze pytania, ale często każę sobie powtórzyć, o co chodzi. To się może przydać przy kłopotliwych dla mnie pytaniach. Odpowiadam więc na pytania nie spiesząc. Mówię o swej pracy w szkole, o żonie, o swoim pochodzeniu i miejscu urodzenia, o wykształceniu. A znajomi i przyjaciele? Odpowiadam, że mało tu ludzi znałem, pracowałem bowiem w Wilnie dopiero dwa lata, a ponieważ w nowej szkole praca była nowa i trudna, nie miałem czasu

34  
8

na życie towarzyskie. Poza kolegami ze szkoły znałem tylko kilku nauczycieli, u których moi słuchacze odbywali praktykę. Na dalsze nastawanie odmówiłem podawania jakiegokolwiek nazwisk. Dlaczego - spytał sledowatiel. - Bo gdy kogokolwiek wymienię, wy go możecie wzywać, dopytywać, wiązać z moją osobą, a to ludzie spokojni, niczego nie winni. Ot tak, jak teraz mnie wypytujecie i krzyczycie.

Na to sledowatiel wpadł w złość, poderwał się z zamiarem uderzenia mnie. Podniosłem się i ja zdeterminowany. Staliśmy tak z minutę naprzeciw siebie. Sledowatiel widział moją determinację, uspokoił się. Jeszcze kilka pytań i powrót do mrocznego, zimnego i smrodliwego podziemia. Cela wydała mi się już moim domem. Towarzysze spali wszyscy.

Po kilku dniach sledowatiel przestał mnie wzywać, powiedział, że on ma czas, nie będzie mnie wywoływał, a jak ja posiedzę kilka tygodni bez "podajanki", to zacznę inaczej mówić. Tak się istotnie działo, dość szybko opadałem z sił. Miałem organizm niezbyt silny, osłabiony już niedostatkiem kilku lat okupacji. A tu działało ostre niedożywienie, brak ruchu i powietrza w tej piwnicznej celi, ciasnota - było nas już ośmiu - a najbardziej dręczące myśli. Mijały więc dni i tygodnie, w których nic się nie działo. A jednak nie, udało się coś wielkiego.

Przebywający najdłużej w celi Ławrynowicz otrzymał już pozwolenie i żona przynosiła mu w czwartki - dzień przyjmowania paczek - skromne podania, odbierała zaś naczynia z poprzedniego tygodnia. Za jego zgodą wydrapałem szpilką adres żony na dnie ponemieckiej menażki i dodałem słowo "zdrow". Dla niepoznaki zatarliśmy dno kleistą resztką kaszy. Miałem nadzieję, że myjąc dno menażki pani Ławrynowiczowa spostrzeże adres i nawiąże - być może - kontakt z moją żoną. W najbliższy

mojej

czwartek w paczce Ławrynowicza znalazł się nasz domowy woreczek z mazurskiego pasiaka, a w nim suchary i kostki cukru. Co za radość z nawiązanego kontaktu! Najważniejsze, że żona jest w domu, przeszła więc szczęśliwie wizytę NKWD, jakies dochodzenia w mojej sprawie, rewizję, a może i "kocioł" w naszym mieszkaniu. Jak to dobrze! Spokojniej teraz czekałem na dalszy bieg wypadków.

paln g f

Po kilku tygodniach zostałem znów wezwany na nocne przesłuchanie. Z trudem i powoli szedłem po schodach zataczając się nieco. W pokoju był jeszcze drugi sledowatiel. We dwu wzięli się teraz do mnie. Kiedy namowami ani straszaniem nie wydobyli ze mnie nowych zeznań, jeden wyłamał mi ręce do tyłu i przytrzymał przy poręczy stołka, drugi podłął mnie kilka razy pięścią w kark, a później kolbą pistoletu w głowę i w szczękę. Coś tam pękło, poczułem krew w ustach. Ból - w tej determinacji i zawziętości /nie wydawał się duży. Na szczęście operacja nie trwała długo. Schodziłem do piwnic poważnie obołały, ale - rzecz dziwna - nawet z odrobiną radości czy raczej zadowolenia. Przecież wytrzymałem. Co prawda nie było to jeszcze straszne.

Następanej nocy sledowatiel zamknął dochodzenie, kończył mu się termin dwu miesięcy, kiedy musiał zakończyć śledztwo i przekazać wyniki. Był spokojniejszy, zadał kilka pytań, dziś już nie pamiętam ich dobrze. Jakoś tam na nie odpowiedziałem, podałem nawet kilka nazwisk kolegów, z których trzech zostali zmobilizowani w trzydziestym dziewiątym roku i nie powrócili do domu, czwarty został zamordowany przez gestapo, a piątego aresztowali i wywieźli Niemcy. Na szczęście nie sprawdzał już tego później. Przeczytał mi coś o wynikach śledztwa, nie pamiętam tego dokładnie, podpisałem to i na zakończenie powiedział,

że dał pozwolenie na przysyłanie "podajaneł". Wróciłem spokojniejszy do celi. Śledztwo nie dotknęło niczego z moich prac organizacyjnych.

W najbliższy czwartek dostałem pierwszą paczkę od żony. Ucieszyłem się podwójnie: żona była w domu, a więc wolna, a uzupełnienie wyżywienia też się liczyło. Dostałem też koc, zmianę bielizny, czapkę narciarską i spodnie. Przestałem marznąć nocami. Szyb w oknie wciąż nie było, a koniec października był zimny choć pogodny.

W celi przez cały ten czas zachodziły zmiany, jednych zabierano, przyprowadzano innych. W końcu zostałem sam z kilku Litwinami. Zacząłem powoli rozumieć co nieco z ich rozmów. Najwięcej zdziwiło mnie, gdy usłyszałem, jak ci prości wiejscy ludzie używają polskich słów z dodatkiem jedynie litewskich końcówek, na przykład: mocnys, słabys. Silny musiał być dawniej wpływ polszczyzny na Litwie. Zapamiętałem to. Litwinów było sporo w więzieniu, spotykałem ich we wszystkich celach, do których mnie przerzucano.

W połowie listopada, już po zakończeniu dochodzeń, przeprowadzono mnie do więzienia centralnego na Łukiszki. Spotkałem się tam z Greczanikiem. Duża była nasza radość. Opowiedzieliśmy sobie przebieg śledztwa. Edmund był bity dotkliwiej ode mnie, był też karany izolatorem. Spędził dobę w ciasnej klitce na stojąco z nogami w zimnej wodzie. Dobrze że krótko. Wytrzymał wszystko.

Po tygodniu przeprowadzono nas obu z powrotem do więzienia śledczego na Ofiarnej. W czym użerz? Czy to dalsze śledztwo? Zabrano nas do różnych cel. W rogu naszej celi był otwór po jakiejś reperacji przewodów centralnego ogrzewania, można się było tedy komunikować z sąsiadami. Okazało się, że jest tam

37

profesor Chmaj, z którym współpracowałem w Komitecie Wiejskim Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej. Przyznał się już, że zbieraliśmy się w kilka osób, inteligencja wiejska, rozmawialiśmy o przyszłości kraju. Wymienił mnie i Mariana. To źle. Są już blisko. Ale dobrze, że już to wiem. Nie będę niepotrzebnie zaprzeczał tym kontaktom.

W godzinę po tej rozmowie z Chmajem - bardzo trudnej, bo źle było słychać, a on był głuchawy - zabrano mnie na nocne przesłuchanie. Nowy śledowatek, człowiek w średnim wieku, chudy, o szarej twarzy, zaczął od Gorkiego, od niesmiertelnych słów o wrogu, którego trzeba zniszczyć. Aż uśmiechnąłem się. Obojętnym tonem zadał kilka pytań, zadowolili się moimi odpowiedziami i na tym zakończyła się sesja.

Po kilku dniach przesłuchiwał mnie inny śledczy, młody, inteligentny major. Po kilku wstępnych pytaniach przystąpił do rzeczy: czy znam profesora Chmaja i skąd. Przyznałem, że znam go. Poznałem go na odczycie o teorii Freuda jeszcze przed wojną, a później spotykaliśmy się kilka razy, rozmawialiśmy o przyszłości kraju, szczególnie o sprawach wsi po wojnie, gdyż obaj pochodzimy ze wsi. Z innych znajomych wymieniłem kolegów ze szkoły, tych nieobecnych w Wilnie. A Jackiewicz? - spytał major Jaduto. Tak, znam go. To spółdzielca. Poznałem go na zjeździe spółdzielców przed wojną. Spotykaliśmy się z nim i z Chmajem. Jaka to była organizacja? Zaprzeczyłem. To były przygodne, luźne spotkania. Greczanik? To mąż nauczycielki, z którą pracowała w jednej szkole moja żona. A w zeszłym roku razem piłowaliśmy drzewo w lesie na opał. We wrześniu szedłem do niego, by spytać, czy i w tym roku będzie się starał o opał.

Nie był major zadowolony z moich odpowiedzi, ale nie nalegał zbyt i nie groził. Podobnie przeszły jeszcze dwa

przesłuchania, ale na kolejnym zmienił taktykę. Wyrzucał mi, że nie mówię prawdy, że jestem za ostrożny. Odkrył karty: oni już wiedzą o tajnej organizacji Wileńska Koncentracja Demokratyczna. Wiedzą, że przewodniczył jej doktor Dobrzański, że brali w niej udział i Chmaj, i Jackiewicz, i Greczanik i ja.

Zmroziło mnie. A więc po konspiracji! Kto zaczął mówić? Czyżby Chmaj? Nie mogłem już przeczyć, nie miało to sensu. Powiedziałem tylko, że było to w czasie hitlerowskiej okupacji, a po wyzwoleniu Wilna nie prowadziliśmy już tej akcji.

Na tym skończyło się przesłuchanie. Wróciłem do celi zgnębiony. Ktoś zaczął mówić. Wiedzą już prawie wszystko.

W najbliższy czwartek, dzień przyjmowania paczek, nie dostałem nic. Coś się stało. Może żona chora, oby nic gorszego.

W piątek Jadato spytał mnie, czy żona jest Dobrzańska z domu. Potwierdziłem. A więc coś niedobrego stało się z żoną. Oby nie aresztowanie! Niestety, wkrótce potwierdziło się to najgorsze.

Z korytarza dochodziły nas czasem kobiece głosy. Pewnego dnia usłyszałem głos żony. Byłem akurat przy drzwiach i dość głośno powiedziałem: Jestem tutaj! Ale w tym momencie dozorca zabrał kobiety dalej. Wiedziałem już teraz na pewno. Przybiło mnie to mocno. Po pierwszym zatrzymaniu we wrześniu, zwolniono ją, a teraz znowu coś się stało i to na pewno w związku ze mną. Ja więc byłem przyczyną jej aresztowania. Nasz dom, nasze gniazdo opustoszało. Rozsypało się już wszystko. I nic tu nie mogę pomóc. W pewnym momencie uprzytomniłem sobie, że mam dwa koce, a przecież w tych piwnicznych celach jest zimno. Pamiętam, jak dotkliwie marzęm nocami w pałdzierniku, póki nie dostałem koca, a potem drugiego.

Przy najbliższym przesłuchaniu poprosiłem majora, żeby

pozwoił przekazać koc żonie, jest przecież tak zimno, a ona na pewno nic nie ma. Jaduto naskoczył wtedy zirytowany, skąd ja wiem coś o żonie. Odpowiedziałem, że domyśliłem się z jego pytań na poprzednim przesłuchaniu. Odmówił, ale upewniłem się ostatecznie. Nie powiodły się też próby jakiegokolwiek sygnału, gdy jeszcze raz usłyszałem na korytarzu głos żony. Żona, podobnie jak inne aresztantki, zgłaszała się do sprzątania korytarza, rozmawiała wtedy głośno ze swą towarzyszką. W takim momencie usłyszałem jej głos. I ona mnie usłyszała. Smutna to była dla nas obojga pociecha.

Po paru tygodniach śledztwa<sup>o</sup> w sprawie Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej zostało zakończone. Jaduto miał już tablicę ze schematem organizacyjnym i fotografie przywódców.

Od paru tygodni byliśmy w tej samej celi. Towarzystwo było mieszane: inteligenci, robotnicy, chłopci, młodzi i starsi, Polacy i Litwini, a nawet jeden Rosjanin. Stosunki między więźniami były dobre, nie było bandytów ani złodziei. Ludzie pomagali sobie, radzili jedni drugim, informowali. Kto dostawał paczkę, obdzielał zwykle sąsiadów czy to kawałkiem chleba, czy cebuli, czosnku.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Rozmowy nie zawsze się kleiły. Przygniatała wszystkich niepewność losu, a właściwie pewność czegoś niedobrego. Zaczęto mówić o wywózce na Syberię i na północ.

Wieczorami odbywały się modły zgodnie i po polsku, i po litewsku, najczęściej z podawaniem intencji. Ktoś rozpoczynał na przykład:

- Za nasze rodziny, za żony i dzieci.
- Ojciec nasz... - odpowiadał chór.
- Za zdrowie naszych matek i ojców.
- Zdrowaś Maria...

- Za szczęśliwy powrót do domów.

- Zdrowaś Mario...

A potem śpiewano cicho chórem kilka pieśni religijnych po polsku i po litewsku. I tak przychodziła noc.

Minęła zima. Skąpo przedostawały się wiadomości - ale najważniejsze wydarzenia znaleźliśmy. Wyzwolenie Warszawy, osiągnięcie linii Odry, oblężenie Berlina. Przyszedł maj. Dziewiątego w nocy sąsiad mój - malarz, którego zabierali nocą, by w sali rozrysował dużą mapę na ścianie - przyniósł wiadomość o zakończeniu wojny. Wywołała ona duże poruszenie wśród nas. Wśród Polaków rosły nadzieje. Nastąpią teraz chyba - przypuszczaliśmy - jakieś porozumienia, umowy między władzami radzieckimi i polskimi. Niepodobna, żeby nas tak zostawili. Snujemy domysły, robimy przypuszczenia, deliberujemy gorączkowo. Dużo w tym wszystkim zwykłego "chciejstwa".

Pewnego dnia zabierają mnie "s wieszczami", z rzeczami. Konwojent zaprowadził mnie ulicą Mickiewicza do gmachu obstawionego gęsto żołnierzami NKWD. To siedziba trybunału wojennego. A zatem sąd. Wprowadzają kilkanaście osób na pierwsze piętro do sali rozpraw, pokoju średniej wielkości przedzielonego drewnianą barierką. Siadamy na ławach, czekamy. Jest nas trzynaście osób aresztowanych we wrześniu na Makowej, związanych ze sprawą Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej. Są oboje Greczanikowie, Edmund i Maria, jest Marian Świerczyński, Władysław Garniewicz, którego poznałem w celi, innych osób nie znam.

Po pewnym czasie pojawiają się za barierką sędziowie, trzech oficerów NKWD. Jest i obrońca, siada z boku.

Prowadzący rozprawę major zawiadamia nas, że znaleźliśmy się przed radzieckim wojennym trybunałem, który wyda wyrok po rozpatrzeniu naszej sprawy. Jesteśmy oskarżeni na podstawie uzyskanych w śledztwie dowodów o zdradę państwa, o wrogą propa-

gandę i udział w antyradzieckiej organizacji politycznej. Wina nasza jest tym większa, że propagandę szerzyliśmy jako zorganizowana grupa. Jesteśmy więc oskarżeni z 58 artykułu radzieckiego kodeksu karnego z punktu 10 i 11.

Dopuszczono nas do głosu. Bronimy się - mówił głównie Greczanik, prawnik znający dobrze język rosyjski - tym, że nie jesteśmy radzieckimi obywatelami. Pracowaliśmy do wojny w Polsce, w Wilnie, byliśmy i pozostajemy polskimi obywatelami. Na skutek działań wojennych Wilno znalazło się w rękach radzieckich. Po wojnie nastąpią zapewne przesunięcia ludności, kto zechce pozostać w Wilnie, stanie się obywatelem radzieckim, kto zaś wybierze powrót do Polski w nowych granicach, pozostanie obywatelem polskim. Czekamy na tę możliwość. Nie słyszeliśmy, żeby władze radzieckie narzucały siłą obywatelstwo radzieckie. Nawiasem mówiąc nie było to prawdą, widzieliśmy przecież takie narzucanie obywatelstwa w 1940 i 1941 roku przed inwazją niemiecką.

Jeszcze zabrał głos obrońca wynajęty przez rodzinę Świerczyńskiego. Nie negował on winy swego klienta, prosił tylko o niższy wymiar kary z uwagi na nieznaną prawo.

Sędziowie oddalili się do sąsiedniego pokoju, a po krótkim czasie powrócili i przewodniczący odczytał nam wyrok. Zostaliśmy skazani z artykułu 58- punkty 10 i 11 - na dziesięć lat przymusowej pracy w obozach. Tylko Świerczyński dostał osiem lat. Tyle pomógł obrońca. Kazano nam złożyć podpisy pod orzeczeniem. Kategoriecznie odmówiliśmy.

A więc dokonano się. koniec z wszystkimi domysłami i nadziejami. Zamknęła się brama na wolny świat, przed nami więzienia i obozy, wielka niewiadoma. Opuszczaliśmy sąd podnieceni i wyczerpani.

Na dole, na dziedzińcu tłum ludzi. Oddychamy chętnie świe-

żym powietrzem. Ludzie przekazują więzionym paczki żywnościowe. Dostaję i ja dwukilogramowy bochenek razowego chleba, kostkę masła i kilka zielonych piór cebuli od dalekiej znajomej, zadowolonej pani Grodzickiej. Żołnierze nie przeszkadzają w tych podaniach ani w urywkowym porozumiewaniu się. Ostatni raz widzimy bliskich, wolnych ludzi.

Wkrótce zabierają nas konwojenci i prowadzą do więzienia na Łukiszki. Otwierają się i zamykają za nami bramy, kraty, dzwonią klucze i zamki, ciągną się korytarze i korytarze. Wreszcie wpuszczają nas po jednym do ogromnej słabo oświetlonej sali. Z ogromnej paraszy przy drzwiach bije smród. Na podłodze leżą pokotem więźniowie chyba w ośmiu rzędach, <sup>pewnie</sup> ~~chyba~~ ze dwustu chłopów. Ciemno, zaduch. Nie widzę naszych, którzy weszli wcześniej. Jakiś więzień w oficerskim mundurze bez oznak prowadzi mnie w oddalony kąt sali pod oknem, gdzie rozłożyła się wygodnie "starszyna", kilku byłych oficerów i dwu <sup>cywilów</sup> jakichś ~~osła~~ ~~krów~~. Każą mi oddać połowę paczki. Oburzony do żywego odnawian. Wtedy wyznaczają mi miejsce obok drzwi. A tam śmierdząca parasza! Ale tu wdał się Edmund, łagodzi gniew starszyny, a mnie radzi, abym oddał część chleba i masła. Ustępuję. Dostaję za to miejsce obok Edmunda i Garniewicza. Głęboko przeżywam ten gwałt. No tak, trzeba będzie teraz dużo się nauczyć. Po mnie wprowadzają jeszcze kilku więźniów. Jest późna noc. Umęczeni, wyczerpani przeżyciami kilkunastu ostatnich godzin, zasypiamy ułożywszy się na podłodze ciasno jeden obok drugiego. Zaczynamy nowy, kolejny etap naszego więziennego życia.

Od rana normalne więziennie obrządki, śniadanie. Rozglądam się po sali. Wypełniona po brzegi. Żadnych ław, stołów. Jedyne meble to przerdzewiały blaszany kocioł obok drzwi - parasza. Więźniowie rozłożyli się na podłodze rzędami po dwudziestu kilku w jednym. Jest nas ponad dwustu w dziesięciu rzędach.

Każdy siedzi koło swego worka z rzeczami. Niedy wszyscy rozłożą się na noc, nie ma zupełnie przejścia, nie ma gdzie nogi postawić. Jestem w drugim rzędzie od okien, wśród swoich. Jak to dobrze! Jest tu jeszcze dobre powietrze, bo nie ma szyb, ale w środkowych rzędach, a zwłaszcza w najdalszym kącie stoi ciężki zaduch. Jest kilkunastu Rosjan, byłych wojskowych, duża grupa Polaków, i chyba jeszcze większa Litwinów. W najlepszym miejscu, w kącie pod oknem, rozłożyła się "komenda" sali, kilku byłych oficerów radzieckich i dwaj cywile, prawdziwe osiłki. Kilku tych zdecydowanych ludzi, znających świat radzieckich więzień, trzyma w ryzach rozsypany tłum, wystraszonych, dezorientowanych więźniów. Mają oni zresztą ciche poparcie więziennych straży. Decydują o wszystkim, rozdzielają według swego uznania miejsca na sali, biorą haracz od każdego nowego przybysza. Mają co jeść i palić, są silni i zdrowi, utrzymują swoją kondycję. Tak jest podobno we wszystkich więzieniach, a nawet dużo gorzej. Często odbierają wszystko, a w dodatku biją. Tutaj dzielą się tylko. I nie biją. Nie było zresztą powodu, ludzie ustępowali żądaniom.

W następnych dniach nasze życie unormowało się, potoczyło się zgodnie z więziennymi porządkami. Na dokuczliwości staraliśmy się nie zwracać uwagi. Nie byliśmy zresztą zbyt sekwani w porównaniu z tym, co się czytało i słyszało o prześladowaniach w radzieckich więzieniach. Trzymaliśmy się w swojej grupie i w szerszej gromadzie Polaków, zachowując lojalność wobec Litwinów.

Czwartek był dniem przyjmowania paczek. Po dwu tygodniach i ja dostałem "podacze" od dalekich znajomych, zacnych ludzi. Można było podać zapiskę, co komu potrzebne. Poprosiłem o marynarkę, której nie miałem, zwędził ją bowiem strażnik przekazujący paczki jeszcze w więzieniu śledczym. A zaczęliśmy się już wyraźnie przygotowywać do wywózki. Kiedy w następny czwartek

otrzymałem w paczce niemiecką płócienną żołnierską bluzę, byłem już w pełni wyekwipowany. Młodszy koledzy przyszyli mi do worka dwa pasy z grubego płótna i mój worek przekształcił się w wygodny do noszenia plecak. Służył mi zresztą aż do końca, z nim wychodziłem po dziewięciu latach na wolność.

Toczyliśmy nie kończące się rozmowy. Wspomnienia, omawianie przebiegu wojny, domysły na temat decyzji wielkich mocarstw co do powojennych porządków, nasze przyszłe losy - oto najczęstsze tematy naszych deliberacji. Czasem graliśmy w szachy czy warcaby. A nieraz i pośpiewaliśmy z młodszymi. Najczęściej szły ~~razem~~ legionowe piosenki: o rozmarynie, ksiądz mi zakazał czy o ułanach, którzy przybyli pod okienko. Podtrzymywało to na duchu.

Kilkakrotnie przybywały jakieś komisje robiące przeglądy ludzkiego materiału. Grupowano nas według narodowości, według wyroków, według zawodów. Zdumieni byliśmy, gdy jedna komisja rozkazała nam ściągnąć spodnie i pochylić się do przodu. Jej członkowie poszczypywali nas w pośladki. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co im chodzi. Później, już w obozie, byliśmy nieraz tak badani. Okazuje się, że jest to najprostsza metoda stwierdzenia kondycji fizycznej człowieka. Dystrofię można w ten sposób określić z całą pewnością. Te komisje dokonywały przeglądu ludzkiego materiału z punktu widzenia przydatności do pracy, jak nietrudno było się domyślić. Stanowiły zatem fragment przygotowań do wywózki do obozów. Zbliżała się ona nieuchronnie. Świadczyło o tym również kompletowanie naszych papierów, fotografowanie wszystkich z profilu i z przodu, zdejmowanie odcisków palców. Teraz byliśmy już gotowi do wysyłki.

W połowie czerwca czterdziestego piątego roku wtłoczono do naszej celi jeszcze ze stu więźniów. Tłok się zrobił

12 45

niesamowity. I rozgardiasz. Wśród przybyszów pojawiły się jakieś dziwne typy, których dożąd nie spotykaliśmy. Zaczęli się awanturować, szarpać ludzi, bić, a nawet odbierać rzeczy. To byli kryminaliści, złodzieje i bandyci, o których dotąd tyle słyszeliśmy. Zaszumiało, ogół więźniów obruszył się, zaczęły się bójki. Na ten rumor wpadł do sali major NKWD gromiąc i grożąc. Dwu tych kryminalistów zabrał do izolatora. Uspokoiko się nieco.

Późnym wieczorem wyprowadzono nas ze wszystkich cel na obszerny dziedziniec więzienny i rozpoczęło się przekazywanie więźniów w ręce nowoprzybyłej grupy żołnierzy i oficerów. Był to konwój, który miał nas pilnować w czasie transportu i dowieźć na miejsce przeznaczenia.

Przy kilku stołach siedziało po dwu oficerów z teczkami naszych spraw. Jeden wyczytywał nazwisko. Wywołany więzień dopowiadał swoje imię i imię ojca oraz artykuł kodeksu i wyrok. Wtedy więzień przechodził dalej, a jego teczkę przejmował drugi oficer, ten z konwoju. Żołnierze konwojenci brali delikwenta w swe ręce, rewidowali go wytrząsając wszystkie rzeczy, odbierając tytoń i niektóre drobiazgi. Zrewidowany przechodził dalej w ręce innej grupy żołnierzy i tu już siadając na ziemi czekał, dopóki przez kontrolne sito nie przejdą wszyscy. Trwało to kilka godzin do późna w noc.

W ten sposób władze więzienne przekazały nas, chyba dwutysięczną gromadę więźniów, w ręce nowej jednostki NKWD. Był to osławiony "wołogodzki konwój", grupa około stu żołnierzy, którzy mieli nas odtransportować w nieznanym kierunku.

Nad ranem, o szarej ciemności, konwojenci sformowali tę unęczoną gromadę w czwórki, otoczyli z obu stron gęstymi strażami i poprowadzili wśród pokrzykiwania żołnierzy i ujadania psów poza bramy więzienia przez śpiące jeszcze miasto. Idziemy

długą kolumną trzymając się pod ręce ulicami Trzeciego Maja, Boufałową, Słowackiego w kierunku dworca kolejowego. Miasto jak wymarłe, słychać tylko głuchy tupot tysięcy stóp. Z jednej i drugiej strony kolumny idą uzbrojeni w automaty czujni żołnierze, prowadzą kilkanaście psów. Czasem rozlegnie się porozumiewawczy okrzyk straży czy szczeknięcie psa.

Trzymamy się z Edmundem i Władysławem w jednej czwórce. Zbliżamy się do domu, w którym mieszkałem. I oto na balkonie drugiego piętra ukazuje się stara mama Chmielewska i żegna nas znakiem krzyża. Ona jedna odważyła się. Zwracam ku niej głowę. Dostrzegła mnie. Coś ścisnęło piersi, żywiej zabiło serce.

Ciągniemy dalej, omijamy bokiem dworzec kolejowy i ładujemy się do stojącego na bocznym torze pociągu towarowego. Zajmujemy miejsca na podłodze i na przygotowanych piętrowych narach, składamy swoje worki z rzeczami. Udało się. W naszym wagonie większość stanowią Polacy z Wilna i okolic, jest tylko kilku Litwinów i czterech młodych Rosjan. Nie ma kryminalistów i bandytów. Pociąg wraz z najbliższym otoczeniem obstawiony jest gęsto żołnierzami. Mają psy.

Stoimy. Letni upał. Poza kordonem żołnierzy ~~ochrowców~~ pojawiają się ludzie, odnajdują znajomych i bliskich. Zaczynają się nawoływania i rozmowy. Ochrowcy nie przeszkadzają, pozwalają na podawanie paczek i wody do picia. Edmund dostał paczkę od serdecznego przyjaciela Wacka Kiliatisa. Upał się wzmaga, ani tchnienia wiatru. Rozbieramy się do koszuli. Przerzucamy się skąpymi uwagami, podrzemujemy. Ostatnie nasze godziny w mieście.

Kiliatiss

# AJACZJAGIŃSKIE SZACHTY

WORKUTA 1945-1949

Przed wieczorem potęgaliśmy Wilno. Żołnierze zasunęli drzwi, zamknęli je i pociąg ruszył. Nie wiemy dokąd. Leżący na górnych narach Witold Niemiro twierdzi, że do Peczory. Dostrzegł tę nazwę na dokumentach, gdy nas przekazywano z więzienia konwojowi. A więc na północ.

Noc przynosi ochłodzenie. Umęczeni, leżymy ciasno ściśnięci. Zależni się korzystając z szynienki zbitej z dwu desek wpuszczonej do otworu w podłodze w kącie wagonu. Przyzwyczajamy się. Cichną rozmowy. Słychać tylko miarowy stukot kół.

Wczesnym rankiem budzi nas głośne stukanie. To konwojenci opukują z zewnątrz podłogę wagonu. To rutynowe sprawdzanie powtórzy się odąd codziennie rano i wieczorem. Pociąg stoi. Żołnierze rozsuwają drzwi i przeprowadzają "prowierkę". Przeganiają wszystkich w jedną stronę wagonu i przeliczają skrupulatnie. Dostajemy trochę wrzątku i po kawałku - chyba ze czterysta granów - razowego chleba. I znowu pociąg rusza.

Na obiad rzadka kasza i śledź. A tu znowu upał. Pragnienie męczy wszystkich. Dwa razy dziennie dojadamy z własnych zapasów. Ja nie mam nic - ostatnia "pieredacza" w więzieniu przepadła. Edmund i Władek wzięli mnie na swój "wikt", nie odczuwam więc głodu. Tylko pió, pió!

Wieczorem trochę wrzątku, kolejna "prowierka" i obstukiwanie wagonów. Jesteśmy umęczeni i nieludzko spragnieni. W nocy słyszemy bieganie konwojentów po dachu. Jest nieco chłodniej. Jedziemy przez kraj płaski, zielony, ale smutny. Nie widać żarów słońca właściwych dla tej pory roku. Od czasu do czasu jakieś nizerne zabudowania w dali. Biednie tu.

Po kilku dniach pociąg zatrzymuje się na większej stacji. To Wołogda. Dostajemy się do łaźni. Co za radość! Pluszczymy się i napijamy

się wody do syta. Jedziemy dalej. Noce stają <sup>już</sup> chłodne, to znak że posunęliśmy się znacznie na północ. Krajobraz ponury. Las zmalał, drzewa drobniejsze. Z rzadka nędzne drewniane domki i składziki kolejowe przy torach. W rowach jakaś brązowa, opalizująca woda. A dalej las już zniknął zupełnie, ciągną się po obu stronach <sup>niskie</sup> niwysokie zarosła.

Po piętnastu dniach pociąg zatrzymuje się w polu. Dokoła bujna zielona trawa i niskie <sup>zarosła</sup> ~~półmetrowe krzaki~~ brzozy. Tak, to tundra. Otoczeni żołnierzami i psami siedzimy na swoich workach. Słońce dość wysoko, tak na godzinie dziesiątej. Gdzie jesteśmy? Gdzie jest północ? Po jakiejś godzinie słońce obniżyło się. Kiedy zajdzie, pokaże nam północny zachód. I znów słońce się obniżyło, a potem - ooczem nie wierzę - zaczęło się chyba podnosić. Tak, już jest wyżej i dalej się podnosi. Zestawiam w myśli fakty. Jest początek lipca, sam środek lata. Słońce nie zaszło, zbliżyło się tylko do horyzontu. Jesteśmy więc daleko na północy, za kołem podbiegunowym, tylko bowiem poza tą linią słońce latem nie zachodzi i krąży nad horyzontem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Godziny, kiedy było najniżej, odpowiadają nocnej porze, to słynne "białe noce". W tym kierunku jest północ. Mamy już podstawowe informacje.

Po paru godzinach ruszamy przez tundrę. Dostrzegamy niebawem ogrodzony drutami kawał tundry, "wyszki" - wężyczki strażnicze - i kilkanaście niskich baraków w środku. To obóz. Nasz "wołogodzki konwój" przekazuje nas obozowym władzom. Po skrupulatnym przeliczeniu przy bramie dostajemy się do środka. Obóz przyjął nowy "etap" <sup>ni</sup> więźniów, a my zaczynamy nowy rozdział w życiu. To słynna Workuta.

---

\* Słowo "etap" używane bywa do <sup>i</sup> oznaczenia grupy transportowanych więźniów i do określenia przebytej drogi.

49

Na początek "sanobrobotka". Łaźnia, mycie się gorącą wodą nabie-  
raną "łazikami", płaskimi drewnianymi ceberkami. Dostajemy po szczy-  
pcie nazistego brązowego mydła. Jednocześnie strzygą nam fryzjerzy  
- również więźniowie - głowy, pachy i przyrodzenie. Po kąpieli pro-  
wadzą nas na obiad. Siadamy w stołówce obozowej po czterech do sto-  
łu. Oficjantki - też więźniarki - przynoszą w blaszanych talerzach  
słoną rybną zupę i kaszę. Dostajemy też po kawałku chleba. A potem  
rozmieścują nas po barakach.

Możemy się teraz poruszać swobodnie po obozie. Rozglądamy się  
ciekawie. Nawiązujemy pierwsze rozmowy z przebywającymi tu dłużej.  
Dużo opowiada nam młody poznaniak pełniący tu funkcję felczera.

Jest to obóz przejściowy, "pieresyłka". Zostaniemy stąd rozesła-  
ni do leżących w pobliżu obozów, z których będziemy wychodzić do  
pracy w kopalniach i innych zakładach przemysłowych. Lepszy porzą-  
dek jest w starych obozach przy starych kopalniach. Gorzej jest w  
nowo organizowanych obozach przy kopalniach dopiero budowanych.

Przerywamy rozmowę, bo drogą przechodzącą obok drutów posuwa się  
wzdłuż obozu oddział kilkuset ludzi prowadzony przez żołnierzy z  
psami. Zmęczeni, pochyleni więźniowie wloką się powoli w głuchym  
milczeniu. Szare twarze, brudne, połatane waciaki. Technie beznadziej-  
nością. Tak to wygląda? Prowadzi ten konwój kilkunastu żołnierzy z  
psami, to "schrency". Przeszli, minęli obóz, a my długo jeszcze pa-  
trzymy za nimi. Niewesołe są nasze myśli. Tym bardziej skupiamy się,  
trzymamy się razem w polskiej gromadce.

Ale oto nowa scena. Wydzielono grupę więźniów z wyższymi wyroka-  
mi, ponad 15 lat, to katorżnicy. Zebrano ich ze czterysta, może  
pięciuset, i teraz dokonywa się ich oznakowanie. Będą nosić naszyte  
łaty na plecach, na czapkach i na spodniach nad kolanem. A teraz wy-  
cinają im w tych miejscach dziury w ubraniu, na te dziury naszyte

będą te łaty. Teraz nawet po zdarciu łaty - w przypadku ucieczki - katorżnik nie mógłby się maskować.

Wieczorem w baraku nowe dziwy. Naprzeciw nas umieściła się grupka jakichś niezwykłych typów. Młodzi, sprawni fizycznie, bałaśliwi i nienaturalnie podnieceni. Śmieją się, dowcipkują, popisują się, kto lepiej zatańczy czeczotkę. Robią zakłady. Na naszych oczach jeden przegrał swoje buty. Dziwni, niebezpieczni jacyś ludzie. Później dowiadujemy się, że to "błatni", złodzieje i bandyci. Spotkamy się z nimi niejeden raz.

Na drugi dzień pojawiają się "kupcy". Są to pracujący w różnych obozach i kopalniach wolni ludzie, którzy dobierają sobie więźniów fachowców, buchalterów, techników i innych. Ominęli nas.

Po kilku dniach, dokładnie przeliczeni, otoczeni jak zwykle <sup>zelnikami</sup> ~~leż-~~ ~~rowcami~~, wyruszamy z obozu na etap. Po godzinie oczekiwania w tundrze jedziemy lokalnym pociągiem przez tundrę. Dokoła zielona równina. Co kilka kilometrów kopalnia. Widać wieże wyciągowe, hałdy kamienia i węgla. W oddali obozy, strażnicze wieżyczki i wyszki, druty, za drutami baraki. Edmund, który zna dobrze rosyjski, zagadał do konduktorki i uzyskał nieco informacji. W całej okolicy są kopalnie węgla, a obok nich obozy, z których "zakłuczeni" - więźniowie - dochodzą do pracy. W starych obozach i kopalniach jest większy porządek, łatwiej żyć więźniem. Gorzej jest w świeżo organizowanych, tam większy bałagan, dużo bytowików i błatnych, to znaczy kryminalistów i bandytów.

Po godzinie dojechaliśmy do końcowej stacji. Wsiadamy. Siedzimy znów w tundrze na swoich tobołkach. Jak zwykle dokoła konwojenci i psy. Po jakimś czasie ruszamy w tundrę. Staramy się trzymać razem. Mijamy jakąś kopalnię i zatrzymujemy się przed bramą obozu. Wysokie ogrodzenie z drutów kolczastych, wyszki, w środku kilka baraków i kilkanaście wielkich wojskowych namiotów. Dotarliśmy na miejsce,

tu przez kilka lat będzie nasz dom.

Rozpoczyna się obrzęd przekazania nas władzom obozowym. Stojący za stołem tuż przy bramie oficer bierze w ręce teczkę zawierającą "dzieło" - sprawę kolejnego więźnia - i odczytuje nazwisko. Wyzwany podaje swe imię i imię ojca - "otczestwo" - artykuł, z jakiego został skazany i otrzymany wyrok. Wciąż jeszcze egzotycznie brzmi w naszych uszach to przepytywanie po rosyjsku.

- Romanowski
- Paweł Michajłowicz
- God roźdienia?
- Diewiatset wtaroj
- Statja?
- Piatdiesiat wosnaja, punkt diesiat i diewiat.
- Srok?
- Diesiat let.
- Prochodil

Statja 58 to artykuł radzieckiego kodeksu oznaczający zdradę państwa. Punkt 10 oznacza antyradziecką propagandę, a punkt 10 - działanie zbiorowe, w organizacji. Artykuł 58 należy w ocenie radzieckiego społeczeństwa do najcięższych. Człowiek raz naznaczony piętnem przestępcy politycznego ścina się do końca swych dni z normalnym życiem. Najczęściej nie wychodzi już z więzień i obozów. Przed końcem kary zostaje często zasądzony ponownie na dalszy pobyt w obozie. Widzieliśmy na własne oczy takie przypadki. Daleko lżej traktowane są przestępstwa pospolite, jak kradzież, rozbój, a nawet zabójstwo. Te nie łamią życia, po odbyciu kary skazany wraca do normalnych warunków. Nasz etap złożony jest niemal wyłącznie z więźniów politycznych.

Kilka godzin trwało przyjęcie naszego etapu. Po wyczytaniu i sprawdzeniu przechodziliśmy w głąb obozu. Starzy więźniowie ubrani prze-

ważnie w obozowe waciaki tłoczyli się obok bramy, oglądając nas ciekawie. Padały różne uwagi, powtarzały się oceny "charoszyj etap". Byliśmy przecież ubrani normalnie, w zwykłe ubrania, kurtki i płaszcze.

Rozsypaliśmy się po terenie obozu, wolni nareszcie od bezpośredniego nadzoru ochrowców. Było tu kilka baraków. W jednym - kuchnia. Od strony zachodniej - kilkanaście ogromnych długich namiotów z zielonego brezentu. To wojskowe amerykańskie namioty. W środku była podłoga. Z obu stron wąskiego przejścia ciągnęły się <sup>(piętrowe)</sup> nary. Jacyś funkcjonariusze obozowi rozlokowali nas w namiotach. Kiedy złożyliśmy swe worki z rzeczami, wywołano nas na obiad. Przed namiot przyniesiono duży bidon z gorącą zupą i rozdano po kawałku chleba. Organizował to wszystko jeden ze starych więźniów pełniący funkcję "pom-pobyta", to znaczy pomocnika do spraw bytowych, z rosyjskiego: pom-po-bytu.

Rozglądamy się ciekawie. Nasz etap - ponad tysiąc chłopów - doludnił obóz. Różnimy się bardzo ubiorem. Starzy więźniowie ubrani są rozmaicie, ale głównie w obozowe łachy, stare wátowane spodnie i tielogrejki<sup>22</sup>. My jeszcze w zwykłych ubraniach i płaszczach. Trzymamy się w swoich grupach i razem z Litwinami, których w tym wileńskim etapie było obok Polaków najwięcej. Poruszamy się jeszcze nieśmiało, a ruch w obozie duży. Wracające z pracy zmęczone brygady kierują się do baraku kuchennego, gdzie wydawane są z okienek obiady. Pod gołym niebem. Niedaleko jest "kipitiłka", obmurowany duży kocioł, pod którym utrzymuje ogień "kipitilszczyk". Wrzątek - kipiatak - można dostać przez cały dzień. Sąsiedni barak to banis, łaźnia, z której wkrótce będziemy korzystać. Obok barak "atepe"<sup>23</sup> dla obozowej ary-

<sup>22</sup> Tielogrejka - krótka, wátowana kurtka.  
<sup>23</sup> Atepe - ATP - czyli Administracyjno-Techniczny Personal - to urzędnicy obozowi i kopalniani, buchalterzy, planiści, dziesiętnicy, inżynierowie.

52

stokracji. Niedaleko bramy strzeżonej przez wachtę<sup>1</sup> barak biurowy, a w sąsiedztwie "stacjonar", czyli barak szpitalny. W najdalszym rogu mały baraczek karceru. Cały obóz zajmuje prostokąt o powierzchni <sup>kilku</sup> ~~wielu~~ hektarów. Otoczony jest drutem kolczastym i "wyszkami", ~~wielkimi strażniczymi~~. Jednym bokiem przylega do obozu siódmej "szachty" <sup>2</sup> ~~3~~.

Jest to więc północny rejon workuckiego zespołu szacht, obozów i innych osiedli. Jest połowa lipca, środek krótkiego polarnego lata, tundra w pełnym rozkwicie. Jeszcze niedawno słońce nie zachodziło przez kilkanaście dni, zniżano się tylko do horyzontu i podnosiło się znowu. Trwał nieprzerwany dzień. Od trzech dni słońce zachodzi na krótko, a stopniowo na coraz dłużej. Trwają teraz słynne "białe noce", kiedy światła jest tyle, że można spokojnie czytać.

Po dwu dniach przechodzimy "komisówkę". Lekara ogląda nas po kolei, poszczypuje tyłki, komisja pyta o zawód i umiejętności, dzieli nas na brygady, wyznacza brygadzystów. Zostają nimi spośród Polaków Witold Niemiro i Edward Zieliński, technicy budowlani. Przestaliśmy być tłumem więźniów, zostaliśmy zorganizowani do pracy, podzieleni na brygady i większe <sup>oddziały</sup> ~~jednostki~~ "uczastki", podlegamy brygadziście, dziesiętnikom i "prorabom" <sup>3</sup> ~~4~~.

Dostałem się do "strojuczastka", oddziału budowlane. Brygadzi-  
tą jest były oficer radziecki Wiodor Antonow, też więzien, czyli

---

<sup>1</sup> wachta - budynek przy bramie, w którym dyżurują żołnierze kontrolujący wchodzenie i wychodzenie z obozu.

<sup>2</sup> Szachta - kopalnia.

<sup>3</sup> Prorab - kierownik robót na wydzielonym odcinku.

"zakluczony", w skrócie zeka - oznaczany literami s/k. W butach, krótkim <sup>18</sup>pończosuszku i baraniej czapce z okrągłym daszkiem wygląda jak typowy kozak doński, a z twarzy widać, że to tęgi zabijaka.

Wczesnym rankiem Antonow dzieli chleb pokrojony na "pajki" po siedemset gramów. Na kuchni dostajemy rybną zupę i po śniadaniu zbieramy się przy wachcie na "razwod", wyprowadzenie do pracy. Po skrupulatnym sprawdzeniu liczebności brygady wychodzą przez wachtę i ciągną strzeżone przez ~~fechry~~ straż wojskową, w tundrę. W odległości półtora kilometra zatrzymujemy się i otrzymujemy pierwsze sadanie. Mamy oczyścić z krzewów brzozy pas otaczający "produktownię", prostokąt o powierzchni około kilometra kwadratowego, na którym budowane są trzy kopalnie: dwunasta, czternasta i szesnasta. Te ajaczjagińskie szachty. W oczyszczonym pasie otaczającym teren kopalniany wzniesione będą strażnicze wyszki i ogrodzenie zabezpieczone kolczastym drutem. Teraz każdy więzień dostał swój "uczastek" i wzięliśmy się do roboty. Na wolnym powietrzu, zdala od innych, bo i strażnik był dość daleko, każdy pracował dość ochoczo po miesiącach więzienia i tygodniach udręki etapu. Każdy starał się zdążyć ze swym odcinkiem. Praca nie była ciężka, a rzadka tylko trafiał się mocniej zakorzeniony krzak. Trzeba się było wtedy wysilić i namęczyć.

Pierwszy raz od wielu dni i tygodni spojrzalem dokoła siebie swobodnie. Okolica była falista. Łagodny stok ciągnął się aż do rzeki, za którą wznosiło się wysokie wzgórze zamykające horyzont od północy. Wzgórze przecinała ukośnie linia kolejowa. Tundra. Intensywna zieleń bujnej trawy i zarośli karłowatej brzozy łagodniała w dali w nalcocie niebieskawej mgiełki. Na wschodzie wąskie pasmo granatu na horyzoncie. To północny Ural, kilkadziesiąt kilometrów stąd. Smutek ogarniał ten dziwny kraj.

Po skończonej pracy wracaliśmy do obozu zmęczeni, ale pogodni. Złknęliśmy powietrza, przestrzeni, byliśmy wśród zieleni, nie widzie-

lińny z bliska <sup>Żelaznicy</sup> behreweów, nie było psów. Oczyszczanie pasa tundry wokół obszaru budowy trzech kopalni zajęło nam kilka dni. Inne brygady były w tym pasie słupki, przeciągały druty, budowały wysoki strażnicze. Potem dwie brygady skierowano do budowy dróg w tundrze. Każda liczyła dwudziestu ludzi. Nasza pracowała od szóstej do szesnastej, druga - od szesnastej do drugiej w nocy. Po dziesięć godzin. Tak, na dwie zmiany, pracowali budowlańcy, "stroitiele". A co dziewięć dni mieliśmy wolny od pracy dzień, "wychadnej". Praca była ciężka. Nad rzeką Workutą było żwirowisko. Tam podjeżdżały ciężarówki, na które ładowaliśmy łopatami żwir. Samochody odwoziły żwir na koniec drogi, tam inni członkowie brygady wyładowywali go i wyrównywali. Samochody wracały po nowy ładunek i ugniatały drogę swym ciężarem. W ten sposób droga wydłużała się stopniowo. Robota ciężka, nie się tu nie da wykombinować. Wszyscy pracują, trudno się więc ocierać. Ciężarówki krążą szybko, ledwie jedną naładowaliśmy, już druga podjeżdża. Pogania nas jeszcze jedno: za dwadzieścia pięć metrów bieżących usypanej w ciągu zmiany drogi brygada dostawała trzeci "kocioł" i osiemset pięćdziesiąt gramów chleba. Gdy brakło choćby dwu metrów, był kocioł drugi, znacznie uboższy, chleba było o sto gramów mniej, innych dodatków również.

Był to przemyślany i wypróbowany sposób napędzania do pracy. W obozach Workuty pożywienie wydawano według sześciu "kotłów". Podstawą wyżywienia był chleb, ciemny, razowy. Dzienna racja wynosiła od sześciuset gramów na pierwszy kocioł, do tysiąca stu na szósty, jakimi otrzymywali tylko górnicy dołowi przy wykonaniu dziennego planu. Na wyższe kotły wydawano też więcej dodatków jak gęsta kasza, kawałki mięsa czy ryby. Poza chlebem głównym składnikiem pożywienia była rzadka zupa z rozgotowanej kaszy często na drobnej rybie, łyżka gęstej kaszy jęczmiennej, trochę ryby, z rzadka kawałek mięsa, parę

kropel oleju.

Przy ciężkiej pracy górnika czy budowlanego w surowym klimacie polarnym pożywienie było niewystarczające, tym bardziej że z tych chudych norm sporo kradła obsługa kuchni dla siebie, dla "nariadczaków", a także dla błatnych i bandytów, od których była zależna. Jedną tylko rzecz była strzeżona - "garbuszka", pajda chleba o określonej wadze. Tę każdy "zakluczony" musiał otrzymać.

Ale wróćmy na budowę drogi. Robota była ciężka. Dziesięć godzin ciężkiej pracy wyczerpywało szybko siły, ubywało ludzi z brygady, chorowali. Pozostałym było jeszcze trudniej. Wlekliśmy się po robocie te trzy kilometry do obozu umęczenia, w milczeniu, myśląc tylko, by zjeść tę wieczorną supę i kaszę - chleba nikt nie dochował do tej pory - i rzucić się na deski na krótki odpoczynek.

Tymczasem rozproszyła się nasza gromadka. Greczanik i <sup>Garniewicz</sup> Gwałsiewicz zostali zabrani do innych ołpów<sup>2</sup>. Niemiro, Zieliński i Romanowski zostali brygadzystami, inni rozsypali się po różnych brygadach. Zostałem sam w brygadzie złożonej z Litwinów. Sąsiadem moim na narach był Uzdawinis, człowiek drobnej budowy, chudy, o bystrym spojrzeniu. Był to wykształcony Litwin, dziennikarz, świetnie mówiący po polsku. Zaczęły się rozmowy. Po wyczerpaniu spraw osobistych przeszliśmy na tematy polsko-litewskie. Uzdawinis, wojujący nacjonalista, był wiceprezesem Związku Wyzwolenia Wilna. Potoczyły się dyskusje i spory. Mieszały się racje historyczne i etnograficzne.

Uzdawinis wywodził, że unia z Polską przyniosła Litwie więcej szkód niż korzyści. Z ogromnego państwa sięgającego od Witebska i Smoleńska po Morze Czarne na południu Litwa skurczyła się po Żmudź, Kowieńszczyznę i Wileńszczyznę. Rycerstwo i wielkie rody książęce

---

<sup>2</sup> Ołp - oddzielny łagiernej punkt, obóz.

spolonizowały się całkowicie. Radziwiłłowie, Chodkiewiczowie, Skirmunt, Giełguć, Traugutt służyli polskiej racji stanu, wzbogacali polską kulturę. Litewska pozostała tylko wieś i dlatego tak późno, dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, przyszło odrodzenie narodowe i z takim trudem buduje naród litewski swą kulturę.

Replikowałem, że gdyby nie unia, Krzyżacy zgnietliby Litwę do ostatka i wynarodowiliby całkowicie jak Prusów, że przecież Litwini myśleli już poważnie o całkowitym przesiedleniu całego narodu na inne ziemie, że państwo litewskie było Litwą z nazwy, a w samej rzeczy było to państwo ruskie z ludnością białoruską od Smoleńska po Wilno i Grodno, a ukraińską na południu, że językiem na dworze Jagiełły był ruski, że pierwsze zapisy prawne czynione były w języku ruskim, że w Wilnie w roku 1938 było według rocznika statystycznego zaledwie pięć tysięcy Litwinów, że nie było nigdy ucisku ani przymusu narodowościowego, a dowodem pełnego liberalizmu w tej mierze są przypadki wolnego wybrania narodowości przez rodzonych braci, jak na przykład Romas<sup>er</sup> i Romasi<sup>eris</sup>, Iwanauskas i Iwanowski i wielu innych, że wreszcie rody litewskie zostały potężnie zasilone polską krwią tysięcy braneńców wprowadzonych przez najazdy Mendoga, Giedymina i Kiejstuta, czego żartobliwym świadectwem jest znany wiersz Mickiewicza o trzech Budrysach.

Najciekawsze jednak było odrodzenie narodowe i budowa nowego państwa po roku 1919. Było to wtedy społeczeństwo chłopskie z bardzo małą domieszką rodzimej litewskiej inteligencji. Ziemiaństwo i większość inteligencji miejskiej były polskie. Litwini zaczęli organizować szkolnictwo, kształcić inteligencję, rozwijać własne życie gospodarcze, społeczne i kulturalne. Trzeba było budować wszystko, trzeba było oczyścić język z dużych nalotów polszczyzny, wzbogacić go nowymi wyrażeniami, których brakowało. Oto kilka przykładów. Kiedy mój sąsiad przedstawił się profesorowi jako student Uładawinis, ten ucie-

Skowiaty polskie

szył się i powiedział; tak nazwiemy zadanie szkolne. Uzdawinis pamiętał, jak matka śpiewała w kościele z innymi kobietami po polsku nie rozumiejąc treści pieśni i przekręcając dźwięki: "weselmysiel", radujmysiel". Ja sam słyszałem jeszcze w celi więziennej starych Litwinów mówiących "słabys, mocnys czy kieba zamiast obecnego duona. A w momencie naszej rozmowy Litwa miała przecież po dwudziestu latach państwowej samodzielności oczyszczony i wzbogacony do dzisiejszych potrzeb język, organizację szkolnictwa z uniwersytetem na czele, bogate życie kulturalne, literaturę, muzykę, teatr. Nastąpiło pełne odrodzenie kulturalne narodu. A i życie gospodarcze mieli Litwini na dość wysokim poziomie. Rozbudowane było nadmiernie poczucie narodowe do granic szowinizmu. Przecież niektórzy księża litewscy mówili, że Bóg nie przyjmuje modlitwy po polsku, bo to język psi. A w kościołach wileńskich szowiniści wywoływali bójki z Polakami śpiewającymi polskie pieśni religijne. Rozwijano pamięć tego, że Litwa sięga od Bałtyku po Morze Czarne. Budzono niechęć do Polaków, budzono pragnienie odzyskania Wilna, które w zapisie konstytucji pozostało wciąż stolicą państwa. Zorganizowano Związek Wyzwolenia Wilna, którego wiceprezesem był właśnie Uzdawinis. Jesienią 1939 roku rząd radziecki przekazał Wilno Litwie, wprowadzając jednocześnie swe wojska do baz w tym kraju. "Vilnius musu, Lietuva rusu" - Wilno litewskie, Litwa rosyjska - biadali starsi Litwini.

Nie brakło nam więc tematów do rozmowy, rozważań i sporów. Były to rozmowy spokojne w tonie, losy Wilna i Litwy były przecież przesądzone, a my obaj byliśmy więźniami w radzieckim obozie. Rozmowy te dały mi dużo do myślenia. Trzeba było wprowadzić pewne korekty i uzupełnienia do naszej historii. Trzeba zrozumieć Litwinów.

Niedługo trwały te rozmowy. Uzdawinis, wątpliwy i słaby, wykruszył się wcześniej, wypisano go z brygady. Ale to on właśnie, kiedy się znów spotkaliśmy na terenie obozu, poinformował mnie, że potrzebny

pełn

musu-nancet

57

jest robotnik do brygady pomiarowej, do tak zwanego markszajderskiego biura. Zgłosiłem się do głównego markszajdera Własowa - też zakluczonego - i zostałem przyjęty. Nie poszło to tak łatwo. Własow polecił mi nie wychodzić już z brygadą do pracy. Zostałem więc w namiocie, gdy brygada wychodziła na "razwod". Wtedy brygadzysta Antonow ściągnął czterech "nariadoczyków"<sup>22</sup>, którzy zaczęli mnie przed namiotem szarpać i bić. Broniłem się uskakując i zasłaniając się rękami, a jednemu, który uderzył mnie, wyrwałem kij i oddałem cios. Na szczęście przechodził tamtędy "wospitatiel"<sup>23</sup>, przerwano okładanie mnie i zamknięto w karcerze, w którym spędziłem noc. Miałem szczęście, że byłem w swej wateowanej kurtce amortyzującej padające ciosy. Nie ucierpiałem zbyt wiele. Jeszcze raz dopisało mi szczęście, że biuro obozowe przepisało mnie z brygady szosowców do brygady geodetów kopalnianych, markbiura.

Odetchnąłem. Do moich obowiązków należało teraz noszenie aparatów pomiarowych jak teodolit, niwelator, rejki, pomoc przy pomiarach i czyszczenie sprzętu po skończeniu pracy. Robiliśmy to we dwóch z drugim robotnikiem młodym Litwinem Kowalunasem. Naczelnik markbiura Własow, inżynier leśnik, odbywający karę obozu za niewolę fińską, energiczny czterdziestolatek, kierował trójką młodych markszajderów przysłanych świeżo po kursie. Uczył niedoświadczonych rzemieślni pomiarowego. Większość prac wykonywaliśmy w tundrze, na powierzchni.

---

<sup>22</sup> Nariadoczyk - więzień pełniący funkcje pomocnicze przy wyprowadzaniu więźniów do pracy i utrzymywaniu porządku w obozie. Odpowiednik kapo w hitlerowskich obozach. Byli to zwykle młodzi, silni ludzie bijący brutalnie ociągających się czy nieposłusznych więźniów.

<sup>23</sup> Wospitatiel - wychowawca mający perswazję i informację podnosić dyscyplinę wśród więźniów.

W budowie były tu trzy kopalnie - dwunasta, czternasta i szesnasta - oraz nowy obóz zaplanowany w odległości kilometra od tymczasowego przylegającego do szachty siódmej. Trzeba więc było wykonać wiele pomiarów, dużo było chodzenia po tundrze. A chodziło się dziwnie ciężko, dawała o sobie znać cynga, szkorbut. Często było ciężko, teodolit w skrzynce ważył sporo, a chodzić trzeba było prędko, często i przebiec. Ale to nie "na łopacie". Odetchnąłem w tej pracy. Nacodziłem się wtedy po tundrze, napatrzyłem się, polubiłem jej szętny urok. W sierpniu pojawiły się wśród krzaków polaznej brzozy jagody, duże, sine. Zaczęliśmy próbować. Nie szkodziły. Kwaliśmy je odtąd przy każdej okazji, póki nie popędził Własow. Przecież to był ratunek przed cyngą.

Stosunki w brygadzie były dobre. Rozmowy czy to rzeczowe przy dokonywaniu pomiarów, czy w chwili odpoczynku, oswajały z językiem rosyjskim, którego przecież nie znałem dotąd. Często trafiałem na niespedzianki. Dziwiło mnie, że polecenie "zapomni" oznaczało: zapamiętaj, naszemu zaś "zapomnieć" odpowiadało rosyjskie "zabyć". Marksajderzy, starzy, doświadczeni więźniowie, Rosjanie, opowiadali o życiu obozowym, o panujących zwyczajach, ostrzegali, uczyli. Własow Wasilij Siemionowicz, oficer rezerwy, odbył kampanię fińską, dostał się do niewoli. Po zawarciu pokoju rozmawiał z radzieckimi oficerami przedstawiciel szwedzkiego Czerwonego Krzyża, ostrzegając przed powrotem do Związku, gdzie grozi im więzienie i obóz. Propozował natomiast wyjazd do Szwecji, gdzie po odpowiednich kursach otrzymają dobrą pracę i będą mogli żyć spokojnie. I Własow, i inni oficerowie odmówili, nie uwierzyli w zapowiadane represje. Na granicy witano powracających uroczysto, wojskowa orkiestra rąnęła suwerowskiego marsza i współczesne popularne melodie. Wsadzono ich do wygodnych pasażerskich wagonów. Cieszyli się i świętowali wszyscy. I dopiero gdy obudzili się rankiem, zobaczyli uzbrojonych strażni-

4

ków u drzwi wagonów. Przez Leningrad przelecieli nocą, a potem wyładowali<sup>no</sup> ich na jakiejś małej stacji i sformowane w kolumnę otoczoną wzmocnionymi strażami wojsk NKWD i poprowadzone wprost do obozu. Tam ogłoszono im wyroki sądu wojskowego z artykułu 58, za "zdradę ojczyzny", otrzymali po dziesięć lat obozu, zostali więźniami politycznymi. Miał rację Szwed z Czerwonego Krzyża. O tych przejściach opowiedział nam Własow później, kiedy poznaliśmy się bliżej. Teraz pełnił obowiązki marksajdera, geodety kopalnianego. Z geodesją był dobrze obznajmiony jako inżynier leśnik. Był to człowiek czterdziestoletni, silny i sprawny fizycznie, energiczny, porywczy. Pracowaliśmy z nim szybko, a pomiarów było dużo. Oznakowaliśmy granice nowego obozu. Zajmował on blisko kilometr kwadratowy tundry. Stopniowo wyznaczono miejsce dla kuchni, łaźni i kilkunastu baraków. Niebawem brygady "strojuczastka" - oddziału budowlanców - rozpoczęły budowę obiektów. Wyzaczyliśmy następnie tory kolei dojazdowej do każdej kopalni, a następnie linię wodociągu mającego doprowadzać do obozu wodę z położonej nad rzeką stacji pomp. Ważniejsze pomiary obejmowały położone na powierzchni budynki kopalniane mające <sup>pomieszcza</sup> przebiegi biura, łaźnie, pomieszczenia dla górników itd. Najważniejsze jednak były pomiary samych kopalni. [Narazie na każdej drążono trzy szyby - "stwoły" - główny, pomocniczy i wentylacyjny. Szyby miały już po 20-30 metrów głębokości. Nad każdym wznosiła się tymczasowa wieża wyciągowa zbudowana z grubych belek. Na nawiniętej na gruby walec stalowej linie spuszczano w głąb szybu "badię" - ogromne wiadro z grubej blachy - w której zjeżdżali na dno górnicy i wydawali na górę wyłamany na dole gruz skalny. Linę podciągał podręczny wyciąg - "lebiódka" - umocowany dziesięć metrów od szybu. Nadzór marksajdera polegał w tym okresie na dopilnowaniu, by szyb prowadzony był dokładnie pionowo bez zbędnego wgłębiania się w ścianę studni.

Szyb, podobnie jak studnia, był zbrojony cembrowiną z grubych belek w miarę posuwania się w głąb. Markszejder mierzył także postęp drążenia, gdyż od tego zależały "kotły" brygad. Prace pomiarowe nie były ciężkie, ale wymagały dużej uwagi i czujności. Zdarzyło się na moich oczach, że maszynista nie zdołał w porę zatrzymać wyciągu i badia nie zatrzymała się na poziomie wylotu, poszła wyżej, docisnęła się do wału i wywróciła się do góry dnem. Wracali w niej dwaj markszejderzy z pomiarów na dole. Sprawny i szybki Własow zdążył wyskoczyć i uchwycić się belki, a powolniejszy jego pomocnik, Miassa Pol-szkow, spadł na dno zabijając się na miejscu.

W tundrze robota wrzała. Utwardzona droga wyszła znad rzeki, przecięła teren trzech kopalni i łukiem zmierzała do siódmej kopalni, by dołączyć do biegnącego tamtędy głównego traktu. Spotykałem często swoją dawną brygadę szosowców, w której tylko połowę stanowili starzy robotnicy, reszta wykruszyła się. Uzupełniono ją nowymi więźnia-mi. Rosły baraki nowego obozu na kilka tysięcy więźniów, wytyczonego właśnie przez markbiuro. Kolejną nadchodziły z zakładu obróbki drze-wa różne materiały: belki, deski, gotowe fragmenty ścian, okna i drzwi. Wieczorami nosiliśmy je przez tundrę od kolei na teren obozu.

*√ Kilometry kwadratowe  
Duży teren, ponad dwa km<sup>2</sup> w zakolu rzeki Ajacz-jagi zajęły trzy  
kopalnie: 12, 14 i 16. Budowa ich była głównym zadaniem naszego obo-  
zu. Górnicy - "garniaki" - drążyli szyby, a po dojściu do pokładu  
węgla - sztreki, chodniki. Na każdej kopalni było kilka "uczastków",  
oddziałów, w każdym trzy brygady pracujące na trzy zmiany. Jesienią  
zostały one poważnie wzmocnione przez przywieziony niedawno "spec-  
kontygent". Byli to Łotysze i Estończycy, żołnierze oddziałów współ-  
działających z Niemcami. Przybyli jeszcze w niemieckich mundurach i  
pasach, z wojskowymi manierkami. Młodzi i silni, dyscyplinowani,  
pracowali wydajnie, szybko się jednak wykruszali.*

Prace budowlane prowadzili "wolnonajemni", Niemcy nadwołańscy,

zesłani na daleką północ podczas wojny. Chłopy rosło, tegie, pracowali spokojnie, w sposób zorganizowany, wydajnie, zarabiając na swe utrzymanie i wszystkie swoje potrzeby. Mieszkali w barakach w sąsiednich osiedlach. Na terenie kopalnianym zajmowali jeden stary barak, część zaś zajmowała duży namiot w tundrze podzielony na oddzielne kłitki dla poszczególnych rodzin. Pamiętam płacz malutkiego dziecka, kiedy zimą przy trzydziestostopniowym mrozie zaszedłem raz, by kupić "szklanę" tytoniu. Byłem wstrząśnięty.

Niemcy wykonywali wszystkie roboty ciesielskie i stolarskie. Pracowali z "obogriewem", palili ogniska, przy których ogrzewali się od czasu do czasu na mrozie. Przez cały czas słychać było stuk siekier i rytmiczne nawoływania przy niektórych pracach. Szeroko niósł się w mroźnym powietrzu zaśpiew przewodnika kierującego zbiorowym wysiłkiem: "Dawaj wziali, jeszcze wziali, razem wziali".

Zesłani z rodzinami Niemcy pozostali wolnymi, ale musieli się co miesiąc meldować w komendanturze NKWD i nie mogli nigdzie wyjeżdżać z Workuty. Byli to "specpieresieleńcy". Opowiadano, że kiedy walki frontowe zaczęły się zbliżać do Donu i Wołgi, na zamieszkaną przez Niemców od czasów Katarzyny II Powołża skierowany został oficer "Kontrrazwiedki", wywiadu wojskowego, przebrany za hitlerowskiego spadochroniarza. Dotarł on do najbliższej wsi niemieckiej i poprosił o pomoc. Wieś udzieliła mu tej pomocy, nie wydano go władzom. Po tej próbie usunięto całą niemiecką ludność Powołża na daleką północ i na Syberię.

Pora na krótką informację o zróżnicowaniu prawnym ludzi mieszkających i pracujących na Workucie i o tym, jak ich nazywano potocznie i jak oznaczano w dokumentach i sprawozdaniach. Ludność Workuty dzieliła się na pięć klas.

1. "Wolnonajomyje" (ozn. w/n), ludzie wolni, przyjezdni lub po odbyciu kary, a także wszystkie służby NKWD z wojskowymi włącznie.

67

2. "Specpieresielency" (s/p) - to przesiedleni przymusowo Niemcy. Pozostawali oni wolnymi, ale mieli ograniczone prawa; nie wolno im było wyjeżdżać z Workuty i musieli się regularnie meldować w posterunkach NKWD.

3. "Speckontyngent" (s/k) - żołnierze z łotewskich i estońskich oddziałów współdziałających z hitlerowcami.

4. "Zakluczennyje" (s/k) - więźniowie skazani przez różne sądy na karę obozu pracy przymusowej. Byli to zarówno obywatele radzieccy, jak i Polacy, Litwini czy inne narodowości, przymusowo za takich uznane. Z wyrokami do dziesięciu lat.

5. "Katorżanie" (ktr) - katorżnicy skazani na karę obozu powyżej piętnastu lat. Odbywali karę wyłącznie na pracach fizycznych, traktowani byli najsurowiej.

Ludność Workuty była więc mocno zróżnicowana, dzieliła się na klasy o ostrych, nieprzekraczalnych granicach. Ludność całego Związku Radzieckiego również była społeczeństwem klasowym. Dwie główne klasy to uprzywilejowana mniejszość - partyjni komuniści, a z drugiej strony zwykli, szarzy obywatele - bezpartyjni. W pierwszej grupie wyróżniała się jeszcze prawdziwa arystokracja ciesząca się pełnią władzy i materialnymi przywilejami - to pracownicy NKWD. Wśród zwykłych obywateli najmniej praw i szans życiowych mieli ludzie wsi - kołchoźnicy. Była też liczna grupa ludzi poza prawem - to skazani, pędzący pełne ograniczeń życie w obozach i więzieniach.

Kończyło się krótkie północne lato, nadszła jesień, wróciły zwykłe, ciemne noce. Powiało chłodem, przymrozki ścinały kałużę wody. Tundra straciła gęstą, soczystą zielenią, zrudziała. Pewnego ranka granatowe pasmo Uralu, zamykające horyzont od wschodu, pobielalo, śnieg osiadł na skłonach gór. I tak już zostało. Marzliśmy nocami w namiotach. Ale roboty szły wartkim tempem. Pomiarzy wykonywaliśmy na

65

wszystkich obiektach, miałem więc teraz pełny przegląd całości.

Nasz duży kilkutyśięczny już obóz dostarczał "rabsiły" - roboczej siły przedsiębiorstwu budowlanemu - "stroitelstwu". Budowało ono wspomniane już trzy kopalnie - 12, 14, 16, drogi dojazdowe, odcinki linii kolejowej, nowy obóz dla więźniów i linię wodociagową od stacji pomp nad rzeką, a później całe osiedle domków dla ludzi wolnych. Ogromny to był zakres robót bardzo przy tym różnorodnych. Naczelnikiem był inżynier Komanow Grigorij Jefimowicz. Jeździł konno doglądając szeroko rozrzuconego terenu robót. Reszty, silnej budowy, opalony na słońcu i wietrze przypominał Londonowskie postaci z dalekiej północy. Podobni byli i jego pomocnicy, kierujący oddzielnymi odcinkami pracy "prorabowie", chłopy rosłe o ostrych rysach twarzy i zdecydowanych ruchach. Imponowali ci zahartowani ludzie przywykli do rozkazywania. Jak się później okazało, byli to bądź jeszcze więźniowie, bądź ludzie wolni, ale najczęściej po odbyciu już wyroku. Ludzi całkowicie wolnych, nie tkniętych wyrokami sądów, było w tym czasie na Workucie niewiele. Byli to przede wszystkim wojskowi, którzy za różne przewinienia zostali tu wysłani na "sztrafną komandirowkę", na tak zwane "białe niedźwiedzie". Na Workutę nie wysyłano w nagrodę. Oddzielną kategorię stanowiły służby NKWD, liczne kadry oficerów i niższych szczebli tworzących gęstą sieć nadzoru politycznego nad obozami więźniów, nad zesłańcami i całą wolną ludnością okręgu Workuty. Do dyspozycji mieli liczne oddziały specjalnych wojsk NKWD pełniących głównie służby wartownicze i konwojujących robocze brygady.

Siódmego września chwycił mróz i już nie popuścił. Na razie kilkunastopniowy, ale od początków października stężał do kilkunastu stopni. Spadły śniegi i przybywało ich coraz więcej. Dokuczliwe stały się wiatry mierzące sypkim, zmarzniętym śniegiem. Taka burza śnież-

na, kilkudniowa zwykle zawierucha, to "purga", kolejna plaga późnocy.

W połowie października przesiedlono nas do nowego obozu. Zajęliśmy dopiero co wybudowane, ale nie wykończone jeszcze baraki. Ciągnęło się tygodniami tynkowanie, dopasowywanie i opatrywanie okien, ale najpilniejsze było wykończenie pieców, było już przecież potężnie zimno. Użyto więc metrowych kawałków szyn na płyty i natychmiast zaczęto palić przynoszonymi z kopalni przez brygady górnicze bryłami węgla. Elektrycy zakładali zdobywane na kopalni żarówki. Pozostało tylko obłożyć ściany baraku grubą warstwą śniegu i byliśmy jako tako zabezpieczeni przed zimnem. Brakowało wszystkiego, ale obcy z obozowym życiem Rosjanie radzili sobie zadziwiająco z brakami, umieli zdobyć zastępcze materiały. Przydawało się wszystko. Z kawałków szyn zrobiono płyty piecowe. Gwoździe zdobywaliśmy rozbijając zbite z desek rury do wentylacji. Z kawałków drewna robiono łyżki, ze stalowego drutu igły, pisano na płaskich ścinkach drewna, gdy brakło papieru. Nie było rzeczy niemożliwych.

Zamieszkaliśmy więc w nowych barakach. Barak to drewniany prostokątny budynek długości trzydziestu, szerokości sześciu metrów, kryty dachem z desek. Miał dwa wyjścia. Wchodziło się przez mały ganeczek "tambur". Po obu stronach ciągnęły się dwupiętrowe nary, śródkiem było przejście. Stały w nim dwa piece z cegły z płytami, dwa stoły i kilka taboretów. Przy wejściu znajdowała się umywalka, rodzaj korytka z desek, do którego wlewało się wodę ze stojącej obok beczki. Woda wypływała z korytka, gdy podnosiło się czopki zamykające otwoxy. Wystarczało do umycia twarzy i rąk. W drugim końcu baraku była "suszyłka", wydzielona komórka, a w niej piec, nad płytą którego umocowano drucianą siatkę i haki do zawieszania mokrych buszlatów i walonek<sup>22</sup>. W piecu palił i doglądał suszenia mokrych ubrań

<sup>22</sup> Buszlat - wierzchnia, długa, watowana kurtka. Walonki - filcowe obuwie na zimę.

dnie-

67  
"suszylszczyk", zwykle jakiś inwalida, człowiek słaby i stary. Dwaj "driewalni", też ludzie niezdolni do ciężkiej pracy, przynosili wodę i węgiel, sprząтали barak, doglądali porządku. Pełnili też inne specjalne funkcje, donosili "kumowi"<sup>22</sup> o wszystkim, co się w baraku działo.

W baraku mieściło się około stu pięćdziesięciu ludzi, często było ich więcej. Spało się na deskach. Radzi byliśmy z przeniesienia się z namiotów do baraków, nie podwiewał<sup>tu</sup> wiatr, nie nanosił śniegu, zrobiło się ciepło, gdy wykończono piec. Było to jakieś schronienie, każdy miał tu kąt na narach, gdzie zostawiał swe mizerne łachy czy puszki z konserw, w które zabierał swoją zupę i kaszę. Mógł to spokojnie zjeść, a potem wyciągnąć się na deskach i odetchnąć po utrudzeniu nad miarę ciężką pracą i rozwodami, dojściem na szachtę i powrotem w mrozie i wiatrach. To był nasz dom. Ciasno było i duszno, smrodliwie i ciemno. Jedna żarówka słabo rozpraszała mrok. Śmierdziało zdejmowane obuwie, rozwijane onuce, brudne i zapocone, częste przemoczzone watowane spodnie, ciężogrejki i buszkaty, rzadko widzące wodę ciała. A i razowy chleb robił swoje. Górnicy gazowali tego.

Najgorsze były pierwsze dwa lata, gdy górnicy wyjeżdżali z szachty w przemoczonych ubraniach i w nich wracali do obozu. Ubrania zamarzały w drodze, tajały dopiero w baraku i dosychały w suszylce. Dodatkowym utrapieniem były wszy i pluskwy. To była prawdziwa plaga. Nie było na nie rady. Niewiele pomagało codzienne przegładanie bielizny i ubrania. Roziło się od robactwa. Zmieniło się to dopiero po dwu-trzech latach, gdy na każdej szachcie urządzono prymitywną łaźnię. Zaopatrzone wtedy górników w dodatkowe robocze ubranie - stare

---

<sup>22</sup> Kum - oficer NKWD, szef politycznego nadzoru nad obozem, potocznie nazywano go opex albo kum.

zniszczone spodnie i tciogrejki - ktore po pracy kazdy mogl zdjac, mogl sie chocby powierzchownie umyc i wlozyc swoje suche ubranie. Urzadzono wtedy i przy obozowej lazni komory dezynfekcyjne, w ktorych prazono ubrania i bielizne w temperaturze dwustu stopni. Stopniowo wyteplono wszy w ten sposob. Gorzej bylo z pluskwami, ale kilkakrotnie w ciagu zimy wynoszenie ubrań wraz z narami na ostry mroz - na czas gdy brygada wyszla do pracy - i tu pomoglo. ~~nie to bylo~~ ~~duzo pozniej, na razie wszyscy dotkliwie cierpieli.~~

Duzym utrapieniem byly tez "prowierki", sprawdzanie liczby wienziow. Dokonywano ich rano po wyjeciu pierwszej zmiany na szachte i wieczorem. Dlugie stanie na deszczu lub mrozie, zanim przeliczono wszystkich i stwierdzono, ze nikogo nie brakuje, bylo dodatkowa <sup>waga</sup> ~~mq~~ ~~ka~~. Po kilku latach zaczęto te apele przeprowadzac w barakach. Bylo wtedy znacznie lzej.

Pierwsze piec lat lagru, a szczegolnie lata 1946 - 1947 byly bardzo ciezkie. Totez wienziowie szybko podupadali na zdrowiu, opadali z sil i masowo chorowali. Duzo pracy miala obozowa sluzba zdrowia. Dlugie kolejki byly zawsze w przychodni, gdzie lekarze przyjmowali chorych. Mozna tu bylo otrzymac dorazna pomoc czy zwolnienie z pracy na jeden dzien. Pewnie chorych i krańcowo wyczerpanych kierowano do szpitali, "stacjonarow". Dzieko sie tak dopiero w przypadkach ostrej choroby i przy daleko posunietej dystrofii, kiedy wienziow byl juz zupełnie wyczerpany i opadł z sil. Kiedy "doszedł" do krańca, stal sie "dochodlaga".

Lekarzami byli wienziowie, czeste - zwlaszcza w pozniejszych latach - byli to dobrzy specjaliści. Tylko naczelnik "sanczasti" - obozowej sluzby zdrowia - i "glaw-wracz" - naczelny lekarz - byli ludźmi wolnymi. W ciagu dziesieciu lat obozowych spotkalem osmiu lekarzy Polakow: Dobrzański, Burylo, ~~Rambo~~, ~~Zwikogrodzki~~, Nawrzyńczyk, Kiedo, Kempiański, Sarnot. Wszyscy cieszyli sie dobra opinia, a juz

prawdziwym autorytetem był doktor Dobrzański. Lekarze pełnili swe obowiązki uczciwie, starali się pomóc chorym. Brakowało jednak lekarstw, zwłaszcza w pierwszych trzech latach. Później dopiero pojawiły się witaminy i kwas askorbinowy w zastrzykach przeciw cyndze i inne lekarstwa. Główną pomoc przynosił początkowo wypoczynek w stajonarach. Pełno w nich było dystrofików i innych chorych. Zimą czterdziestego siódmego roku co trzeci więzień był w szpitalu! Najcięższe to były lata - 46, 47 - dla obozowej braci. Niedożywienie - brak zwłaszcza tłuszczu, białka i witamin - wyczerpująca, ponad siły praca, wypadki, surowy klimat, brak słońca i światła, uciążliwe rozwoły, ciasnota i brud w barakach, robactwo, nieludzkie, brutalne obchodzenie się nadzoru - oto główne przyczyny tego stanu rzeczy.

*procedura wysłuchania do pracy.*

W niemałym stopniu przyczyniały się do tego kary. Szafowano nimi za byle przewinienie, a nawet bez przewinienia. A repertuar kar był bogaty. Spisanie na ciężkie roboty fizyczne, "na obszarowe roboty", spisanie "w szachtu", sztrafny "kocioł", a wreszcie "bur", karczer, gdzie głodzono, bito i ... mrożono. Mój młody przyjaciel Janusz Guttry spędził tam po sprowokowanej bójkę pięć dób ze swoim prześladowcą. Byli obaj zupełnie goli w nieopalanej celi. Zimą.

Dotkliwie dawało się we znaki przemieszczenie więźniów politycznych z kryminalistami. Władze obozowe celowo stosowały ten system. Chodziło im o złamanie resztek oporu więźniów. W każdej chwili można było zostać pobitym czy okradzionym. Sprawdziłem to w dotkliwy sposób na sobie. Po dwu tygodniach pobytu w obozie skradziono mi woreczek z zapasową bielizną, po dwu miesiącach kurtkę "moskwiczkę". Po miesiącu zostałem pobity przez nariadczyków. Miałem przy tym duże szczęście, że niezbyt groźnie. Drugi raz dostałem kilka tygodni później. Jeszcze groźniej było po kilku następnych tygodniach. Młody, silny złodziejasek - jeszcze ich wtedy nie rozpoznawałem dobrze - sięgnął

bezczelnie do mojej kieszeni i porwał garstkę tytoniu nawiniętą w łaśzek. Próbowałem go odebrać. Zaczęliśmy się szamotać, a skończyło się zawziętą bójką. Pomogła mi niejaka znajomość boksu, ale on był silniejszy. Udało mi się jednak kopnąć go mocno w brzuch, co zakończyło walkę. Ja wylizałem się po kilku dniach, miałem tylko pęknięte dwa żebra, wybity ząb, rozdarte ucho, nie licząc siniaków. Przeciwnik poszedł do stacjonaru, gdzie zmarł po trzech dniach. Byłem wstrząśnięty i walką, i dochodzeniami, i tym że zabiłem.

Te nieludzkie warunki bytowania doprowadziły znaczną część więźniów do zupełnego upadku sił. Trafiali wtedy do stacjonarów. Stąd, po poprawieniu się, po odpeczytku w OP<sup>ni</sup> droga prowadziła z powrotem na szachtę. Więźniowie żyli w tych warunkach życiem wegetatywnym od pobudki do rozrodu, od zjazdu do kopalni do powrotu do obozu, do posiłku i do snu. Wszystkie myśli i dążenia ześrodkowały się wokół tego, by wrócić szczęśliwie z szachty, zjeść, zapalić skręta z machorki i iść spać. Nie było sił na wspomnianie domu, rodziny, żony i dzieci. Nieludzki reżim odebrał wszystko. Wolność, bliskich. I co najgorsze - nadzieję.

Odbycie wyroku dziesięciu lat dla zakłuczonego (z/k) czy piętnastu, dwudziestu dla katorżników (ktr) wydawało się niemożliwe. W dodatku każdy słyszał od ochrowców i wyższych władz, że z obozu nie wyjdzie. Były zresztą przypadki, że gdy więzień kończył swój wyrok, dostawał nowy albo wywożono go na Syberię na przymusowe "posielenie". I to dobijało ludzi. Każdy kurczył się, zamykał w sobie, starał się nie myśleć. Trzeba było ustawić się tak, by najmniej być widocznym, by nie zawadzać, nie narażać się nikomu, ani władzy obozowej, ani

*szkodliwym*

OP - "otdychnijaszczyj punkt", czyli baraku przeznaczona dla rekonwalescentów wychodzących ze stacjonaru.

71

skład ten  
opisał 3

nariadczykowi czy brygadziście, ani bandytem. Żyć "niżej od trawy,  
ciszej od wody". Tak żyła większość więźniów w te najgorsze lata 46,  
47, 48.

Oparciem, pociechą i pomocą był rodak, sąsiad z tej samej okoli-  
cy "ziomlak", wreszcie z biegiem czasu poznany i wypróbowany towa-  
rzysz pracy. Ale to dopiero później, po miesiącach wspólnej biedy,  
często wspólnej miski. Powszechnym bowiem było zwyczajem, przynie-  
sionym przez frontowych żołnierzy, jadenie z jednego naczynia. Stąd  
wywodzi się powiedzenie "odnokaszniki".

Tymczasem zaś o ludzi dbano mało, wciąż nadchodziły obfite uzu-  
pełnienia. NKWD robiło porządki po zakończeniu wojny, szczególnie  
na ziemiach, które znalazły się pod okupacją niemiecką i na ziemiach  
zabranych Polsce. Tam było dużo "zdrajców ojczyzny", dużo żołnierzy  
wracalo z niewoli. I oni byli "izmiennikami rodziny", wszyscy dosta-  
wali artykuł 58 i stawali się politycznymi więźniami. Dopiero w la-  
tach 48, 49 ten strumień zaczął wysychać. Wyłowiono już do tego cza-  
su kogo było trzeba, stłamszone społeczeństwo żyło cicho i posłusz-  
nie. Nabór ludzi na potrzeby ogromnego imperium przemysłowego NKWD  
stał się trudniejszy. Zaczęto z konieczności szanować "rabsiłę"<sup>23</sup>,  
dbać więcej o nią, stwarzać jej bardziej ludzkie warunki wogetowa-  
nia. Początek lat pięćdziesiątych przyniósł duże zmiany w tej mierze.

Jednak nawet w tych najgorszych powojennych latach nie było w ra-  
dzieckich obozach dążenia do szybkiego wyniszczenia więźniów. Postę-  
powano tu inaczej niż robili Niemcy dążący do wykończenia więźniów  
w kilka miesięcy lub mordujący ich przyspieszonym trybem w komorach  
gazowych. Władze radzieckie - <sup>MGB</sup> ~~MGB~~ czy NKWD - dysponowały olbrzymimi

---

<sup>23</sup> Rabsiła - robocza siła, ogół robotników.

72

przestrzeniami na dalekiej północy, na Syberii i dalekim wschodzie. Było dość odległych miejsc w lasach, w tajdze i w tundrze, gdzie można było ulokować "poprawcze" kolonie i obozy - "lagieria isprawitelnogo truda". Ogromne oddalenie i oparty jeszcze na carskich wzorach a tylko udoskonalony system nadzoru skutecznie izolował więźniów od społeczeństwa. Przestali już być groźni, można im było bez ryzyka pozwolić bytować w obozach. Można ich było wykorzystać do różnych prac. "Zakluczeni" i katorż<sup>nicy</sup> prowadzili wyrąb lasu, budowali drogi i kanały, koleje, miasta i lotniska, wydobywali węgiel i rudy metali, uprawiali ziemię, hodowali bydło. Powstał ogromny, skomplikowany system więzień i obozów powiązanych z przedsiębiorstwami produkcyjnymi. Więźniowie odbywali karę w obozach, a obozy dostarczały roboczej siły, były "postawszczykom rabsiły" dla kopalń i fabryk. Ich praca przynosiła korzyść, można więc było pozwolić im żyć. Oplacało się. Stąd właśnie płynęła pewna podstawowa dbałość o ich życie, o ich kondycję. Dobry gospodarz dba o swój żywy inwentarz

Władze obozowe dbają więc, by więźniowie mieli jakie takie schronienie w barakach, by otrzymywali dostateczne pożywienie, mieli opiekę lekarską i odpoczynek. W latach pięćdziesiątych zadbane nawet o potrzeby kulturalne podopiecznych. Były więc w barakach głośniki radiowe, z rzadka wyświetlano filmy. Tam w obozie obejrzałem polski film "Zakazane piosenki". Specjalna kult-brygada złożona z więźniów aktorów, śpiewaków i muzyków objeżdżała obozy dając koncerty. W większych obozach były biblioteki, urządzano kursy specjalistyczne dla ślusarzy, elektryków i inne. Sami więźniowie również urządzali koncerty i przedstawienia, nie brakło przecież wśród nich artystów. Latem organizowano rozgrywki siatkówki, koszykówki, a nawet piłki nożnej. W latach wojny i w pierwszych powojennych latach tego wszystkiego nie było. Front pożerał wszystko. Całe społeczeństwo radzieckie długo po wojnie odczuwało dotkliwe braki, tym większe braki od-

czuwały lagry i w wyżywieniu, i w odzieniu, i w opiece medycznej.

Tymczasem zima usadowiła się na dobre. Mrozy rzadko spadały poniżej trzydziestu stopni, a częste bywały dość ostrzejsze. Przy dużych mrozach nie było na szczęście wiatrów.

W taki mroźny dzień w połowie listopada robiliśmy pomiary na szesnastej szachcie. Na powierzchni. Był pogodny słoneczny dzień. Mroz pod czterdziestkę. Świat był jak zastygły. Nic się nie poruszało w zaśnieżonej tundrze. Zmarznięty śnieg chrząścił pod nogami, z usz buchala para naszych oddechów. Słońce stało nisko nad horyzontem, było nieco zamglone, a nad nim i po obu jego stronach w odległości kilku metrów świeciły wyraźnie choć nieco słabiej trzy słońca. Patrząc i oczem nie wierzę, Mrugam, ale obraz nie ustępuje, nie znika. W powietrzu wiszą drobniutkie kryształki śniegu. W nich to załamują się promienie słońca i powodują to dziwne zjawisko przypominające nieco naszą tęczę. Powtórzyło się to kilka razy tej zimy.

W toku prac pomiarowych poznawałem teraz strukturę kopalni. Z każdym dniem słyszałem nowe dziwne nazwy: stwoż, zumpf, ukten, gezenk, zbejka, zabej, kwerszlag, sztrek, otkatocznyj, promieśutocznyj, wentylacyjnyj, ława, ochronnyje celiki, pieczka wydacznaja, pieczka wentylacyjonnaja ... Widziałem po raz pierwszy, jak górnicy w zabój - przodku - drążą elektrycznymi świdrami otwory w węglu i skale, jak potem "zapalszczyk" - górnik strzałowy - zekłada w te otwory amonak i odpala po odsunięciu się górników na bezpieczną odległość. Po rozejściu się gazów górnicy ładują skrussoną skalę i węgiel w wagoniki i odtaczają je ku szybowi. To "otkałka i otkatocznyj sztrek". Bez zwłoki następuje teraz "kroplenie", umocnienie ścian i sufitu chodnika dość grubymi belkami i okragłaka, ramami. Rama to dwie belki ustawione prawie pionowo po obu stronach chodnika i połączone z wierzchu trzecią. Środkiem chodnika układane są szyny, po których

toczą się wagoniki ze skałą i węglem.

Wszystkie prace są ciężkie, wykonywane ręcznie. Kłof, łom, siekiera, piła, łopata - to podstawowe narzędzia. Wyższa technika - to świder elektryczny. Prace są niebezpieczne, trzeba bardzo uważać. Dokuczliwe i niezdrowe są pyły i gazy po odpałach. Odprowadzane są częściowo zbitymi z desek rurami wentylacyjnymi. Później, kiedy kopalnia jest już w eksploatacji, wydrążony w górnej części pokładu chodnik wentylacyjny wyciąga gazy i pyły dzięki silnemu wentylatorowi.

Jeszcze jedna uciążliwość. Szachta i wszystkie jej chodniki i ściany leżą w obrębie wiecznej zmarzliny. Jej ściany są ścięte od tysięcy lat wiecznym mrozem. Trafiają się i szczeliny wypełnione lodem. Dostające się teraz cieplejsze powietrze rozmrzała powierzchnię ścian. Zaczyna z nich kapać i ściekać woda. Nie ma przed nią ucieczki. Po ośmiu godzinach pracy górnik wyjeżdża z kopalni w przemoczonych waciakach. Zanim brygady zbiorą się przy wachcie kopalnianej, zanim przejdą bliskie dwa kilometry przez tundrę, nim zostaną przepuszczone przez wachtę do obozu, ubrania są zmarznięte, sztywne i chrzęszczą niczym zbroje. Ziąb straszny, a uchronić się nie sposób. Dopiero w baraku w suszylce schną powoli mokre łachy. Tak było w czasie budowy kopalni i w pierwszym roku ich eksploatacji. Później dopiero znikła ta z mora, gdy na kopalniach uruchomiono prymitywne łaźnie, gdy wydano oddzielne robocze waciaki, gdy górnik mógł się po pracy obmyć i włożyć suchą odzież. Początki były jednak straszne.

Była późna jesień czterdziestego piątego roku. Po kilku miesiącach obozowego życia byłem już dwukrotnie okradziony, dwukrotnie pobity. A po dwu miesiącach ciężkiej pracy przy budowie dróg dostajem się szczęśliwie do brygady geodezyjnej, do "markbiura". Tu było o wiele łatwiej, dało się żyć. Nasi rozpięchli się. Greczanik i Grate-  
Garnie-

77  
wice zostali "kupieni" i poszli do innych obozów. Marian Świerczyński pracował na wyciągu. Oddał swój kołuszek nariadozykowi i ten urządził go na lekkiej pracy. Stary Romanowski plętał się w jakiejś brygadzie remontowej w obozie. Młodszych rozrzucano po różnych brygadach. Spotykaliśmy się na rannych rozwodach, przy wyjściu na szachtę.

Rozglądałem się bacznie i w obozie, i na kopalni. Poznawałem nowych ludzi, czasem robiłem zaskakujące znajomości. Ceniłem sobie bardzo spotkanie z Białorusinem z Mińska. Docent Buchwałow Anton Martynowicz, matematyk, był człowiekiem wysokiej kultury, znał literaturę europejską, mówił czystą, piękną polszczyzną. Ale nie był Polakiem, jak początkowo sądziłem. Podobno kochał się w Polsce i wtedy nauczył się polskiego. Pożyteczne były rozmowy z nim. Objętniał mi osobliwości życia w Związku Radzieckim, radził, pomagał. Dawał mi często po dwa liście tytoniu, który otrzymywał w paczkach z domu. A to była w obozie mocna waluta. Czasem dostałem za tytoń kilka kostek cukru. Miałem też dzięki temu mocną pozycję w brygadzie. Anton Martynowicz - a jednak nawet w imionach były ślady polszczyzny - opowiadał mi wiele o przedwojennym życiu w Mińsku. Skromne i biedne było. Najciekawsza była jego refleksja o rusyfikacji. "Nieraz saczyliśmy w swoim gronie - mówił - rozmowę po białorusku, a potem niezauważenie przechodziliśmy na rosyjski. Cała literatura naukowa była tylko po rosyjsku". W ten sposób ta ogromna dominacja rosyjskiego języka prowadziła do stopniowej rusyfikacji Białorusinów.

Najbardziej zaskakującą znajomość zrobiłem później. W czasie krótkich pogwarek po powrocie do baraku usłyszałem raz i drugi opowiadania kryminalne. Wtrąciłem się i opowiedziałem jakąś historię detektywistyczną z Conan Doyle'a. Wzbudziła zainteresowanie. Najbardziej zaciekawiła niskiego Kazacha. Zwano go komendantem, na robotę nie

✓ wychodził, a <sup>11</sup>drzewalny przynosił mu z kuchni najwyższy, "szósty" kocioł. Był zatem kimś ważnym. Od tej pory czekał na mój powrót, domagał się detektywistycznych opowieści. "Dawaj, raskazywaj" - mówił. Trudno się było wykręcić. Przypominałem sobie dawne, młodzieńcze lektury, sam czasem coś wymyśliłem. "Ty u mienia w zakonie"<sup>11</sup> - zapewniał mnie dziwny komendant Chanujew i nawet kilka razy poczęstował kaszą. Skończyło się to prędko. Wróciłem raz późno z szachty - pomiary przedłużyły się tego dnia mocno - i usłyszałem w suszylce jakąś awanturę. Uchyliłem drzwi i dostrzegłem, jak mój komendant skacze do oczu jakiegoś dziwnemu typowi krzyząc: "Ja czestnyj wor!". Uskoczyłem natychmiast na swoje nary. Starcie w suszylce trwało jeszcze kilka minut, a potem komendant wyskoczył i pędem ruszył ku drzwiom. Za nim biegł ten drugi. Koło drzwi mój Kazach pośliznął się na <sup>woda</sup>zlanej podłodze i upadł. Napastnik zadał mu cios nożem i wypadł z baraku. Rannego Chanujewa zabrano do stacjonaru, a potem na "sztrafny ołp"<sup>11</sup>. Tego drugiego również. Odetchnąłem.

Dopiero Buchwałow objaśnił mi wszystko należycie. Czestnyj wor - złodziej z honorem - to błatny. To zakamieniały przestępca, złodziej i bandyta. Nie podejmuje on w obozie żadnej pracy, złodziejski honor nie pozwala mu pracować dla reżimu, który go więzi. Nie daje się złamać żadnymi karami. I władze tolerują ich w obozie. Jeśli błatny załamie się i podejmie jakąś pracę, zgodzi się na przykład być nariadczykiem, to staje się wtedy suką. Między błatnymi i sukami toczyły się we wszystkich obozach zaciekle, bezlitośne walki kończące się zwykle nożem. Błatny cieszy się w przestępczym świecie wielkim

<sup>11</sup> Zakon - prawo. Być u kogoś w zakonie - być dobrze widzianym.  
<sup>11</sup> Sztrafny ołp - karny obóz. Ołp - skrót Otdielnyj žagiernyj punkt.

szacunkiem, rozstrzyga spory drobniejszych przestępców. Wiadomo ogólnie, że to człowiek twardy, odważny i zdecydowany na wszystko. Ustupuje mu z drogi każdy, a obsługa kuchni, zastraszona, karmi go obficie. Drobniejsze plotki z tego świata to urka, bosiak, żulik, suszek.

Z Chanujewem zetknąłem się jeszcze raz po pięciu latach. Wracalem wtedy z szachty, kierując się ku stożówce. I nagle - oczem nie wierzę - chodnikiem w stronę saneczarni idzie w asyście dwu "adżutantów" mój komendant. Poznał mnie i zawołał radośnie z daleka: "Edrastwuj! Kak dzieła? Nikto nie obizajet?"<sup>22</sup> Jak widać, wciąż byłem u niego "w zakonie". Na szczęście obaj spieszyliśmy się i poszliśmy każdy w swoją stronę. Jakiś szybko zabrano go znowu z naszego obozu, nie spo-

*Wskazanie na str. 77*

Nie zauważyłem, kiedy nad bramą do obozu pojawił się dziwny napis. Z trudem odczytałem pojedyncze słowa. Pełny tekst i jego znaczenie objaśnił mi dopiero Anton Martynowicz.

Czestnyj trud wiernyj put' k oswołodieniju - Uczciwa praca pewną drogą do oswobodzenia.

Nie zdziwiło mnie zbytnie jeszcze jedno hasło, jeszcze jeden dowód zakłamania. Zapomniałem też o nim prędko. Dopiero piętnaście lat później przeczytałem napis nad bramą do obozu zagłady w Oświęcimiu:

Arbeit macht frei - Praca prowadzi do wolności.

Có za kapitalne zderzenie, takie samo hasło, takie samo zakłamanie, taki sam nieludzki system.

<sup>22</sup> Nikto nie obizajet? - Czy nikt nie krzywdzi?

szacunkiem, rozstrzyga spory drobniejszych przestępców. Wiadomo ogólnie, że to człowiek twardy, odważny i zdecydowany na wszystko. Ustupuje mu z drogi każdy, a obsługa kuchni, zastraszona, karci go obficie. Drobniejsze plotki z tego świata to urka, bosiak, żulik, żuczek.

Z Chanujewem zetknąłem się jeszcze raz po pięciu latach. Wracalem wtedy z szachty, kierując się ku stożówce. I nagle - oczom nie wierzę - chodnikiem w stronę saneczarni idzie w asyście dwu "adżutantów" mój komendant. Poznał mnie i zawołał radośnie z daleka: "Wdrastwuj! Jak dieża? Nikto nie obizajet?"<sup>22</sup> Jak widać, wciąż byłem u niego "w zakonie". Na szczęście obaj spieszyliśmy się i poszliśmy każdy w swoją stronę. Jakoś szybko zabrano go znowu z naszego obozu, nie spotkałem go więcej.

*(tu wstawiona)*

Po przykrych przejściach pierwszych tygodni i miesięcy miałem teraz spokojniejszy okres. Praca w "markbiuro" toczyła się normalnie. Czasem było ciężko, trzeba się było kurczyć i zginać w niskich korytarzach podziemnych, złać się potem dźwigając ciężki sprzęt - a Własow zawsze gonił i nie lubił czekać - to znów było łatwiej. A z kopalnią oswoiłem się, nie bałem się już.

W tym czasie trzymaliśmy się we dwu z Czeskim Kliksem, młodym, silnym kolejarzem z Wilna. Było nas tylko dwu Polaków w baraku. Często wałem Czeska tytoniem od Buchwałowa. Pewnego razu namówił mnie, bym zaciągnął się, bo taki dobry tytoń. Pociągnąłem raz i drugi, sa-kołowało mi się w głowie i zrobiło się dziwnie dobrze. Nie paliłem od studenckich czasów, kiedy zachorowałem na płuca. A teraz, nie-rostroplnie, bo w momencie gdy brakowało tytoniu, zacząłem znów palić. Czesława udało mi się zarekomendować Własowowi, został przyję-

<sup>22</sup> Nikto nie obizajet? - Czy nikt nie krzywdzi?

78

ty do naszej brygady pomiarowej. Ciесzyliśmy się obaj, trzymaliśmy się razem. Raz dzięki Czeškowi uniknął pobicia, a w kilka dni później odparliśmy napaść dwu łobuzów i daliśmy im tego w kosę. Tej wczesnej zimy zaszły jeszcze dwa ważne wydarzenia, jedno pomyslnе, drugie bardzo ciężkie.

Za radą Własowa uzyskałem od naczelnika ożpu sezwolenie na otrzymywanie paczek. Wysłałem je do znajomych w Wilnie. Po kilku tygodniach otrzymałem pierwszą przesyłkę, a w niej kilogram słoniny, trochę cukru i tytoń w liściach. Kapitalna historia. Było to znaczące wzmocnienie odżywiania, a przy tym stałem się teraz pożądanym towarzyszem, mogłem poczęstować tytoniem. Rytualny już stał się teraz "pierekuł" i w czasie przerwy w pracy, i po skończonych pomiarach. Paliliśmy często w kopalniach, gdyż nie były jeszcze sagazowane. Później dopiero po dalszej rozbudowie i w czasie normalnej już eksploatacji pojawił się gaz i palenie stało się niebezpieczne.

Pewnego razu po przyjeździe na szachtę zwrócił się do mnie młody markszajder Wołodja, Gruzin, z pytaniem:

- U ciebia żona jest?

- Da, ja żenat.

- Wot ona tożе na Workucie, a tut zapiska ot niej - zakończył podając mi zwiniętą w dziesięciore karteczkę.

Świat się zawalił. Zmartwiałem, wziąłem zwiniętą, zapisaną jakimś wyblakłym atramentem karteczkę. Tak, żona jest już od sierpnia na Workucie. Nie była sądzona. Jest tu jako "sledstwiennaja" bez wyroku. Pracuje teraz na kuchni na drugiej szachcie. A w sierpniu była w okpie siódmej szachty. Niesamowite! Przecież w tym czasie nasz tymczasowy obóz przylegał do tamtego i był oddzielony tylko drutami. Że też nie wiedzieliśmy wtedy o tym. Ale to i lepiej się stało. Wkrótce przeniesiono ją na drugą, skąd udało jej się przesłać tę kartkę.

29

Próbowaliśmy odtąd niejednokrotnie przesłać sobie wiadomości. Bezskutecznie. Ciężka mi odtąd świadomość, że ona jest tu niedaleko w tych nieludzkich warunkach, że to ~~prawie~~ z mojego powodu tu się dostała. Czasem patrząc na wieszczą nad głową jasną Gwiazdę Polarną myślałem, czy nie ogląda jej w tej chwili moja żona.

Zdarzyło się wkrótce potem, że dostałem rozstroju żołądka po zjedzeniu kawałka słoniny. Panowała właśnie w tym czasie dyzenteria w obozie. Kiedy więc zgłosiłem się do lekarza w przychodni, ten bez namysłu skierował mnie do stacjonaru. Po kilku dniach wróciłem do baraku, ale pozostawałem jeszcze "na chorobie". Zachodziłem wtedy często do baraku ATP. Mieścił się w nim administracyjno-techniczny personel obsługujący obóz i trzy kopalnie, buchalterzy, planiści, ekonomiści itd. Tu prowadziłem rozmowy z Buchwałowem. Znałem tu już prawie wszystkich, a i mnie dostrzegano, proszono często o sakurkę, a ja nie odmawiałem. Tak, to chyba tytuł zdecydował, że młody planista Witali Fiodorowicz Kosygin, prawa ręka naczelnika "planowasti", zaproponował mi pracę. Nie miałem pojęcia o tej pracy, ale wyraziłem zgodę, zastrzegając sobie możliwość stopniowego zapoznania się ze szczegółami. Zapaliliśmy i po dwa dniach zacząłem pracę jako planista dwunastej kopalni. Przeniósłem się od razu do baraku ATP. Była to duża zmiana w moim życiu, pomyslna, ale i bardzo trudna. Z wykształcenia historyk i psycholog daleki byłem od spraw ekonomicznych, od planowania, a i kopalnię zacząłem dopiero poznawać na Worskucie. Ale uczyć się trzeba było szybko, jeśli chciało się tu przeżyć. Nauczyłem się już <sup>do</sup> tej pory, że nie ma rzeczy trudnych i niemożliwych. Trzeba w obozie umieć wszystko, brać się za wszystko i uczyć się błyskawicznie. Uczyłem się więc rosyjskiego, poznawałem dziesiątki wyrażań i terminów technicznych, poznawałem kopalnię i jej organizację od nowej strony, gdzie tony węgla, otkatka, sastreki mieszały się z ludźmi, z brygadami w skłóconym rachunku. Najtrudniejszy był

20

pierwszy miesiąc, ale przebiłem się jakoś. Tytuł był wciąż dużą pomocą. Po dwu dniach umiałem już zestawić "strojówkę", codzienne rozliczenie z wydobycia węgla, z postępu w drażeniu chodników, z przepracowanych dniówek górników. Przeglądałem codziennie raporty z pracy kilkunastu brygad. Pomagający mi w tym "szachtowód" przygotowywał liczbowe dane dotyczące pracujących górników, chorych pozostających w stacjonarach i odpoczywających kolejno. Potwierdzałem też nariadczykowi liczbę przyprowadzonych na szachtę górników. Stopniowo uczyłem się zestawiać miesięczne sprawozdania i opracowywać plany na następne miesiące. I dziesiątki innych czynności. Do mnie należało również potwierdzenie na raporcie każdej brygady, czy wykonała założony plan robót. Od tego zależało, czy górnicy otrzymają podwyższony kocioł, więcej chleba. Ponieważ kontrola w tym względzie była rzadko dokonywana, potwierdzaliśmy wykonanie planu, nie troszcząc się o to, że w rzeczywistości często było inaczej, ani o to, że szachta musi więcej zapłacić obozowi za lepsze wyżywienie górników. Na szczęście obyło się bez wpadki, a przecież trzy lata później dwu ekonomistów dostało za to dodatkowe wyroki. Miałem teraz przed oczami całą pracę kopalni. Było to interesujące, ale naprawdę trudne. Utrzymałem się przecież, choć czasem byłem zmęczony bardziej niż przy fizycznej pracy. Muszę przyznać, że i naczelnik "planczasti", zakluczony, brodaty Łowla i naczelnik kopalni kapitan Gawryłow, człowiek wolny, odnosili się do mnie lojalnie, a nawet życzliwie.

W kwietniu 1946 roku rozbudowa dwunastej szachty została zakończona. Kopalnię z całym inwentarzem martwym i żywym - z wszystkimi górnikiem - przekazano kombinatowi Worskutugol. Rozpoczęło się regularne wydobywanie węgla. Ogromne koła na wieży wyciągowej kręciły się teraz 24 godziny na dobę, zaczęły rosnąć hałdy węgla i hałdy skały. Zmieniło się wszystko. Przybył nowy naczelnik kopalni Lewicki

8

Nikołaj Francowicz. Odeszły na czternastą i szesnastą brygady z "prochodki", które drążyły dotąd chodniki, przysłano inne brygady łamiące i ładujące węgiel, to, nawaloodbojszczyki". Zmieniła się do gruntu moja praca. Trzeba było teraz liczyć tony węgla, a nie metry biegnące chodników. Inne problemy, inne słownictwo techniczne. Inne sprawozdania codzienne, miesięczne, inne plany trzeba opracowywać. A ja tego wszystkiego nie znam. Zostałem ~~zostawiony~~ jako planista kopalni sam. Cały oddział planowania przeniósł się na czternastą szachtę, której budowa ciągnęła się jeszcze. Na razie zdołałem tylko prowadzić rachunek wydobywanego węgla i rozliczanie z obozem z przeprowadzanej do pracy "rabsiły". To się nazywa rzucić kogoś na głęboką wodę. Nie wiem już, jakim cudem przebrnąłem pierwsze dwa miesiące. Podstawowe dane jednak i naczelnik szachty, i władze obozowe otrzymywali. Sprawy kulały, ale nie utknęły. Naczelnik szachty nie był górnikiem, nie miał pojęcia o pracy kopalni, nie mógł nic pomóc. Dobrze, że był człowiekiem spokojnym i dobrym, nie gnębił i nie przesładował ludzi. Pytałem, gdzie się dało. Pomógł mi trochę mój dawny szef, markszajder Własow, udzielając informacji o pracy kopalni, o rachunku węgla. Ale i tak biłem się jak ryba o lód. Pomagał mi jak mógł stary Romanowski, którego wciągnąłem do "planczasti" jako statystyka. Pracowałem po dwie zmiany na dobę. Wreszcie przysłano po czterech miesiącach nowego planistę. Łomakin Iwan Timofiejewicz odbył swój wyrok i oswobodził się niedawno. Trochę ulżyło, ale i on nie był fachowcem i praca przy nim była trudna. Brnęliśmy jakoś dalej. Uczyłem się wciąż. Umiałem już obliczyć "proizwoditielnost' truda" - wydajność pracy, prowadzić poprawnie rachunek roboczej siły, węgla. Zaczęło być łatwiej, choć roboty wciąż było dużo.

Przyszło lato 1946 roku. Po zjedzeniu obiadu wróciłem z obozu na drugą zmianę i pracowałem sam w pokoju planowania nad jakimś sprawozdaniem. Byłem już dobrze zmęczony. Nagle wpada do pokoju Tolik

Masłow i ciągnie mnie do sąsiedniego pokoju, gdzie pracowali buchalterzy.

- Idi siuda, Frano Janowicz!

Idę za nim. Poza Masłowem widzę w buchalterii trzech znajomych mi dobrze rachmistrzów, od kilku miesięcy żyjemy w jednym baraku, ale jest jeszcze ktoś nowy, nie znany mi dotąd. Po moim wejściu zapadła cisza, przerwano prowadzoną rozmowę. Wszyscy utkwili oczy we mnie. O co chodzi? - myślę zdetonowany. Przerywa ciszę ten nowy.

- U ciebia żona zdies na Workucie?

- Da, - odpowiadam.

a - Nu wot, ona oswobodziła i sawtra prijediet siuda, estoby s teboj powidat'sa. A eto zapiska dla ciebia - kończy podając mi złożoną w dziesięcioro karteczkę.

Nawet mu nie podziękowałem. Wolno obróciłem się i bardzo powoli wyszedłem. Nikt nie rzekł słowa.

U siebie opadam na taboret, opieram się na stole, rozwijam karteczkę i czytam. Pustka w głowie ustępuje, łagodniejsze ucisk w pierśsiach. Czytam i nagle zalewa mnie fala gorąca. Co za radość! Serce wali, oddycham głęboko. Że też można przeżyć taką chwilę szczęścia w obozie! Wstaję, otwieram okno na oścież. Zielona tundra śmieje się do mnie w ukośnych promieniach słońca.

Ściągają mnie na ziemię sprawy praktyczne. Jak i gdzie będę się mógł spotkać z żoną? U kogo mogłaby się zatrzymać? Może u Matrony Zwierewej? Oswobodziła się dwa miesiące temu, a przedtem byliśmy kilka tygodni w jednym baraku. Odważna, zdecydowana baba. Nie wiem nawet jednak, gdzie ona mieszka. Pracuje tu gdzieś niedaleko. Jak to zrobić, kogo tu ruszyć?

Rzucam pracę, idę do buchalterów, oni też przestali pracować. Wracamy razem na wachtę i ciągniemy przez tundrę do obozu. Wtedy jeszcze pozwalano przejść pojedynczej brygadzie bez konwojenta. Jedna

telefonicznie

wachta uprzedzała tylko drugą i podawała liczbę ludzi.

W obozie czeka na mnie Kosygin, młody pianista, który mnie przed kilku miesiącami przyjmował do pracy. Okazuje się, że moja żona już jest tutaj. Zatrzymała się w leśnym o dwieście metrów od naszego ołpu domu naczelnika Komanowa. Tam i ja mam się zjawić, wyprowadzi mnie z obozu "rozwodnoj" Griszin. Za godzinę mam być gotów. Griszin będzie czekać na mnie przed wachtą.

A więc wszystko już się dokonało bez mojego udziału. Nie zastanawiam się, jakim cudem się to stało, ale biegnę do baraku, mówię o wszystkim Czeskowi. Ten daje mi swoją nową ciężogrejkę. Zdążyłem się jeszcze ogolić w żaźni i biegnę na wachtę. Jest Griszin, czeka. Na wachcie zapisuje mnie na swój rachunek i wyprowadza poza zonę. Na szosie rozstajemy się, on idzie w stronę "posiołka". Mam wrócić na wachtę za pięć godzin i dopilnować, by mnie skreślili z jego rachunku.

Zmierzam ku domowi naczelnika Komanowa. Drewniany, złożony na zgrab z grubych bali. Wchodzę po kilku schodkach na ganek, otwieram drzwi. Na hałas wychodzi z pokoju Grigorij Jefimowicz, ale cofa się do pokoju, ukazuje się natomiast uśmiechnięta radośnie żona. Chwytam ją w ramiona i trwamy w uścisku długo, długo. Trzeba jednak wejść do pokoju. Widzę tu poza gospodarzem drugiego jeszcze mężczyznę. Kłaniam się. Komanow odpowiada na mój ukłon, podaje mi rękę. Zamieniamy kilka zdań, a po chwili wychodzą obaj na "nariad" do Północnego Rejonu. Wrócą za dwie godziny.

\* Rozwodnoj - więzień pełniący funkcje pomocnicze, miał prawo wychodzić samodzielnie z obozu.

\*\* Posiołek - małe osiedle.

\*\*\* Nariad - omówienie pracy na dzień następny.

Zostajemy sami. Jak dobrze! Nie napatrzę się. Żona w sweterku, który pamiętam jeszcze z Wilna. Jak go uchroniła? Ale wygląda ładnie, świeżo, wcale nie znać na niej trudów i tarapatów więziennych i obozowych. Zaczynamy na wypródki opowiadać swoje dzieje. Przerwywają tylko pytania. Tyle spraw, nie zdążymy. Co działo się w domu po moim aresztowaniu, jak ją aresztowali ponownie, czy nie bili w śledztwie, kiedy przywieźli na Workutę, do którego obozu, co tutaj robiła, jak sobie radziła ... Pytam, wysłuchuję odpowiedzi, przerywam co chwilę kolejnymi pytaniami, sam opowiadam o sobie.

*czterdziestego czwartego*  
~~44~~ roku, kiedy nie wróciłem do domu wieczorem pamiętnego siódmego września, żona domyśliła się, że stało się coś złego. Przygotowała się na wszystko, spaliła ostatnie egzemplarze naszej gazetki "Jednością silni" i inne zbędne papiery. Czekala. W środku nocy zjawili się trzech enkawudystów dopytując o mnie. Przeprowadzili skrupulatną rewizję, która trwała sześć godzin. Przewertowali kartka po kartce wszystkie książki, znaleźli nawet w encyklopedii małą kartkę z opracowanym przeze mnie trudnym szyfrem. Początkowo byli brutalni, dopiero na złośliwą uwagę żony - nie przypuszczała, że rosyjscy oficerowie są tacy ordynarni - zmienili postępowanie. Żonę aresztowali wtedy, a w mieszkaniu urządzili "kocioł". W ciągu trzech dni aresztowali trzydzieści kilka osób. Zwolniono po przepytaniu wszystkich. Z przypadkowymi gośćmi nie było chyba większych kłopotów, a ze związanymi ze mną organizacyjnie ludźmi byłem dokładnie umówiony. Kiedy pytano mnie wtedy w śledztwie o tych ludzi, wyjaśniałem początki znajomości, opisywałem ze szczegółami ostatnie spotkania. Zgadzało się to z zeznaniami aresztowanych, zwalniano ich więc.

Zwolniono i żonę po trzech dniach. Myślała teraz, jak mi pomóc, jak podać paczkę. Po sześciu tygodniach śledczy pozwolił, zaniosła więc pierwszą "podajarkę", wystając godzinami pod więzieniem. Jak

25

ją aresztowano? Chodziła często koło więzienia. Zdawało się jej, że zobaczyła w okienku piwnicznej celi moją twarz. Chodziła odtąd codziennie zmieniając dla niepoznaki okrycie lub biorąc kogoś do towarzystwa. Raz szła z koleżanką i jej czteroletnią córeczką. Z okna wyrzucono kuleczkę grypsu. Żona podniosła ją, ale zauważył to strażnik więzienny i podniósł alarm. Zaczęły we trzy uciekać, ale mała <sup>tra</sup>speciła się i nie mogła biec. Wtedy żona zatrzymała się, połknęła gryps i ... została aresztowana.

A potem potoczyła się opowieść o śledztwie i wywózcze na Worskubę, choć bez sądu i bez wyroku. Znalazła się tu jako "śledstwiennaja". A teraz zwolnili ją wraz z dwiema koleżankami. Pracowała tu jako "meds<sup>s</sup>iestra", a ostatnio w obozie trzeciej szachty zastępowała kierownika stołówki. Była to bardzo trudna i odpowiedzialna praca. A rok temu była latem w obozie siódmej szachty przez dwa miesiące.

Skoczyłem na tę wiadomość. Niesamowite! Przecież w tym czasie i <sup>tam</sup>ja byłem. Byliśmy przez miesiąc oddzieleni od siebie tylko drutem kolczastym i nie wiedzieliśmy - na szczęście - o sobie. Wiedząc o tym usiłowalibyśmy spotkać, zobaczyć się, porozmawiać przez druty. Nie ukryłoby się to, mogłoby skończyć się skazaniem żony na więzienie czy obóz. Uniknęliśmy większego nieszczęścia.

- Wypatrywałam się codziennie wśród brygad wracających z pracy do obozu, ale nie dostrzegłam nigdy - mówi żona.

- Całe szczęście - odpowiadam.

- Zostanę tu, znajdę pracę, urządzę się jakoś i będę ci pomagać.

- Czy ty masz dobrze w głowie? - przerywan. Tłumaczę, że to nie ma sensu. Przecież nie ukryłoby się to i przez pół roku, a po wykryciu przyszedłby sąd i wyrok, i wróciłaby do obozu już jako więzień. Nie wolno myśleć o tym, trzeba wracać do Wilna, do Warszawy. Może stamtąd będzie mogła mi pomóc, może uda się mnie wyciągnąć. To zre-

szta jest niemożliwe, dopóki polski rząd nie porozumie się z radzieckim co do powrotu tysięcy Polaków pozostających tu w więzieniach, w obozach, na zsyłce. Spieraliśmy się gorąco. Wspominaliśmy bliskich, rodzinę, przyjaciół. Było ciepło, serdecznie i radość mieszała się ze smutkiem.

Zaśnuli kroki w ganeczku, gospodarze wracali z nariadu. To już minęły dwie godziny?

Grigorij Jefimowicz wystąpił z kolacją. Był szczupak z wody, chleb, masło, herbata. W rozmowie żona jeszcze raz podniosła swój projekt pozostania na Worskucie i pomagania mi. Ale obaj gospodarze zdecydowanie potępili ten pomysł. Była głęboka noc, trzeba było wracać do obozu. Stało na tym, że żona przyjdzie jutro z Komanowem na szachtę szukając pracy. Będziemy mogli zobaczyć się jeszcze. Wróciłem do obozu. Odnotowane na wachcie mój powrót. Nie spałem prawie do rana.

Na drugi dzień żona była na szachcie. Mieliśmy kilka godzin dla siebie, rozmawialiśmy, tuliliśmy się. Nie było radości. Gorzko było. Dławiła bezsilność. Trzeba się jednak było oderwać od siebie. Odprwadziłem żonę ku wachcie. Dalej poszła sama. Patrzyłem długo, jak minęła wachtę i szła przez tundrę ku osiedlu. Zapadał wieczór. Ulżyło mi jednak, choć ona była wolna. I znów potoczyły się zwykle żagierne dni. Beznadziejne. Rozjaśniały je tylko chwile wspomnień.

Dobiegło do końca lato, przeminęły jesiennie brzozy tundry, śnieg pobielił świat, mrozy ścięły ziemię. Ostre jak nigdzie indziej błękity i zielenie nieba zmieniające się z godziny na godzinę wśród poszarpanych chmur ustąpiły smutnym szarościom. Śnieg sypał często z nieba przemieszany wichrami. Zbieraliśmy się przy wachcie o szarości poranka, przechodziliśmy przez bramę brygada za brygadą i zebrani w długi wąż "razwodu" ciągnęliśmy na szachty konwojowani przez kilkunastu <sup>żołnierzy</sup> ochroneń z psami.

2  
W dalszy  
żona?  
delega?

Tej zimy przygrywała nam na wachcie kilkuosobowa orkiestra dęta, którą zorganizował i prowadził organista Kumietis, drobny, szczupły Litwin, który przybył z nami w jednym etapie. Bęben obsługiwał dziennikarz litewski Narbutas, z którym zagadywaliśmy czasem przyjaźnie. Gdy przechodziła przez bramę nasza brygada, w której szliśmy w parze ze Świerczyńskim, a za nami jeszcze dwu naszych chłopców, orkiestra rąnęła nam wiązankę krakowiaków. Nikt z postronnych nie zdawał sobie sprawy, że to Litwini kierują przyjazny gest do Polaków. Flaciłiśmy uśmiechami za tę uprzejmość.

Chyba to tej wczesnej zimy zdarzył się przykry dla mnie wypadek. Dobrze po dwunastej w nocy wracałem z szachty odbębniwszy dwie zmiany tego dnia. Szedłem zmęczony na końcu kolumny gawędząc niespiesznie ze Świerczyńskim. Nagle usłyszałem z tyłu jakiś zdyszany oddech i nim się obejrzałem, poczułem, że pies wczepił się zębami w moje udo. Szarpnąłem się gwałtownie, skoczyłem do przodu wbijając się w tłum idących przede mną. Ludzie zaczęli uciekać, tłoczyć się, a złośliwy psiarczyk szepnął jeszcze psa na innych górników.

Cholerny psiarczyk! Ogarnęła mnie bezsilna wściekłość. Z rany sączyła się krew, oddarty długi kawałek sukna ciągnął się po ziemi za mną. Trzeba było podnieść jego koniec i trzymać w ręce, by go ktoś nie przydeptał, by się nie oderwał do reszty. Złośliwy psiarczyk urządzał sobie te polowania z psami jeszcze przez kilka miesięcy. Potem gdzieś go zabrano. A ja już nigdy nie trzymałem się na końcu rozwołu. Ani na początku. "Trzymaj się w środku, nie bądź ani pierwszy, ani ostatni, ani za wysoki, ani za mały, ani za odważny, ani za lekliwy" - oto nowa nauka.

### Cynga

Pierwszą jesienią i w ciągu pierwszej zimy rozegrałem jeszcze jedną batalię - walkę z cyngą. Jednostajne i jednostronne odświadczenie -

chleb, kasza, z rzadka kawałek mięsa czy ryba - pozbawione zupełnie warzyw, prowadziło w krótkim czasie do awitaminozy, czyli cyngi. Już po kilku miesiącach pobytu w obozie cynga dawała się we znaki większości więźniów, a z biegiem czasu stan ich zdrowia pogarszał się z tygodnia na tydzień. Człowieka ogarniała coraz większa słabość, nogi były jak z waty, słabły ręce, trudno było wykonać szybki ruch, pogarszał się wzrok, słuch. Na wychudzony organizm waliły się nowe biedy, ruszały się i wypadały zęby, wypadały włosy aż do zupełnego wyłysienia. Cynga uderzała na najsłabsze organy: nerki, wątrobę, serce. Dużo ludzi umierało. Marnieli rażąco Łotyśse i Estończycy ze speckontyngentu, żołnierze z oddziałów współdziałających z Niemcami. Tęgie, rosłe chłopcy. Po trzech, czterech miesiącach spadali z ciała, chudli, słabli, chorowali. A ratunku w pierwszych miesiącach nie było żadnego, dopiero ku wiosnie, w marcu pojawiła się witamina C w pastylkach i kwas askorbinowy w zastrzykach, w nikłych na razie ilościach.

O groźbie, jaką stanowi cynga, słyszeliśmy od przybycia na Worsku-tę. Rozumiałem dobrze to niebezpieczeństwo, przypominała mi się tragiczna wyprawa Scotta do bieguna południowego, kiedy to właśnie skorbut okazał się główną przyczyną wycisnienia i zguby całej ekspedycji. Od początku postanowiłem nie dawać się tej biedzie. I żadnej innej biedzie, co zresztą przy dużej dozie szczęścia jakoś mi się dotąd udawało.

Wspomniałem już, że idąc w rozwodzie przez tundrę dostrzegłem wśród różnych traw lancetowate liście przypominające nasz szczaw. Tylko węższe. Zerwałem listek, zjadłem. Był kwaśny. O to właśnie chodziło. Następnego dnia zjadłem trzy liście. Trzeba być ostrożnym. Nie zaszkodziło. Odtąd codziennie zrywałem po kilka listków w czasie marszu przez tundrę. To była pierwsza porcja witamin.

Później, gdy pracowałem w markbiuro, dokonywaliśmy wielu pomiarów w tundrze. W drugiej połowie sierpnia pojawiły się na niskich krzaczkach duże, granatowe jagody. Spróbowałyśmy. Były kwaskowate, nie szkodziły, jedliśmy je więc łapczywie, ile się dało, choć poganiał nas główny markszajder.

Kupiłem raz za grube wełniane skarpety ze ćwierć kilograma zielonego grochu. Zalewałem teraz kilkanaście ziaren wodą i chowałem be-nieczkę konserwową w kącie, by nikt nie widział. Po kilku dniach zjadałem kiełkujące groszyny. Wystarczyło na kilkanaście dni. Zaraz po tym udało mi się semień dobre szelki na pół kilograma drobnych kartofli. Zjadałem je na surowo po jednym przez kilka dni. Pożytek nie za wielki, ale zawsze było to coś.

Znowu nadarzyła się okazja: przywieźli kolejną wagon turnepsu, takich mizernych buraków pastewnych, białych i bez smaku. Byłem akurat obok wachty, gdy skrzykiwano ludzi do wyładunku turnepsu i przeniesienia do piwnicznego baraku. Ruszyłem oczywiście z pomocą. Nim przenieśliśmy w kilku cały ładunek do piwnicy, zjadłem dwa buraki, eskrobawszy je z gruba trzymanym w kieszeni "nożem", kawałkiem blachy. Zdarzył się pomyślny traf: wracała akurat z pracy moja stara brygada szosowców. Dałem więc kilku znajomym po dwie sztuki, umawiając się: jeden dla ciebie, drugi dla mnie. A że przez wachtę przeniosłem już otwarcie dwie sztuki, miałem znowu zapas na tydzień.

Chyba gdzieś w grudniu ponownie zdarzyła się okazja. Idąc z markszajderami przez zmrzniętą białą tundrę, spotkaliśmy przecinający naszą drogę tabor sanek. Wiozły turneps. Nie darowaliśmy i każdy porwał kilka sztuk.

Dzięki tym "działaniom" i okazjom dotrwałem szczęśliwie do marca, kiedy pojawił się w sanozasti kwas askorbinowy. Udało mi się uzyskać u felczera, Białorusina Koncewicza, pięć zastrzyków. Byłem górą.

Długi i trudny bój o zdrowie był wygrany. W latach następnych pojawiło się trochę witamin w pastylkach, czasem trafiło się trochę owoców głogu, dzikiej róży, które zaparzałyśmy jak herbatę. Cynga przestała być straszną tu na północy zimą. Podobnie jak z cyngą trzeba było postępować z innymi niebezpieczeństwami i trudnościami, a było ich wiele. Trzeba było wiedzieć, mieć dobrą informację, a potem roztropnie, uprzedzając wypadki, działać, starać się zapobiegać szu.

2

V220ng.

Szybko oddalał się ten błysk radości - dwa dni widzenia się. Odeszły letnie dni, wchodziliśmy w coraz głębszą zimę. Znowu pojawiło się przepiękne i niesamowite "siewiernoje sijanje", zora północna.

n

prekuma  
nie (zora  
północna)

Po wieczornej zakurce wyszliśmy z Czesławem z suszyki, by ułożyć się na narach. Z otwartych drzwi wdarły się do baraku kłęby mroźnego powietrza. Wazedł zacierając ręce <sup>n</sup> dnie walny. "Sijanje" - powiedział. Wyszliśmy popatrzeć. Trzaskający mróz, wszystko szmarło w zupełnej ciszy, tylko na niebie dzieje się coś dziwnego, tajemniczego.

Fale zielonkawego światła zalewają północną stronę nieba. Drgają, chybocą się świetliste pasma w pionowym układzie. Spływają ku dołowi, nikną, a z góry znów syją się nowe pióropusze. Mienia się w ciągłym ruchu, w trzepotaniu. I znów nikną, a nowe świetliste pęki spływają z góry. Ciągły ruch, ciągle migotanie. Na chwilę znikło wszelkie światło, ogarnęła nas nieprzenikniona, głucha czarna noc. I znów pojawiły się świetliste wybuchy. Zmiana. Niewidzialna ręka potrząsa w górze niewidoczną suknią, tylko w dole przelewają się i mienia świetliste falbanki <sup>falujsc</sup> ~~wiszące się poziomo~~ nad ziemią. Niecierpliwa ręka wciąż porusza suknią i falbanki przelewają się i przepływają nieustannie. Ale oto z niewidzialnego wierzchołka płyną nowe pasma światła mieniające się barwami fioletu, purpury, jasnej zieleni, granatu ... Syją się coraz to nowe snopy światła, drgają, mieniają się i wygasają nad horyzontem. A wszystko w głuchej, skamieniałej

91

ciszy. Jest dziwnie, niesamowicie. Odczuwam, że to piękne, rozedrgane, mieniące się barwami widowisko świetlne jest jakieś martwe, nie z tego świata. Jakbym stał gdzieś w martwej pustce księżycy i odbierał tajemne sygnały z głębokich przestrzeni wszechświata. Jacy jesteśmy mali i niewiedzący!

Nasz podziw, naszą radość i lęk przerywa bliska rzeczywistość, smarziliśmy w ciągu tych kilku minut zachwytu. Wstrząsamy się, zacieramy ręce i wskakujemy do dusznego i ciepłego baraku. Układam się do snu, ale jeszcze przez kilka chwil tkwię w tym świetlistym świecie. Trzeba jednak prędko zasnąć, do rozwołu już tylko kilka godzin. Cudowne "siewierneje sijanje" powtarzało się co kilka dni z większym nasileniem w środku zimy. Najczęściej grały w tej północnej zorzy zielonkawe światła, rzadziej występowały wielobarwne.

Tejże zimy, gdzieś w końcu listopada przybył do obozu nowy etap. Była to grupa około stu oficerów w mundurach, nawet z pagonami. To speckontyngent, jakoby z Francji. Byli to podobno ci, którzy trafili do niemieckiej niewoli, a teraz wrócili z alianckich obozów i w zgodzie z głośnym zarządzeniem Stalina, że żołnierze Czerwonej Armii nie poddaje się, otrzymali niespieszną, ale nieuniknioną i zasłużoną karę. Tak Stalin płacił za przelaną krew, za rany i niewolę. Trzymano ich kilka tygodni w wydzielonej części obozu, w pewnej izolacji od ogółu więźniów, a później zwolniono. Po wyjściu z obozu niektórzy zaczęli pracować w kopalni, część zaś skierowano na kursy górnicze. Po kilku miesiącach wracali na kopalnię jako naczelnicy oddziałów. Jeden z nich, Bieliajew, został po roku naczelnikiem szesnastej szachty.

Zima z 46 na 47 rok była ciężka, mroźna i wietrzna, dokuczwały burse śnieżne - purga. Ciężka, wyniszczająca praca, uciążliwe rozwoły i dojście na szachtę zajmujące w sumie półtorej godziny, tyleż

powrót z szachty w mokrej zlodowaciałej odzieży, skąpe jak na warunki dalekiej północy odżywianie, brak dobrego wypoczynku, brak lekarstw i należytej opieki zdrowotnej, - wszystko to stwarzało bardzo trudne warunki bytowania. Pogłębiała tę nędzę ogólna atmosfera obozowego życia, surowość reżimu, ostre i bardzo często niesprawiedliwe kary, prześladowania ze strony błatnych i złodziei, kradzieże i pobicia, beznadziejność, brak wszelkich perspektyw wydostania się na wolność. Ludzie chorowali masowo. Stacjonary, szpitale obozowe były przepelnione. Śmierć zbierała obfite żniwo. I naszych chłopców kilku ubyło. Czasem dowiadywaliśmy się o tym dopiero po jakimś czasie. A pomóc było trudno. Dzielono się chlebem, trudnym do zdobycia tytoniem. Najważniejsze było chyba to, że spotykaliśmy się, odwiedzali jedni drugich, że można było porozmawiać, czasem pożalić się, czasem zakląć serdecznie. Ważna była informacja, a to ostrzeżenie, a to powiadomienie o lżejszej pracy, o tym jak uzyskać pozwolenie na otrzymywanie paczek z domu.

Zaczęło się poprawiać - szkoda że nielicznych - gdy przyszły pierwsze przesyłki z Wileńszczyzny i Nowogródziny. Przychodził tytoń i słonina. Szczęśliwy odbiorca paczki i sam się pokrzepił, i kogoś z bliskich rodaków wspomógł, a dzięki tytoniowi wzmocnił swą pozycję w brygadzie. Robiło się lepiej. Czasem udało się kogoś wyciągnąć z kopalni, urządzić na lżejszej pracy. Było z tym łatwiej w miarę, jak ukrzepiłem się jako planista na dwunastej kopalni. Do mnie należało codzienne rozliczanie z nariadczykiem przyprowadzanej na kopalnię "rabsiły". Podpisywałem liczbę przyprowadzonych do pracy górników. Nariadczyk przestawał być groźny, stawał się partnerem, liczył się ze mną. Dzięki temu łatwiej było przesunąć nieraz kogo na lżejszą pracę. Także i naczelnik oddziału na kopalni ustąpił czasem na moją prośbę, bo i jemu mogłem czasem pomóc w innej sprawie.

Od samego początku dbałem o dobre stosunki z ludźmi, z wszystkimi. Tak czyniłem zawsze. Tu zaś, w obozie, postępowałem tak z innego jeszcze względu. Słabego zdrowia będąc i raczej lekliwy niż odważny i zadziorny, zdawałem sobie sprawę, że tylko zachowując roztropną czujność, spokojną i przyjazną postawę wobec ludzi sdołam ułożyć sobie pomyślnie warunki bytowania w obozie. Woląłem usunąć się z niebezpiecznego sąsiedztwa, uniknąć awantury. Woląłem nawet stracić, niż walczyć o to. Raz tylko biłem się o wyrwaną mi z kieszeni garstkę tytoniu i do dziś tego żałuję. Przecież w rezultacie moich ciosów agresor zmarł po kilku dniach. Co prawda i ja przez kilka dni przychodziłem do siebie, byłem też niezłe pokiereszowany. Było to jednak w pierwszym roku mojego pobytu w obozie. I w tym właśnie pierwszym roku sześć razy biłem się i bronilem. Ta nauka wystarczyła mi do końca. Nauczyłem się wtedy, że nie wolno odebrać tytoniu. To nowa, obozowa moralność. Nauczyłem się też, że nie wolno się skarżyć naczalstwu na doznana krzywdę. Lepiej ścierpieć, a jeszcze lepiej unikać.

Na ogół udawało się żyć z ludźmi przyjaźnie. Jest świetne rosyjskie powiedzenie: "Nie imiej sto rublej, no imiej sto druziej" - nie miej stu rubli, ale miej stu przyjaciół. Szczera prawda, zwłaszcza w obozie. Szybko i wielokrotnie sprawdziłem ją na sobie. Przecież to dzięki nawiązanym tu przyjaźniom, dzięki po prostu życiawie podanej ręce, tyle razy unikałem biedy, a nawet groźnych niebezpieczeństw. Dzięki temu jedynie przetrwałem przez dziesięć lat obozowego życia.

Jesienią czterdziestego siódmego roku zakończono budowę kopalni szesnastej, a wczesną zimą czternastej. Zaczęło się normalne wydobywanie węgla. Wszystkie trzy kopalnie oddano pod jedno kierownictwo, utworzono jedno przedsiębiorstwo: "Szachta-uprawlenie Nr 2", w skrócie Szuj-2, a prościej - Szu-dwa. Obsadzono ogromny aparat techniczny i administracyjny, co błogosławili więźniowie, którzy mogli urządzić się na lżejszych pracach. Ciężka machina produkcyjna zaczęła działać zgrzytając i chrypiąc. Brakowało w tym wczesnym powojennym okresie wszystkiego: drewna kopalnianego, stali, materiałów elektro-technicznych, narzędzi, maszyn górniczych, odzieży i żywności. Łatano te braki, czym się dało i praca szła, a węgiel sypał się z każdym miesiącem obficie i regularnie.

Najłatwiej uporano się z brakiem odzieży. Przywieziono po prostu starą, podniszczoną odzież po demobilizowanych rocznikach wojska. Ubrania - teliogrejki czy fufajki, buszłaty, spodnie i czapki uszanki - było drugiego i trzeciego "sroka", okresu noszenia. Mówiąc prościej było mniej i bardziej zniszczone. Pierwszy "srok", czyli nowe ubranie, dostawali naczelnicy oddziałów, dziesiątnicy, urzędnicy. Górnicy chodzili w zużytych waciakach i w ponemieckim zniszczonym obuwiu. Marzli dotkliwie w czasie mrozów.

Marne było odżywianie. Rzadka zupa, trochę kaszy, śladowe ilości oleju, niekiedy kawałek mięsa lub ryby. Jedyne "garbuszka" ciemnego razowego chleba stanowiła konkretny posiłek. Ludzie byli w stanie ciągłego wygłodzenia, a już szczególnie dawał się we znaki brak warzyw, ~~co oznaczało brak witamin.~~ Toteż wycieńczenie - dystrofia - i choroby szerzyły się niewiarygodnie. Zimą z czterdziestego szóstego na siódmy

leżało w stacjonarach tysiąc siedemset chorych na ogólną liczbę pięć i pół tysiąca więźniów w obozie. Co trzeci mieszkaniec obozu był chory i leżał w szpitalu! Widziałem te liczby w miesięcznym sprawozdaniu. ~~Najcięższe były dwa trzy lata powojenne.~~ Najwięcej chorych - to dystroficy, ludzie krańcowo wycieńczeni. Powszechną dolegliwością była cynga. Dużo ludzi cierpiało na choroby serca. Miejscowy klimat, a szczególnie częste, raptowne zmiany ciśnienia atmosferycznego przy częstych burzach śnieżnych były tego przyczyną. Mało natomiast było chorób dróg oddechowych. Sporo było urazów i skaleczeń zabójno wśród górników, jak i budowlańców. Bardzo zły był stan uzębienia. W pierwszych kilku latach nie leczono zupełnie zębów. Brakowało też lekarstw.

W tej sytuacji duże znaczenie miała obozowa służba zdrowia, lekarze. Pośrodku obozu mieściło się w baraku ambulatorium, gdzie kilku lekarzy przyjmowało chorych w ciągu dnia. Można było uzyskać doraźną pomoc - opatrunek czy lekarstwo. Przy wysokiej temperaturze udzielano zwolnienia z pracy na jeden dzień. Przy dużym wycieńczeniu, przy poważniejszej chorobie kierowano do stacjonaru. Był to normalnie urządzone barak przeznaczony dla chorych. Opiekował się nimi przydzielony na stałe lekarz, mieszkający w oddzielnej klitce, w której w zwykłych barakach mieściła się suszylka. Oswobodzony od ciężkiej pracy i uciążliwych rozrządów więzień odpoczywał w cieple i przy skąpych nawet lekach poprawiał się zwykle szybko.

Z roku na rok przybywało w obozie lekarzy o pełnych kwalifikacjach. Nie zdarzało się już, że prości felczerzy pełnili ich funkcje. Lekarzami byli oczywiście więźniowie, tylko "gław-wracz", naczelnny lekarz i naczelnik saneczni byli ludźmi wolnymi. Lekarze pracowali uczciwie, nieśli istotną pomoc chorym więźniom, mieli też bardzo poważną pozycję w obozowej

społeczności. Byli szanowani przez ogół więźniów, nie wyłącza-  
jąc najgorszych kryminalistów. Liczyły się z nimi władze obo-  
zowe. Zwolniony przez lekarza więzień czy chory w stacjonarze  
był pozostawiany w spokoju i zwykle nie próbowano tego podwa-  
żać. Między lekarzami zaś, zarówno więźniami jak i wolnymi, pa-  
nowała zawodowa solidarność.

Pewnego razu naczelnik dwunastej szachty, gnębiony przez  
kierownictwo Szu-2 za niewypełnienie dziennego planu wydobycia  
węgla, zrzucił odpowiedzialność na lekarzy, którzy rzekomo za  
dużo chorych z dziennej zmiany zwolnili, bo aż trzydziestu  
dwu. Naczelnik Szu-2 zarządził kontrolę pracy lekarzy. Przy-  
słano komisję lekarską z sąsiedniej szachty. Komisja przebada-  
ła zwolnionych chorych, potwierdziła decyzję miejscowych leka-  
rzy, a czterech zwolnionych skierowała nawet do stacjonaru na  
dłuższe leczenie. Tak zwyciężyła solidarność lekarzy. Było to  
chyba w 1950 roku.

Lekarze byli potęgą w obozie, oni sami mieli najlepsze  
szanse przetrwania, oni mogli najwięcej ludziom pomóc. Byli  
wśród nich obok średniaków i wybitni specjaliści, jak świetny  
chirurg doktor Kanski, Ukrainiec, jak wysokiej klasy pulmono-  
log z Leningradu, doktor Jabłoczkina, jak cieszący się uznaniem  
i powszechnym szacunkiem doktor Jerzy Dobrzański z Wilna, stary  
działacz społeczny i polityczny. Polscy lekarze cieszyli się  
z racji swych kwalifikacji i bezinteresowności dużym szacun-  
kiem i więźniów, i władz. Zdołali oni przygarnąć pod swą opiekę  
kilku zdolnych studentów medycyny, doksztalcić ich w swych  
stacjonarach i wyprowadzić na docorych lekarzy.

Dopiero po roku 1950 w obozie Szu-2 służba zdrowia była  
lepiej zorganizowana. Była dostateczna liczba normalnych le-  
karzy, byli chirurdzy, przeprowadzano dość poważne operacje.

Urządzono wreszcie gabinet dentystyczny, zajęto się leczeniem zębów, a były one u większości więźniów w bardzo złym stanie. Spotykało się ludzi zupełnie bezzębnych.

Tymczasem zaś, w końcowych latach czterdziestych, stan zdrowia ogółu więźniów był bardzo zły. Dużo ludzi chorowało, dużo umierało. Zmuszało to władze obozowe do kilkakrotnego w ciągu roku przeglądu zdrowia więźniów i sprawdzania ich przydatności do pracy. Były to "komisowki". Komisja, w skład której wchodził przedstawiciel naczelnika obozu, naczelnik saneczastki i dwu lekarzy, dokonywała oględzin wszystkich więźniów, określała stan ich zdrowia i przydatność do pracy. Często oglądano i obmacywano pośladki. Pełne, jędrne były oznaką zdrowia i siły, natomiast wątle, z dającymi się łatwo wymacać kośćmi, oznaczały wycieńczenie i brak siły. Zdolnych do pracy dzielono na trzy grupy:

- a. zdolni do ciężkiej pracy - tężkiej fizycznej trud - tft - tefete;
- b. do średnich prac - średniej fizycznej trud - sft - esfete;
- c. do lekkich prac - lekkiej fizycznej trud - lft - elfete.

Każdy więzień miał w swych papierach zapisane te trzy litery i zgodnie z tym był kierowany do lżejszej czy cięższej pracy. Tych najsłabszych - elfete - zwano żartobliwie "fitilami".

Zimą z czterdziestego siódmego na czterdziesty ósmy było ciężka. Domagali się silne mrozy, ale szczególnie dawały się we znaki wichury, przechodzące często w prawdziwe burze śnieżne. Najgorsze było zbieranie się brygad górniczych przed wacną

*taki jak każda!*

*też*

po wyjeździe z kopalni. Nim zebrały się brygady z trzech szacht, nim je przeliczono i przepuszczono przez wachtę, nim sformował się rozwód, trwało to i pół godziny, i trzy kwadranse. Ludzie zmęczeni, w mokrych waciakach, marzli potwornie. Przejście do obozu półtora kilometra przez zasypaną śniegiem tundrę zajmowało pół godziny. Zostawało jeszcze przejście przez wachtę obozową. Też dobry kwadrans. Do obozu wchodziłi ludzie przemarznięci w chrzęszczących lodem waciakach. Samo to przejście z szachty do obozu zajmowało dobre półtorej godziny na mrozie i wietrze.

Panowały w<sup>e</sup>tydy mrozy dochodzące i do pięćdziesięciu stopni. Pamiętam dzień, kiedy mróz sięgnął do pięćdziesięciu ośmiu stopni. Skuty mrozem biały świat zamarł w dzwoniącej ciszy. Obóz jakby wymiotło z ludzi, nikt nie pętał się, jak zwykle bywało, koło kuchni, wszyscy chowali się w chłodnych, niedogrzanych barakach.

W czasie średnich mrozów sięgających trzydziestu stopni wiał zwykle lekki, ale uparty wiatr przesypujący~~ę~~ zmarznięty pył śnieżny po stwardniałej, ubitej powierzchni śniegu. Taka zadymka.

Najgorsza była purga, burza śnieżna. Zdarzała się kilka razy w miesiącu. Była to zwykle trzydniówka. Mróz nieco wtedy łagodniał, spaść do dwudziestu, piętnastu stopni, ~~leciała, bez-~~ ~~wietrzna porośca trafiała się rzadziej,~~ <sup>za to</sup> Zrywał się ~~za to~~ i potężniał wiatr, sypał obficie śnieg przematany wściekłymi porywami. To nie był zwykły szum, lecz wycie wichury zmieniające się w tonie i w natężeniu. Wiatr to przycichał, to znowu szalał z całą potęgą. Zanosilo śniegiem baraki, zasypywało drogi, zmieniało do niepoznaki układ terenu. Zagłębienia w tundrze zanosilo kilkumetrową warstwą śniegu zdartego z grzbietów wzniesień. Koło każdego kopczyka powstawała natychmiast zaspą.

Ginęły ślady, ginęły drogi, a ponieważ widoczność była ograniczona do kilku metrów, nie było widać odleglejszych punktów orientacyjnych i tundra stawała się niebezpiecznym bezdrożem. Nie można było kierować się wiatrem, zmieniał bowiem często kierunek i to w raptowny sposób.

Mocno wbił mi się w pamięć powrót z szachty w czasie szalejącej purgi. Zmarznięci i wychłostani podmuchami wichury przeszliśmy przez wachnię i zwartą kolumną ruszyliśmy udeptanym w tundrze szerokim traktem ku obozowi. Konwojenci nie prowadzili tym razem psów. Już po kilku minutach rozwód zatrzymał się. Nie widać było śladów drogi. Zgubili się i konwojenci. Któryś z więźniów ruszył ku przodowi i poprowadził, ale wkrótce stanął straciwszy orientację. <sup>Zołnierze</sup> ~~ochrowicy~~ przemieszczali się z górnikami. A wichur szalał i zacinał to z jednej, to z drugiej strony. Ruszyłem ku przodowi będąc przekonany, że dzięki dobrej znajomości tundry, wszystkich wzniesień i zapadłości, a także dzięki wyrobionemu w wielu wędrówkach zmysłowi orientacji, nie zmylę kierunku. Gdzie tam! Teren zmienił się gruntownie, wyrównał, znikły znajome dolinki, a szarpiący to z przodu, to z lewej, to z prawej strony wiatr dokonał reszty. Widziałem na trzy metry. Stałem niepewny, obok mnie zatrzymał się <sup>Zołnierze</sup> ~~ochrowica~~ z karabinem, a za nami stanęła skłębiona kolumna rozwołu. Pośleszli. Ruszyliśmy, ktoś znowu próbował prowadzić. Wreszcie dobiliśmy do leżącego w połowie drogi większego wzniesienia. Upewniliśmy się teraz, że idziemy dobrze. Wkrótce dobiliśmy do obozu.

Tego samego popołudnia powracająca pojedyncza brгада zagubiła się w tundrze zupełnie. Po dłuższym blakaniu się trafiła na druty, po nich doszła do jakiejś wyszki i od <sup>Zołnierze</sup> ~~ochrowica~~ dowiedziała się, że to obóz siódmej

szachty. Stąd udało im się wrócić do obozu po dwu godzinach udręki.

Inną przygodę przeżył kilka lat później Józef koniuszaniec pochodzący z małego zaścianka na Wileńszczyźnie, człowiek silny, zahartowany i zżyty z przyrodą. Na krótko przed końcem kary zatrudniono go jako woźnicę. Przywoził chleb i inne produkty do kuchni. W czasie silnej purgi zagubił się w tundrze, błądził dłuższy czas, a wreszcie umęczony i z ustalymi końmi trafił na dwa blisko siebie stojące stogi siana. Wbił się wraz z końmi między te stogi i postanowił tam przeczekać burzę śnieżną. Zaalarmowano posterunek, kiedy nie wrócił. Szukało go dwudziestu <sup>żołnierzy</sup> ~~ochrowców~~ przez sześć godzin.

Innej zimy na sąsiedniej kopalni brygada zagubiła się w czasie strasznej purgi i nie wróciła do obozu. Nie zdołano jej odnaleźć. Dopiero w maju, gdy śniegi zaczęły topnieć, odnaleziono zmarznięte na kość zwłoki dwunastu ludzi.

Kiedy pracowałem po oswobodzeniu się na siedemnastej szachcie, przeprowadzono tam na dwumetrowych tyczkach cienką linkę z osiedla do kopalni. Tak zabezpieczano się przed zblądzeniem.

Zima czterdziestego ósmego roku była dla mnie ciężka. Nie dostawałem już przesyłek z Wilna. Starzy przyjaciele, którzy tyle mi pomogli, wyjechali już do kraju. Nie było już dodatkowego wsparcia. Pracowałem wciąż w pęczczasti. Pracy było jeszcze więcej, a chaotyczny i niedouczony szef nie umiał jej zorganizować należycie. Jednooki Iwan Timofiejewicz - zwany z tego powodu kambałą, czyli flądram - nie znał dobrze sprawozdawczości ani pracy kopalni. Domysł i intuicja niezauważalnie prowadziły do właściwych rozwiązań. Trzeba było teraz prowadzić sprawozdawczość i opracowywać plany dla trzech kopalni i łączyć je w całość. Powstało przecież jedno przedsiębiorstwo - Szu-2.

Musialem więc najprzód opracować kopalnię dwunastą, a potem dołączyć dane z czternastą i szesnastą przyniesione przez planistów. Prawdziwy kołowrót. W końcu każdego miesiąca pracowałem po dwie zmiany. Byłem niedospany, wycieńczony, słaby.

Przez trzy miesiące pracowała w naszym planowaniu żona naczelnika obozu, młoda, miła kobieta. Pochodziła z Leningradu, przeżyła tam oblężenie. Opowiadała czasem urywki swych wspomnień, przerażające. O tym jak z zimna i głodu - chleba dawano po dwieście gramów, a spalili już meble - umierał jej kaleki brat, jak w pół roku później umierała powoli, gasła jej niestara jeszcze matka. Nie ostrzeliwanie, nie padające pociski były najgorsze, straszny był głód i zimno. Mieszkańcy oblężonego miasta musieli jeszcze wykonywać wiele prac. I trwali. Zachorowała dopiero po wywiezieniu jej z miasta z chorymi. Było mi wtedy wstyd mojej słabości, ale przecież nie udawałem przed sobą. Na komisówce dostałem kategorię najslabszą - 1ft, prawdziwy "fityl". Dobrze, że udało mi się uniknąć cyngi. Tej zimy przeprowadzono "witaminizację" więźniów. Każdy dostawał po jednej pastylce przez dziesięć dni. Przyjazny lekarz, Grek z Odesy, zapisał mi tran, piłem po łyżce przez dziesięć dni. Pomogło.

Mieszkałem nadal w baraku ATP, sąsiadowałem z Buchwałowem, tym matematykiem z Mińska. Nadal ratował mnie od czasu do czasu tytoniem. Tejże zimy rozprawiłem się ostatecznie z plagą wszy. Trzykrotna pod rząd kąpiel w łaźni z jednoczesną "prośarką", czyli wyprażaniem wszystkich łachów w komorze dezynfekcyjnej, przyniosła pożądane rezultaty. Dokuczały tylko nadal pluskwy. Prowadziliśmy walkę z nimi przez wnoszenie ubrania i pościeli, a także nar, na których spaliły, na silny mróz. Połowiczna tego były sukcesy. Dużą ulgę przynosiła cotygodniowa kąpiel. Trzy "taziki" - malutkie cebunki - gorącej wody wystarczały

102 4

do umycia się, skąpo było tylko z mydłem. Ale nareszcie człowiek uwolnił się od brudu i smrodu.

Życie w obozie toczyło się bez większych zmian. Ludzie wykruśzali się w ciężkiej pracy, słabli, trafiali do stacjonarów, poprawiali się, leczyli i wracali na szachtę. Zgony były nadal częste. Mniej przybywało teraz uzupełnień, zaczęto nieco więcej dbać o zdrowie górników. Na wszystkich szachtach były już łaźnie. Po skończeniu zmiany górnik zdejmował robocze łachy, związywał je i wkładał do swej przegródki na półce. Obmywał się z grubsza i kładł suche ubranie. To była kapitalna sprawa. Nie wracał już do obozu w lodowym pancerzu. Zmieniła się w następstwie tego na korzyść atmosfera w baraku, ludzie nie spali już w mokrych łachach, mniej było smrodu. Było sucho i ciepło. Lepiej też pracowała saneczast'. W prawdziwej chorobie, przy podwyższonej temperaturze lekarze dawali zwolnienia. Lepiej pracowały stacjonary, przybywało lekarstw, były witaminy, był tran. Otwarto gabinet dentystyczny, zaczęto wreszcie leczyć zęby. Przyjmowała młoda, miła lekarka Zinaida Pietrowna. Jeden z naszych chłopców dał sobie - mówiono - wyrwać dwa zęby, żeby dłużej pobyc w jej bliskości. Żartowano i w ciężkich czasach. Dużą ulgę przyniosło przeprowadzanie powierki - rannego i wieczornego apelu - w barakach. Nie trzeba było teraz wychodzić na mróz czy deszcz. Mniej słyszało się też o pobiciu przez naściadczyków czy brygadzystów i dziesiętników.

Nasi chłopcy trzymali się jakoś. Mówię "chłopcy", bo sam przeszedłem już do grupy starszych. Trzymaliśmy się razem, spotykając się, gawędząc, wspierając wzajemnie. Stary pocziarz wilenski Romanowski, komendant AK z <sup>Suwalskiego</sup> ~~Suwałskiego~~ bojowy Ptaszynski - obaj "żetonszczyki". Zrównoważony maszynista wyciągu Świerczyński z trzeciej brygady Szczeroca. Mały cichutki Fran-

103

ciszkanin ksiądz kapusta, prasowacz w pralni. Wielkiej zacności doktor Raubo ze Smorgoń. Przez dwa lata był z nami doktor Jerzy Dobrzański, stary działacz i ostatni Delegat Rządu w Wilnie, cieszący się ogromnym szacunkiem. Później zjawił się ksiądz Lisowski z Żytomierza. Ten jednak nie cieszył się sympatią rodaków z powodu swego skąpstwa. Wszyscy starsi byli urządzi na lżejszych robotach. Dużo młodych pracowało niestety na ciężkich i niebezpiecznych robotach. Czasem udawało się kogoś przenieść na lżejszą pracę. Wykorzystywaliśmy nawiązane już bliższe znajomości i rzeczowe kontakty z nariadczykami. Opiszę jeden przykład.

Na dwunastej kopalni pracował jako "otkaczyk", przetańcając wagony z węglem z przodka do podszybia, wysoki, silny, trzydziestoparoletni Polak z okolic Nieświeża nazwiskiem Kozak. Poradziłem mu, by zgłosił się na organizowany wtedy trzymiesięczny kurs maszynistów wyciągu. Został przyjęty na kurs i wypisany z brygady. Po trzech dniach zaprotestował przeciw temu przeniesieniu jego były naczelnik. Poparła go w tym Maria Kiryłowna Marczenko, główny inżynier szacnty. Poprosiłem wtedy inżyniera Udowiczenkę, mego przyjaciela i sąsiada - spaliliśmy w baraku obok siebie - który ten kurs prowadził. We dwu przekonaliśmy Marię Kiryłownę, że większy pożytek będzie miała z wysoko kwalifikowanego specjalisty niż ze zwykłego otkaczyka. Ustąpiła upewniwszy się, że Kozak wróci po kursie na szacntę. Pracował odtąd jako maszynista wyciągu.

Trzeba było nawet przy tych przeniesieniach zachować ostrożność, bowiem wszystko to kontrolował "kum", szef politycznego nadzoru w obozie, dysponujący "stankaczami" - donosicielami - w każdym baraku. Pewnego razu o mało nie skończyło się to poważną wpadką. A było to tak. Na dwunastej kopalni

wyższej ?  
było kilku Polaków urządzonych na lekkich pracach: Romanowski i Ptaszyński kontrolowali zjazd górników odbierając żetony. Piotrowski, wilnianin z tego co ja donu, był kontrolerem składu węgla. Świerczyński i Kozak byli maszynistami wyciągu. Pewnego razu wezwał mnie Panajotidi, zaprzyjaźniony Grek z obozowego biura kierującego roboczą siłą. W krótkiej gawędzie wspomniał mimochodem, że coś tam u mnie na dwunastej za dużo Polaków się kręci. Wystarczyło to ostrzeżenie. Jeszcze tego wieczora przesunęliśmy Ptaszyńskiego i Piotrowskiego na inne szachty, rozładowaliśmy niepożądane "zagęszczenie" Polaków na lekkiej pracy. Po dwu dniach przyszedł do naszego biura na kopalni "nadziratel" pytając o Ptaszyńskiego i Piotrowskiego. Zastanawiało mnie, jak dobrze był poinformowany "kuz" i kto mu doniósł, że na dwunastej tylu Polaków lekko sobie żyje. Ale tylu stukaczy było przecież dokoła. Dziękowałem serdecznie Panajotidemu. Oto wartość ostrzeżenia w porę, wartość dobrych, przyjaznych stosunków z ludźmi.

Wczesną zimą dwa desperatów próbowało ucieczki. Przygotowali sobie narty własnego wyrobu i w czasie purgi wydostali się z obozu wykorzystując zaspy śniegu górujące nad drutami ogrodzenia. Nie pomogło to, że wichura zasypała doszczętnie ślady. Po trzech dniach przed wachtą leżał trup jednego, a po tygodniu i drugi znalazł się na tym samym miejscu. Zastrzelili ich podobno miejscowi Komiacy, którzy mają nakaz chwytania zbiegów. Nie przepuszczą nikomu. Zwłoki dwu zbiegów leżały przed wachtą kilka tygodni. Dla odstraszenia.

Ucieczka z Workuty była, biorąc rzecz na zdrowy rozum, niemożliwa. Można się było wydostać z obozu czy ze strefy kopalnianej, ale tu na miejscu nikt nie podałby ręki uciekinierowi. W dalszej zaś okolicy miejscowi autochtoni Komiacy

105

byli przez władze wrogo nastawieni do więźniów i otrzymywali nagrody za schwywanie czy zastrzelenie zbiega. Najczęściej oni właśnie przywozili zwłoki uciekinierów. Przejście pieszo dwu tysięcy kilometrów przez bezdroża tundry i tajgi, a dalej ku południowi przez lasy i bagna, było niemożliwością tak latem, jak i zimą. Cały kraj był usiany obozami, strzeżony przez milicję i wojska NKWD. Jedyną możliwość dawało wykorzystanie linii kolejowej z Workuty na Kotłas i dalej na Moskwę lub Leningrad. Była ona jednak strzeżona z żelazną konsekwencją. Nie mógł zbieg żadną miarą wykorzystać pociągu osobowego. Były próby ukrycia się w wagonach z węglem, których dziesiątki i setki odchodziły codziennie na południe. Tu NKWD czuwało niezwykle czujnie. każdy wagon węgla załadowany na kopalni był gruntownie sprawdzany. Żołnierze przekłuwali węgiel długimi prętami żelaznymi aż do dna w kilkunastu miejscach w każdym wagonie. Wykrywali każdą próbę przygotowania w węglu jakiejś kryjówki. A próby takie zdarzały się mimo wszystko. Byli zdecydowani narwańcy, którzy chwyтали się za jedną szansę na tyśiąc. Znałem dwu takich zuchów.

Fiodor Chotniański, doński kozak, lat czterdziestu, zwięźszej budowy, człowiek o niezwykłej sile fizycznej i bezgranicznej odwadze, pracował przy załadowywaniu węgla i przygotował sobie skrytkę na dnie wagonu. Wśród ładowaczy znalazł się jednak więzień, który miał z nim porachunki i uprzedził żołnierzy przeprowadzających kontrolę. Zastraszony i schwytany Chotniański zdołał doskoczyć do zdrajcy i jednym ciosem żelaznego pręta rozwalił mu głowę. Blisko rok trzymano go w "burze" w nieludzkich warunkach. Dzięki żelaznemu organizmowi i pewnej pomocy innych sztrafniaków przetrzymał i głód, i mróz. Wyszedł całkowicie wyczerpany. Do stacjonaru zaniesiono

x/ Bur - tu karcer.  
bawak usilennogo rezimera

go na noszach. Dwa miesiące w szpitalu przywróciły mu życie i częściowo siły. W chwili gdy z nim rozmawiałem, kiedy obaj znaleźliśmy się w więzieniu po buncie górników, była to połowa dawnego Fiodora, ale pozostała mu <sup>dawna</sup> zadziorność i szaleńcza odwaga

Iwan Reznikow, Ukrainiec z Półnawoszczyny, był człowiekiem prymitywnym, zjadłym antysemitą, wrogiem "biełoruczek", groźnym zabijaką mającym na swym rachunku liczne bójki. Niewysoki, silny za to jak tur. Pracował w składzie drzewa na kopalni. Tam sporządził sobie prymitywne narty. Przygotował zapas chleba i w czasie purgi wy dostał się z zony w tundrę. Trzymał się z dala od osiedli i obozów. Szedł nocą. We dnie zakopywał się w zaspy śniegu i przesypiał. Przeszedł już kilkadziesiąt kilometrów, ale skończyły się ciemne, chmurne noce, księżyc świecił teraz jasno. W taką księżycową noc natknął się na dwa obozy odległe od siebie o jakieś sześć kilometrów. Trzeba by nałożyć z piętnastu kilometrów, żeby je obejść bokiem. Wydawało mu się, że zdoła przejść na wprost środkiem. Ruszył. Zamarznięty śnieg skrzypiał głośno pod deskami. I stało się: jasna rakietą poleciała w górę, dostrzeżono go. W godzinę pościg dosięgnął go i psy już szarpały jego ubranie. Nie zastrzelono go. Szóstego dnia był już w burze, w izolatce. Miał szczęście. Skazano go tylko na pół roku. Po trzech miesiącach odbieraliśmy właśnie miesięczną porcję cukru w kaptiorce, gdy wpadł tam zdyszany Reznikow, któremu udało się jakimś cudem wyskoczyć z baru. Sypnęliśmy mu cukru do czapki i Iwan poleciał pędem do izolatora. Po odbyciu kary opowiadał mi szczegóły swej ucieczki.

Przydybałem kiedyś młodego Leningradczyka Saszke Wasendina. Opowiedział mi swe dzieje. Zrzucony poza frontem przekazywał przez radio informacje o ruchach wojsk na niemieckich tyłach. Uchodził stopniowo przed cofającym się frontem na

137

zachód. Był na polskich ziemiach. Polacy dużo mu pomagali. Nie pamiętam już, za co został skazany na dziesięć lat jako zdrajca ojczyzny. Artykuł pięćdziesiąty ósmy. Przebywał w obozie w lasach północnej Rosji. Pewnego razu napadli we dwóch na konwojującego ich <sup>żołnierza</sup> ~~bohrowca~~, odebrali mu karabin, przywiązali do drzewa, mocno krępując mu ręce i zakneblowali usta. Zabrali broń i niesione dla brygady produkty i prysnęli. Nie poszli w kierunku na wprost, ale cofnęli się. Przecięli szosę i weszli w las. W nocy spadł obfity deszcz i zatarł wszelkie ślady. Minęło dziesięć dni. Wciąż uciekali unikając dróg i osiedli. Mieli żywność. Przeszli już kilkaset kilometrów. Pewnego dnia odpoczywali na polanie w środku lasu. Obmyli nogi, suszyli onuce. Małe ognisko dogasało i snuł się tylko błękitny dymek.

Nagle usłyszeli trzask gałązek i zobaczyli wyłaniającą się z lasu trójkę żołnierzy. Nie użyli karabinu, nie było sensu. Żołnierze wracali ze służby do jednostki. Zwykle chodzili szosą, dziś podkusiła ich wyjątkowa pogoda, poszli na skrót przez las. Przez przypadek natrafili na zbiegów. NAWD natychmiast ustaliło ich personalia. Na rozprawie spotkali żołnierza, którego zostawili przywiązanego do drzewa dwa tygodnie temu. miał wciąż okropnie zapuchniętą, pociętą przez komaty twarz. Dostali dodatkowo po pięć lat i trafili na Worskutę. Była to najbarwniejsza opowieść o ucieczce, jaką słyszałem. A Saszkę bardzo polubiłem.

Jeszcze jedna, ostatnia już opowieść "ucieczkowa". Zimą czterdziestego siódmego roku sasiadem moim na górnych narach był inżynier leśnik Stiepan Zajcew. Człowiek starszy ode mnie z dziesięć lat, małomówny, ponury. Kłopotliwy to był sąsiad, bo cęrapał na pół baraku. Było to zresztą źródłem wielu konfliktów. Po miesiącu sąsiedzowania zaczął opowiadać, a miał

148

o czym mówić, przewędrował pracując na różnych stanowiskach cały Kaukaz, południowy kraniec Uralu, znaczne połacie Kazachstanu, Ałtaj i pogranicze Mongolii. Polował w syberyjskich lasach, łowił ryby w bystrych rzekach górskich, nocował pod gwiazdami i w szałasach, i w kazachskich przeraźliwie zawoszonych jurtach. Znał las na wylot, umiał sobie w nim radzić. Niejasne były jego wojenne lata, nie dopytywałem go o nie ani o to, kiedy go aresztowano i za co.

Już jako więzień znalazł się na północy Rosji w jakimś strasznym obozie. Przeprowadzono grupę więźniów na polanę położoną w lesnej głuszy, otoczoną ścianą starodrzewu. Dostrzegli tu kilkanaście kopców, przykrytych metrową pierzyną śniegu. Sączący się z nich prosto w niebo dymek wskazywał, że ktoś w nich mieszka. Były to ziemianki, z których wyszły na zewnątrz dziwne, półdzikie postacie zakutane w jakieś łachy. Kiedy przybyszów wpędzono do tych ciemnych, smrodliwych ziemianek, starzy mieszkańcy ograbili ich w krótkim czasie doszczętnie, odbierając wszystko, zostawiając im swoje podarte, brudne, zawzione łachy. Zdziczali kryminaliści panoszyli się brutalnie, bili, poniewierali przybyłych. Zniewolona większość więźniów potulnie wypełniała ich polecenia, oddawała ubranie, żywność. Obozowy nadzór nie mieszał się do życia w ziemiankach. Więźniów wyprzedzono <sup>na</sup> "lesopoważkę", na wyrąb lasu. Prace to ciężkie i niebezpieczne. Trudno jest ujść w takim kopnym śniegu przed padającym drzewem. A ludzie byli krańcowo osłabieni, gdyż ze skromnego pożywienia ograbiali ich jeszcze bandyci. Toteż wyniki ich pracy były nikłe. Po paru tygodniach Zajcew zamówił kilku odważniejszych więźniów, zbuntowali się, pociągali za sobą bierną, zmaltretowaną resztę. Stoczyli z bandytami kilka bojek na ostro i zranili ich wszechwładzę. Żądali też od

władz obozowych ochrony przed nimi, przyrzekając w zamian lepszą pracę w lesie. Władze przyjęły układ i w obozie zapanował większy ład. Praca ruszyła żywiej. Dało się jakoś żyć. Przyszła wiosna, przyszło lato. Brygady wychodziły do lasu z piłami, siekierami. Więźniowie cięli, piłowali, walili potężne sosny, rozsypywali się przy pracy po lesie.

Pewnego dnia Stiepan oddalił się znacznie od swej brygady, stuk siekier słabo docnodził z daleka. Zdecydował się, wybrał tę jedną szansę na sto. Z siekierą za pasem ruszył w mało przewidywanym kierunku, szedł z wiatrem, by zmylić psy. I udało się. Uszedł przed pościgiem. Zmienił teraz kierunek, szedł w stronę ludzkich osiedli. Mijał je zresztą z daleka. Jadł znane mu lesne rośliny, korzonki, jagody. Raz dopadł krowy pasące się pod lasem, nadoił mleka, napił się. Minał tydzień. Zanocował na łące zagrzebawszy się na wierzchu kopki siana. Z twardego snu zbudziło go rano szczekanie psa i ostry rozkaz:

- Slezaj! Złaż!

Na dole czekało trzech <sup>zotniarzy</sup> ochrowców z psem. Nie było wyjścia. Zjacew zsunął się z kopki siana i już pies zaczął go szarpać. Chwycił psa za szczęki i rozdarł mu pysk na całą szerokość, aż ten zawył z bólu. Wtedy <sup>zotniarzy</sup> ochrowcy zaczęli go tłuc, a i pies szarpał go dalej. Pokąsany i pokiereszowany przeszedł nowe śledztwo, w czasie którego bito go potężnie, dopóki nie podpisał - za radą doświadczonych bywalców więzień - wszystkiego, czego śledczy od niego żądał, co mu wnawiał. Bicie ustało, dostał nawet paczkę papierosów. Wyrok - dodatkowe dziesięć lat. Tak trafił na workutę.

I Polacy nie wytrzymywali, próbowali ucieczki. Z innego obozu uciekł Jeremi Udyński, młody akowiec z Nowogródzkiego. Przez miesiąc leżały jego zwłoki na mrozie przed wacutą. Siostra jego, która była więziona w sąsiednim obozie, postawiła krzyż

na jego mogile, gdy odzyskała wolność w 1955 roku.

Kiedy mówi się o izolacji więźniów od otoczenia, brzmi to sucho, nie robi wrażenia. Lepiej zilustrują to dwa zaobserwowane przeze mnie zdarzenia.

Zebrałiśmy się rano przy obozowej wachcie czekając na rozwód. Z zewnątrz podszeł do drzwi dyżurki niewysoki, starszy człowiek w butach, czapce uszańce i jakiejś kurtce. Domagał się od dyżurujących ochrowców wpuszczenia do obozu i widzenia z synem. Strażnicy odmówili twierdząc, że jego syna w obozie nie ma, i kazali mu odejść. Zrobiło się głośno, posypały się pogróżki. Ale twardy to był człowiek.

- Przyjechałem tu aż z Kubania, muszę zobaczyć syna - krzyknął. - On jest tutaj, widziałem go przez druty. Mnie nie nastraszyście. Ja byłem komisarzem w dwudziestym roku. A tu, patrzcie, moje odznaczenia!

W tym momencie rozpiął szeroko swą kurtkę, ukazując pierś upiętą dziesięciu co najmniej orderami. Nic to nie pomogło. Nie pomogła desperacja i ból ojca, nie pomogły jego rewolucyjne zasługi. Żelazny reżim nie pozwolił.

Inaczej było w drugim przypadku. Do znanego mi dobrze metalowca, tokarza z Leningradu, przyjechała żona z siedemnastoletnim chyba synem. Nie próbowała zdobyć oficjalnego pozwolenia na widzenie się z mężem. Zatrzymała się w małym osiedlu, chyba ze sześć domów zamieszkanym przez wolnych pracowników kopalni. Kobiety przygarnęły ją. Nawiązało się porozumienie. Kiedy nasz poranny rozwód ciągnął przez ten posesiołek, przed jednym domem siedziało kilka kobiet, a wśród nich ta żona z Leningradu. Po drugim brzegu szosy przechadzał się wolno jej syn. A o ciele maszerował w drugiej czwórce pierwszy z lewej strony. Widział i żonę, i syna, chyba dotknął go ręką. I oni oboje widzieli go.

Powtórzyło się to trzy razy w ciągu trzech dni. Wiedziako o tym tylko kilku współwięźniów. Nie zapomnę nigdy wyrazu twarzy tego młodego chłopca, ani jego smutnych senickich oczu. Była to żydowska rodzina. Potwierdziły się jeszcze raz silne związki rodzinne u Żydów.

# W RECZŁAGU

Workuta 1949-1953

Zimą z czterdziestego ósmego na dziewiąty zaszły duże zmiany w naszym życiu. NKWD stworzyło z obozów workuckiego rejonu nową jednostkę organizacyjną Reczłag.<sup>x/</sup> Był to zestaw obozów o bardzo obostrzonym reżimie przeznaczonych dla więźniów politycznych. Oddzielono i zabrano "bytowików", to znaczy złodziei, bandytów i innych kryminalistów, pozostali tylko polityczni przestępcy skazani ze słynnego pięćdziesiątego ósmego artykułu. Foważnie zaostrzono reżim. Baraki zamykano na noc, przy wejściu ustawiano żelazne beczki - parasze. Ograniczono korespondencję, Wzmocniono izolację obozu. Do tej pory tylko katorżnicy, czyli ktr,<sup>+</sup> nosili łatki i numery na plecach, na kolanie i na czapce. Teraz i pozostali więźniowie - "zakluczeni", czyli z/k, zeki - musieli nosić swe numery na rękawie i na kolanie. Rozwód z obozu na szachtę przeprowadzano teraz ze szczególnymi obostrzeniami. Część tundry, gdzie zbierały się przepuszczone przez wachtę brygady, obstawiona była gęsto żołnierzami ochrony ~~oensoweani~~ uzbrojonymi w automaty. Towarzy-szyły im głośno łajające psy. Po bokach ustawiono dwa karabiny maszynowe. Więźniowie musieli się wziąć pod ręce i maszerować czwórkami nie wychylając się z kolumny. Prowadzący konwój sierżant wygłaszał codziennie sakramentalne słowa:

- Krok w lewo, krok w prawo strzelać. Jasno?

Kiedy kolumna odwrzasnęła "jasno", dawał rozkaz do  
wymarzu.

x/ Od słów: Reżimnaja czast' łagierej.

Srożyły się i obozowe władze. Sypały się kary za byle drobiazg, miejscowy "bur" był zawsze zapełniony. Odczuwaliśmy dotkliwie te wszystkie obostrzenia szczególnie w pierwszych tygodniach. Zapanało przycichnięcie, ludzie przycichli, stali się powściągliwi w języku. W obozie zrobiło się cicho i spokojnie. Nie było żadnych bójek, ustały kradzieże. I dziwne, zrobiło się jakos lżej, gdy znikli błatni i inni różnego rodzaju kryminaliści. Nieliczni z nich, którzy pozostali, bo mieli także artykuł pięćdziesiąty ósmy, nie czuli się pewnie i przycichli. Przekonaliśmy się teraz dowodnie, jaką zmorą było przemieszanie ludzi z przestępstwami kryminalnymi. Dość szybko przyzwyczajaliśmy się do nowego reżimu, przestaliśmy go odczuwać jako coś szczególnie dotkliwego.

Po roku zresztą reżim znacznie zelżał. Wymusiło to życie i potrzeby przedsiębiorstwa. Kopalnie musiały pracować sprawnie i dawać węgiel niezawodnie. Kierownictwo Szu-2 wymogło więc na władzach obozowych pewne ustępstwa od wprowadzonych obostrzeń. Przeszto zamykać baraki na noc, przywrócono korespondencję i otrzymywanie przesyłek od rodziny. Bardzo to wszystkim użyczyło.

Wprowadzono też wtedy z wymienionych względów rozrachunek pieniężny z więźniami. Za pracę więźniów kopalnia płaciła obozowi według normalnych stawek. Połowę z tego zabierał Reczłag, czwartą część brał obóz na koszty utrzymania - ubranie, wyżywienie, opieka zdrowotna itd. - pozostałą ćwiartkę zaliczano na rachunek więźnia. Tak było od 1952 roku. Rozszerzona etatowo buchalteria obozowa przeprowadzała ściśle obliczenia co miesiąc. Więzień mógł co miesiąc podjąć ze swego rachunku niewielką sumę, około stu rubli, i zużyć ją zgodnie ze swymi potrzebami.

Otwarto wtedy w obozie sklepik i dodatkową "komercyjną" stołówkę. W sklepiku był tytoń, papierosy, cukier, czasem margaryna, rydło, a później pojawiły się i inne drobiazgi. W sto-

łówce można było zjeść dodatkowy posiłek nawet z mięsem. Pracowali tam kucharze, których w obozie nie brakowało. Od tej pory skończył się w obozie głód. Każdy górnik mógł kupić sobie dodatkowo coś na posiłek. A przecież niektórzy dostawali jeszcze coś z domu, najczęściej słoninę i tyton. Szachta zaczęła zachęcać do pracy "dlinnym rublom", jak mówił na zebraniu górników naczelnik Szu-2. I istotnie ludzie zaczęli dbać o swą pracę. Brygady ustalały swój zestaw, nie przyjmowały takich, którzy chcieli się obijać.

Poprawiło się także obozowe wyżywienie. Była teraz stale kiszona kapusta i ulubiony przez Rosjan kapuśniak "szczy". Pojawiła się też sławna "kartoszka". W poprzednich latach prawie wcale nie przysyłano na Workutę kartofli, a na miejscu nie rosły. Nim w środkowej Rosji kartofle dojrzwały do wykopania, na Workucie zapadły mrozy, kartofle przemarzały w drodze. Teraz znaleziono wyjście. Kartofle przywożono i składano zamknięte w workach. Przed użyciem w kuchni obmywano je szybko i zamknięte sypano do kotłów. Jakoś to wychodziło.

Dodać trzeba, że również warunki sanitarne i higieniczne zmieniły się na lepsze. Nie było wszy, wytępiono w dużym stopniu pluskwy. W obozowej bani każdy mógł się wmyć raz na tydzień. Pracował przy niej fryzjer. Była do dyspozycji komora dezynfekcyjna. Na każdej kopalni były prysznice. Dniwalni utrzymywali baraki w jakim takim porządku i każdy z mieszkańców dbał o porządek wokół siebie. Lepiej pracowała także "fenczes". Była dentystka, stan zębów zaczął się poprawiać. Było więcej lekarstw, był tran, nie straszono tak cyną.

Dzięki tym wszystkim zmianom warunki bytowania stały się nieporównanie lepsze niż w pierwszych latach naszego życia na Workucie. Dużą ulgę przyniosło też wybudowanie specjalnego

Wojciech  
- w kul by to  
w 481

21  
115

chodnika-korytarza z obozu do kopalni. Ochroniały go z obu stron druty kolczaste i wyszki strażnicze. Znikła zmora rozwo-  
dów, wyczekiwania na mrozie i wietrze na zeoranie się wszyst-  
kich brygad. Teraz brygada meldowała swą liczebność i przecho-  
dziła na korytarz przez wachtę obozową. Po dojściu do kopalni  
meldowała się nawachcie i wchodziła w zonę kopalnianą. Korytarz  
był poprowadzony przez tundrę na wprost i skracał drogę prawie  
o połowę. Górnik oszczędzał codziennie półtorej godziny czasu!

Miało to ogromne znaczenie dla rozwoju życia w obozie. Nareszcie ludzie mieli trochę wolnego czasu, a również i nieco luźnej energii. Chciało się teraz pogawędzić z sąsiadami, z ziemiakiem - roślakiem czy z kimś bliskim zawodowo. Można było pomyśleć o przeczytaniu czegoś, a pojawiło się już trochę książek w przesyłkach. Pojawiły się z przesyłek instrumenty muzyczne: skrzypce, bajany, gitary. Konstruowano i na miejscu różne lutnie, cymbały i białaląski. Byli w obozie muzycy, śpiewacy, aktorzy, malarze i poeci. Przywożono od czasu do czasu filmy, a raz czy dwa razy do roku przyjeżdżała z koncertem specjalna objazdowa "kultbrygada" z więźniów złożona.

Na miejscu, w obozie, również byli zawodowi artyści i chętni amatorzy, którzy organizowali koncerty i składanki z arii operowych, pieśni żołnierskich i ludowych, z fragmentów operetek. Wystawiono nawet operę Czajkowskiego według Puszkina, "Pikowa dama", Dargomyżskiego "Kamienny gość", również według Puszkina. Były fragmenty "Carmen" Bizeta, były fragmenty operetek. Utalentowany wszechstronnie kozak Manczenko, inżynier, górnik z Donbasu, napisał komedię z czasów. Wystawiono ją również ku ogólnej radości. Kłopoty były z kobiecymi rolami, ale i z tym sobie po obozowemu radzono. Nierazko słyszano się śpiew i po barakach. Rosjanie i Ukraińcy lubią śpiewać. Śpiewa-

no najczęściej piosenki ludowe, żołnierskie, partyzanckie i przejmujące smutkiem pieśni zesłańców.

Była w naszym obozie kilkunastu osobowa orkiestra dęta, zasilana na koncerty bajaranem, skrzypcami i basetlą. Inna grupa zorganizowała orkiestrę instrumentów strunowych.

Najmilsze były dla mnie spotkania dwójki muzyków, którzy wędrowali z własnej dobrej woli po barakach i grali ludziom, by ich po prostu rozweselić. Grali co dzień w innym baraku. Ukrai- niec spod Tarnopola, inżynier Kazanowski, grał na skrzypcach, a towarzyszył mu na domorosłych cymbałach Wasia, niepiśmienny Hucuł, samorodny talent muzyczny. Grali pięknie, wzruszająco. Kilka razy, gdy mnie dostrzegli wśród słuchających, zagrali wiązanke polskich pieśni ludowych i legionowych. Przyjaźniliśmy się z kazanowskim i prowadziliśmy długie gawędy. Szczególnie dużo gawęd i rozmów było w spotkaniach z Polakami. A spotyka- liśmy się przecież często, garnęliśmy się do siebie. Szukaliśmy oparcia, pomocy, informacji. Trzeba było omówić bieżące wydarze- nia w obozie czy na kopalni, wiadomości ze świata. Najczęściej wspominało się rodzinę, przeżyte akówskie lata. Deliberowaliśmy nad możliwością zwolnienia i powrotu do kraju. Tyle było na ten temat domysłów i pogłosek. Nie obyło się oczywiście bez żartów, te zawsze były chętnie widziane i przynosiły odprężenie. Z młod- szymi było w rozmowie trochę nauki. I czytania. Polskich książek było niestety mało. Mój "Pan Tadeusz" ciągle wędrował. Trochę czytaliśmy razem. Zastanawiało mnie to, że młodzi nie zapalali się do niego. Za mało mieli szkoły, nie zdążyli się rozczytać, a potem przygniotło życie. Za mało zapewne i my starsi myśliłi- my o dosztafcaniu młodszych, wystarczały nam dobre, przyjazne kontakty. Wyrszniej ruszyły te sprawy dopiero w ostatnich latach, w reczragu.

Trwał dalej zwyczaj gawędzenia w suszyłce, przy zakurce. Tam można było usłyszeć barwne opowiadania o przeżytych przygodach w partyzantce, na froncie, w niewoli, w armii Własowa, o wędrówkach po całej okupowanej przez Niemcy Europie, o dawnych obozach, o Biełomorkanale, o ucieczkach.

W obozie było wielu interesujących ludzi - lekarzy, uczonych, pisarzy, śpiewaków, aktorów, inżynierów. Nietrudno było dobrać sobie odpowiedniego do zainteresowań partnera. A ludzie - poznawszy się w ciągu kilku <sup>lat</sup> ~~lat~~ wspólnego przebywania w obozie i nabrawszy do siebie zaufania - wypowiadali się bardziej otwarcie. Z rozmów z takimi ludźmi wiele się dowiedziałem, sporo nauczyłem.

Po roku pięćdziesiątym pierwszym, kiedy warunki bytowe poprawiły się i ustabilizowały, rozwinął się znacznie sport w naszym obozie. Było duże boisko do piłki nożnej, mniejsze boiska do koszykówki i siatkówki. W koszykówce górowali Estonczycy i Litwini. Największe zainteresowanie budziły mecze piłki nożnej. Rywalizowały z sobą dwie drużyny o dość stałym składzie: Szachtior i Łagsektor. Kiedy do naszego obozu przybył Prass, były gracz lwowskiej Pogoni, poziom gry znacznie się podniósł. Grali jeszcze w drużynie Szachtiora dwaj inni Polacy: Świetlikowski z Wilna i lubiany powszechnie Hentosz z Sambora. Miło mi było przyjmować kilka razy gratulacje: "Szawa polskim futbolistom!" Taki mecz był małym świętem w obozie. Furkotały na masztach flagi obu drużyn, a przy dźwiękach orkiestry - tak! - gracze wbiegali sznurkiem z wielkim szyskiem. Po ceremonii losowania sędzia dawał sygnał i rozpoczynał się wielki bój. Dwa tysiące kibiców, "bolelszczyków", przeżywało emocje. I naczelnictwo patrzyło chętnym okiem na te zmagania, a nawet interesowało się nimi. Obserwowała kiedyś mecz Tamara Arcziłowna pannie-

ca wtedy obowiązki naczelnika Szu-2. Kiedy Prass, wykonując rzut wolny, przerzucił piłkę ponad murem ustawionych graczy i strzelił bramkę, pełna temperamentu Gruzinka wyrzuciła czapkę w górę z radonym okrzykiem. Toteż była lubiana.

Zadziwiająca jest ludzka odporność, zadziwiająca żywotność naszej obozowej gromady. Trzy chyba były główne czynniki tego odrodzenia życia społecznego i kulturalnego w obozie, rozwijającego się bujnie wbrew wieloletniemu, wielorakiemu uciskowi, mimo braku perspektyw i zupełnej beznadziei.

Podstawową sprawą była poprawa warunków bytowych. W szczególności: lepsze odżywianie /łącznie ze sklepikiem i stołówką komercyjną/, łatwiejsze dojście na szachtę /korytarz przez tundrę/, prowierka w barakach, większa higiena i w pracy /łaźnia/ i w obozie, lepsza opieka lekarska. Te zmiany podniosły ogólną zdrowotność.

Było nas w obozie - nie licząc starszych i słabych - ponad cztery tysiące chłopów, ludzi zdrowych w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat. Był to potężny zasób energii. Musiała ona znaleźć ujście we własnym swobodnym działaniu, nie tym przymusowym, katorżniczym. Jak zdeptany i zgnieciony krzak ziela prostuje się i rozwija, gdy ma powietrze i słońce, tak i obozowe życie zakwitło i rozwinęło się bujnie, gdy warunki stały się tylko nieco bardziej ludzkie.

I trzecia sprawa. W obozie była niesłychana różnorodność ludzi.

Było co najmniej trzydzieści różnych narodowości - Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy, Litwini, Łotysze, Estońscy, Gruzińscy, Ormianie. Azerbejdżanie. Tatarzy, Komi, Kazachowie, Uzbeki, Tadżyki, Mongołowie, Finowie, Niemcy, a w drobnych ilościach Inguścy, Kabardowie. Hiszpanie, Czesi, Węgrzy,

Francuzi, Amerykanie, Kanadyjczycy, Koreańczycy, Chińczycy, Turcy, Bułgarzy, Grecy i inni.

Byli ludzie różnych zawodów, od chłopów, rzemieślników i techników, marynarzy i lotników, ekonomistów i polityków, aktorów i śpiewaków, inżynierów i tylu innych.

Byli ludzie o różnym poziomie wykształcenia, od analfabetów i koczowników, do naukowców, uczonych, profesorów wyższych uczelni.

Była wreszcie liczna grupa ludzi twórczych - działacze społecznych i politycznych, wynalazców i konstruktorów, pisarzy i poetów, śpiewaków i muzyków, aktorów i malarzy. Były też wybitne samorodne talenty, choć nie podbudowane kształceniem. Były to kipiące drożdże.

Była więc w tej dużej gromadzie ludzi potężna dżoza energii, duże umiejętności, była inwencja, była nie wykarczowana do ostatka wola życia, wielka siła odradzania się. To była gleba, na której nastąpiło <sup>po roku pięćdziesiątym drugim</sup> ~~w latach 52-54~~ odrodzenie w obozie życia społecznego i kulturalnego. Szczytowym momentem tego odrodzenia był bunt w pięćdziesiątym trzecim roku.

W pięćdziesiątym drugim roku przybyło kilku Polaków przysłanych z Kapitałki. Przyjęliśmy ich z ciekawością, ale i z nabytą już w obozie powściągliwością. Nie wiedzieliśmy nic o nich. Dopiero kiedy przybył Zwinogrodzki, którego znałem już wcześniej, a także po kilku rozmowach, wyjaśniło się wszystko. Prawie wszyscy byli wplątani w dziwną aferę. Kilku młodych chłopców prowadziło ryzykowną korespondencję z Polakami z sąsiedniego obozu. Nazwali się żartobliwie Klubem Starych Kawalerów, w skrócie "Kask". Ktoś usłyszał to hasło, przekazał "kumowi" jako dowód na istnienie tajnej organizacji. W obozowych władzach NKWD zawrzało. Ktoś chcący zarobić na awans rozdał sprawę, wszczęto ograniczone śledztwo, aresztowano

kilkunastu ludzi. A znaleźli się niestety jeden Polak, Załuga, drań i zdrajca, który potwierdził fakt istnienia tajnej organizacji, zjawianie się i planowanie sabotażu. Podejrzanych bito i maltretowano w okropny sposób. Niektórzy nie wytrzymali, przyznawali się do wszystkiego, co im wmawiano. Reszta katerycznie odrzucała posądzenia. Po paru dopiero miesiącach wyjaśniło się wszystko. Sprawę umorzono, uczestników wysłano do innych obozów, kilku trafiło na Szu-2. Był wśród nich i zdrajca Załuga. Zastosowaliśmy wobec niego całkowity bojkot. Po paru miesiącach przeniesiono go do innego obozu, tu był przecież spalony.

Z przybyciem nowych ożywiło się życie w naszym polskim kręgu, potoczyły się nowe rozmowy. Najstarszy był teraz wśród nas stary legun Adam Galiński, komisaryczny dyrektor kasy Chorych, zaangażowany w pracach wileńskiej Delegatury. Dobry gawędziarz, źródło wielu wiadomości i facecji. Pracował jako ~~dzienialny~~ <sup>dzienialny</sup>, a później przy kuponach obiadowych. Karol Frass przyszedł już z famą dobrego piłkarza, dostał więc lekką pracę dyżurnego w podstacji elektrycznej i grał w drużynie Szachtiora, zdobywając i tu zasłużoną sławę. Pozostali urządzili się zgodnie ze swymi kwalifikacjami na lekkich robotach.

W tymże pięćdziesiątym drugim roku oswobodził się skazany na osiem lat Marian Świerczyński, najstarszy dotąd, zrównoważony, przyjazny ludziom, zwłaszcza młodemu. Przymaliśmy się z nim blisko. Przeszedł obozowe życie dość lekko, był maszynistą wyciągu na kopalni. Nie wypuszczono go do kraju. Pozostał więc na Woronicie i pracował w Zachodnim Rejonie jako maszynista na osiemnastej kopalni. Poruszyło to nasze myśli o oswobodzeniu się, o kraju. Przecież to i nam pozostało tylko dwa lata. Trzymaliśmy się teraz bliżej z Kazimierzem Ptaszyńskim, dowódcą partyzantki akowskiej w okręgu suwalskim i ze Stefanem Józefo-

wiczem, akowcem z Sambora. Ciągnęły się rozmowy i o przeszłości, i o aktualnych sprawach.

Trzeba było myśleć o naszych, a zwłaszcza o młodszych. Kazimierzowi i Stefanowi chodziły myśli o jakimś wojskowym przeszkoleniu. Rozpoczęli je nawet z kilku najmłodszymi. Przerwał to wszystko strajk w 53 roku.

przeł.

Nasi radzili sobie nieźle i pomagali sobie wzajemnie. Tak było zawsze w przypadku choroby, pomagali wtedy wszyscy. Pomagali też niezawodnie nasi lekarze: wielkiej zaćności doktor Mi-cnał Raubo i doktor Jerzy Dobrzański socjalista, wybitny działacz niepodległościowy, ostatni Delegat Rządu w Wilnie dopóki nie zabrano go na inny ośp.

W pięćdziesiątym drugim roku, kiedy zlikwidowano etaty planistów na dwunastej, czternastej i szesnastej kopalni, zostałem zwolniony z tej pracy. Po kilku tygodniach przyjęto mnie do obozowej buchalterii. Zarekomendował mnie Dykman, wykształcony Żyd z Warszawy, który miał w obozie szerokie powiązania. Obliczałem teraz miesięczne zarobki górników dwunastej kopalni. Przez pierwsze dwa miesiące była to dla mnie prawdziwa zmore. Nie lubię liczyć, myślę się łatwo, a tu po całych dniach nic tylko liczenie. Trzeba się jednak było przestawić na inny rytm, nie myśleć i pracować w skupieniu jak automat. I ciągle sprawdzać. Po dwa miesiącach opanowałem trudności, przestawiłem się na nowe czynności, opanowałem nowe nawyki.

W tym czasie przybyła do naszego obozu niewielka grupa więźniów z dwudziestej dziewiątej szachty. Znalazł się wśród nich Greczanik, mój przyjaciel, towarzysz niepodległościowych prac w Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej. W jego to domu zostałem aresztowany, razem nas osądzono, w jednym wagonie przyjeżdżaliśmy na Wornutę. Był dotąd ekonomistą planistą w

obozie dwudziestej dziewiątej szachty. Teraz rozpoczął pracę w obozie Szu-2. Bardzo się obaj ucieszyliśmy. Mieszkaliśmy w jednym baraku. Potoczyły się rozmowy i dyskusje.

Po paru miesiącach spisano mnie do tak zwanej rezerwy. Jaki był powód? Okazało się, że było to zarządzenie kuma. Niedobrze. Nie podobało mi się jego zainteresowanie moją osobą. Wkrótce odczułem dotkliwie jego "opiekę". Zatrudniono nas, tę rezerwę, przy oczyszczaniu dróg ze śniegu. Kiedy się to przeciągało, postanowiłem znaleźć pracę na kopalni. Wyszedłem z rozwozem, porozmawiałem z naczelnikiem OTK, czyli Oddziału kontroli jakości węgla, którego znałem jeszcze z czasów, kiedy byłem planistą na dwunastej. Przyjął mnie do pracy, zgłosił do władz obozowych zapotrzebowanie. Ale nie przeniesiono mnie. Wykreślił ~~mnie~~ <sup>mnie</sup> z listy przesunięć kum. A tymczasem przygotowywano grupę więźniów na daleki etap i podobno znalazłem się na tej liście. Spróbowałem po dwu dniach przenieść się do szładu węglowego. I znowu kum mnie skreślił. Zrobiło się groźnie. Za nic nie chciałem iść na etap nie wiadomo dokąd. Wolałem już iść do kopalni. Dogadałem się z dziesiątnikiem na szesnastej, miałem pracować przy transporterze na oddziale wydobywczym. Tym razem kum nie sprzeciwił się, zapędził przecież do kopalni podejrzanego więźnia.

Nie wytrzymałem jednak długo na tej pracy. W ciasnym, niskim, pełnym gęstego pyłu chodniku brzoowało mi powietrze, a czasem na transporter spadały duże bryły węgla, których nie byłem w stanie przesunąć, a one zaklinowały się i zatrzymywały transporter. Musiałem porzucić tę "lekką" pracę i przejść na "otkatkę". Zabierałem teraz wagoniki napełnione sypiącymi się z transportera węglem i odtaczałem je na odległość około stu metrów. W chodniku było dużo miejsca i o wiele czystsze powietrze. Praca była jednak ciężka. Tona węgla i sam wagon ważył

pewnie tonę, a szyny były ułożone byle jak. Z wielkim trudem dawałem radę. Szczególnie ciężko było w momencie szczytu, kiedy to po odpale węgiel sypał się bez przerwy. Trzeba było wtedy wyteżać wszystkie siły i spieszyć się, bardzo się spieszyć, by zdążyć odtoczyć pełne wagony. Pot lał się ze mnie. A kiedy fala węgla minęła - do następnego szczytu - ciąg zimnego powietrza płynącego stale w chodniku mroził. Zaczęły się odtąd bóle kręgosłupa.

Jeszcze gorzej było, gdy musiałem iść na "ścianę", by po odpale zgarniać skruszony węgiel na transporter. Trzeba było pracować na kolanach lub pólleżąc, gdyż pokład węgla był cienki. Pracowało się w wyziewach gazu i gęstego pyłu węglowego. Robota była nie na moje siły, nie na moje słabe płuca po przebytej kiedyś gruźlicy.

Po dwu miesiącach opadłem z sił. Urwałem się. Nie zjeżdżałem w dół, ukrywałem się na terenie kopalni, a przyjaźnic nastawieni chłopcy, z którymi dawniej jako pianista pracowałem, zapisywali mi fikcyjne prace. Dobrzy towarzysze - Saszka Ponomarow i Dawid Jud z Warszawy - sami się narażali, żeby mi pomoc. Na szczęście zwolniło się miejsce sekretarza u inżyniera czuwającego nad bezpieczeństwem pracy. Był to mój dawny naczelnik z dwunastej. Przyjął mnie. Udało się, kum jakoś przepuścił tym razem. Prowadziłem teraz rejestrację wszystkich wypadków na kopalniach Szu-2. Sporządzałem protokoły z każdego wypadku i robiłem miesięczne zestawienia. Była to nowa tematyka, nowe problemy, radziłem sobie jednak od początku, znałem dość dobrze kopalnię i jej urządzenia, a język rosyjski nie sprawiał mi już trudności. Opanowałem nawet szybko pisanie na maszynie. Miałem dużo szczęścia, że przebrnąłem ponysłonia ten trudny okres. Pomogli walnie zaprzyjaźnieni współwięźniowie Rosjanie, Ukraińiec, Żyd.

Było w tej pracy dużo momentów bardzo przykrych. Zdarzało się co miesiąc na tych trzech kopalniach około trzydziestu wypadków powodujących lżejsze i cięższe urazy i jeden, dwa wypadki śmiertelne. Musiałem je opisywać i rejestrować, a często mój inżynier behapowiec posyłał mnie na miejsce wypadku. Zdarzało się, że na telefon z szachty musiałem zrywać się w nocy, biec korytarzem przez tundrę, zjechać na doł i na miejscu wydarzenia przeprowadzić dochodzenie, opisać przebieg i znaleźć przyczynę nieszczęścia i winnego. Wpadałem nieraz w trudności. Trzeba było tak ujmować protokół, by nie szkodzić ludziom. Szczególnie przykre było oglądanie zmasakrowanych zwłok znanych mi osobiście górników. Tak było na przykład z młodym górnikiem z Donbasu, dziesiętnikiem ~~Mał~~ Małarenką. Gawędziliśmy z nim przyjaźnie wieczorem ~~na~~ suszyłce, a w nocy zdarzyła się tragedia. Górnik strzałowy położył swą torbę z amonalem zbyt blisko miejsca odpaku. Bryła węgla czy skały uderzyła w torbę i nastąpił wybuch. Trzech zabitych, zawałona część chodnika. Okropny był widok trzech zmasakrowanych ciał, dwu górników i Małarenki. Zaledwie sześć godzin temu rozmawialiśmy, żartowaliśmy...

M.a l

Wspomnę jeszcze jeden makabryczny wypadek na szybie dwunastej szachty. Dziesiętnik Szeptycki, zawzięty Ukrainiec ze Stanisławowa, były kapral dywizji "Galizien SS", wyjeżdżał z kopalni, ale winda zatrzymała się tuż nad poziomem otworu szybu. Zniecierpliwiony kilkuminutowym postojem maszyny zdecydował się wyjść z kabiny. Kiedy schylił się i wysunął głowę, wyciąg nagle ruszył, Szeptyckiemu zmiotło głowę. Praca w kopalni jest i trudna i niebezpieczna.

Mieszkałem teraz w górniczym baraku wraz z moją brygadą robiącą pomiary gazu w szesnastej kopalni. Było w niej trzech młodych Połków : Michaś Hałas, Józek Kowal i Antek Kołyszko.

Zaczęły się rozmowy. Józek i Antek opowiadali o swych przygodach w partyzantce, a Hałas o Prusach, gdzie był wywieziony i zatrudniony u bauera. Wspominali chłopcy domy rodzinne, zastanawialiśmy się nad przyszłością własną i kraju. Czytałem kilka razy fragmenty z "Pana Tadeusza", którego dostałem w przesyłce od żony. Ku memu zdziwieniu chłopcy nie zareagowali żywiej, nie zainteresowali się, nie zabrali się sami do czytania. Za krótko byli w szkole, nie mieli rozbud<sup>zo</sup>owanych potrzeb czytelniczych. Antek uczył się w szkole zaledwie rok! Zająłem się znim potem arytmetyką i tu robił wyraźne postępy. Jakież spustoszenia, jakie zaniedbania przyniosła kilkuletnia okupacja, a dla wielu przedłużony pobyt w więzieniach i łagrach!

Z innych chłopców wspominam z prawdziwym wzruszeniem najmłodszego wśród nich Janusza Guttry'ego ze Lwowa. Już jako szesnastolatek był w AK, w Kedywie. Po jednej akcji likwidacyjnej został aresztowany. Bito go straszliwie. Próbował odebrać sobie życie w więzieniu. Wyrok śmierci zamieniono mu jako niepełnoletniemu na dwadzieścia lat katorgi. W obozach zatrudniano go na najgorszych robotach. Tak było również, gdy przybył do naszego obozu. Osłabiony, zrezygnowany, doprowadzony do ostateczności, umówił się z jednym Ukraińcem, że ten odrąbie mu palce prawej dłoni. Za porcję cukru. Nie doszło do tej "egzekucji" tylko dlatego, że Ukraińiec zażądał cukru przed obcięciem dłoni, a Janusz chciał dać dopiero po fakcie. Wkrótce potem trafił jakoś do mnie. Zajęliśmy się ratunkiem. Doktor Raubo oddawał mu swoje obiady. Podżywił go na kuchni przez kilka tygodni jeden z naszych. Udało się przenieść go z kopalni na powierzchnię, do GPK - Oddziału kontroli jakości węgla. Pobierał teraz próbki węgla z załadowanych wagonów, nosił je w skrzynkach po czterdzieści kilogramów, miażdżył, przesiewał węgiel. Była to robota znacznie lżejsza i na powierzchni.

~~Była to robota znacznie lżejsza i na powierzchni/~~ Janusz odżył, okrzepł, nabrał sił, nie dał się już maltretować. Kiedy go raz złośliwy dziesiętnik Kaliniczenko uderzył bez powodu - taki miał zwyczaj - Janusz chwycił ciężki taboret i bez namysłu oddał cios. Ogólną bójkę, jaka się wywiązała, przerwali zaalarmowani ochrowcy. Skończyło się pięciu dobowi karceru. Kaliniczenko i Janusz znaleźli się we dwu w lodowatej celi - było to w styczniu - pozbawieni zupełnie ubrania, goli. Marzli straszliwie, ratowali się ciągłym ruchem i przytulaniem się do siebie. Kaliniczenko przeprosił wtedy Janusza. Po tych wydarzeniach obaj pracowali nadal w OTK.

W obozie było wielu interesujących ludzi. Obserwowałem ich ciekawie, szukałem z nimi kontaktów. Wspominałem już spotkanie i długie rozmowy z Litwinem Uzdak<sup>W</sup>rinisem i z Buchwałowem, białoruskim naukowcem, matematykiem z Mińska. Pierwszy opisał mi odradzanie się narodowe i kulturalne Litwy, dzięki drugiemu uprzytomniłem sobie, jak nieuchronnie posuwa się proces rusyfikacji Białorusi.

Najbliższej jednak zaprzyjaźniłem się z Aleksandrem Kuzmiczen Udowiczenką. Pochodził on z Charbina, gdzie była w carskich jeszcze czasach liczna kolonia rosyjska i niewiele mniejsza polska. Rosjanie i Polacy byli zatrudnieni przy kolei wiodącej przez Mandżurię do Portu Artura. Pod koniec lat dwudziestych Udowiczenko przeniósł się do Władywostoku. Tu odbył studia, pracując jednocześnie przy wyładunku w porcie dla zdobycia środków na utrzymanie. Zdobył dyplom inżyniera. Pracował w odkrywkowych kopalniach węgla. W 1937 roku, w okresie wielkich czystek, został aresztowany i jako człowiek, który przebywał za granicą - to ten Charbin, w którym się urodził - został

skazany na dwadzieścia pięć lat przymusowych robót. Odbył dziesięć lat, gdyśmy się spotkali. Pracował wtedy jako "normirowszczyk" na szesnastej szachcie. Średniego wzrostu, zwięzłej budowy, ryży, o zdecydowanym wyrazie twarzy, powściągliwy w mowie, zwrócił od razu moją uwagę, budził zaufanie. Niejeden raz pytałem go o różne szczegóły techniczne dotyczące kopalni, gdy zostałem planistą na dwunastej. Przebywaliśmy przez kilka lat w jednym baraku. Poznawaliśmy się bliżej, obudziło się zaufanie i przyjaźń. Prowadziliśmy długie rozmowy. Udowiczenko opowiadał mi o życiu w Związku Radzieckim w latach przedwojennych, o praktykach Czeki<sup>x/</sup>, GPU i NKWD, wypytywał o życie w Polsce. Zapytał mnie kiedyś, dlaczego Polacy tak nienawidzą Rosjan. Sprostowałem, że nie ludzi nienawidzimy, lecz władzy, rządów i carskich, i radzieckich. A potem spytałem, czy zna Citowickiego, Polaka urodzonego w Charbinie, który pracował teraz na szesnastej kopalni. Kuzmicz znał go dobrze i cenił.

- A ten Citowicki - powiedziałem - to już piąte pokolenie wywożone na wygnanie.

Dawniej wywoziły władze carskie, teraz robią to władze radzieckie. Za udział w powstaniach, ruchach rewolucyjnych i narodowych. Na dowód, że takie fakty nie były wyjątkami, przypomniałem znanego nam obu doktora Dobrzańskiego, piątego w rodzinie Dobrzańskich więźnia politycznego. I mój Kuzmicz zrozumiał. Z jego opowiadań tworzyłem sobie realistyczny obraz życia w komunistycznej Rosji, obraz ponury. Przytoczę jedno

-----

x/ Czeka - Stworzone przez Dzierżyńskiego Nadzwyczajna Komisja do walki z kontrrewolucją i sabotażem. Przekształcona została w GPU - Państwowy Zarząd Polityczny. Jego prace przejął w 1954 roku NKWD - Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Wszystkie te władze stosowały bardzo surowy reżim oparty na bezwzględnej terrorze.

tylko opowiadanie o tym, jak zbudowano Komsomolsk nad Amurem. Według oficjalnej wersji nowe miasto w tajdze nad Amurem zbudowali komsomolcy przybyli tu ze wszystkich stron Związku Radzieckiego /patrz WEF/. W rzeczywistości było inaczej. Przywieziono tu istotnie w 1932 roku kilka tysięcy zmobilizowanych w całym Związku komsomolców. Warunki były trudne, pionierskie: las, błota, namioty, komary i "moszka" - drobne, niezwykle dokuczliwe muszki. W dodatku zaopatrzenie było słabe. Toteż pierwszy "nabór" wykruszył się prędko, komsomolcy chorowali, uciekali. Podobnie było i z następnymi "ochotnikami". Wtedy władze zdecydowały przywieźć więźniów, katorżników. Kiedy przywieziono "naszego brata" - jak mówił Kuźmicz - prace ruszyły. W krótkim czasie zbudowano całe miasto: domy, urządzenia komunalne, ulice, zakłady przemysłowe. Wtedy przywożeni "na gotowe" komsomolcy pozostawali na miejscu, mając już zapewnione ludzkie warunki życia. Tak opisał te wydarzenia prawdziwy budowniczy sławnego miasta młodzieży komsomolska, więzień skazany na dwadzieścia pięć lat obozow. W 1954 roku, po siedemnastu latach poniewierki w obozach, Udowiczenko oswobodził się, został całkowicie zrehabilitowany. Pracował jeszcze trzy lata jako główny inżynier Szu-2, po czym wyjechał na Ukrainę. Zmarł niedawno. Mądry, dzielny, prawy człowiek. Mierny przyjaciel, który niejedną raz pomógł mi w trudnościach.

Dopiero w ostatnim roku swojej dziesiątki poznałem bliżej Szapoważowa Dmytra Fiodorowicza, Ukraińca z Zaporozża. Wysoki, szeroki w barach silny był jak tur. Twarde rysy twarzy i obwisłe wąsy nadawały mu charakter prawdziwego kozackiego zabiłaki, ale zdradzały go dobre oczy. Był to człowiek prostych surowych obyczajów i niezwykłej dobroci. Miał cudowny akramitny bas i wrodzoną muzykalność. Urzekająca potęga jego głosu i ogromna deli-

129 35

katność w wykonaniu ukraińskich pieśni, jakimi darzył współmieszkańców baraku czy słuchaczy obozowych koncertów. Był człowiekiem głęboko religijnym, baptystą. Tu był fundament jego dobroci i surowej moralności. Kiedy w 1941 roku front przetoczył się na wschód od Dniepru, ożywiły się uciskane dotąd przez radziecką władzę religijne grupy baptystów. Modlili się swobodnie, dużo śpiewali. Kiedy wyparto Niemców z Ukrainy, aparat NKWD zabrał się do "oczyszczenia" terenu. Szapowałow został aresztowany z pięcioma innymi aktywniejszymi baptystami. Śledztwo prowadzone było brutalnie, z potężnym biciem. Zmuszano do odżegnienia się od religii. Pewnego razu, było to późną nocą, zebrano wszystkich aresztowanych w namiocie i zagrożono śmiercią w razie oporu. Odmówili. Wtedy oficer śledczy wyprowadził pierwszego z nich pod pistoletem, a po chwili rozległ się strzał w odległości dwudziestu metrów od namiotu. Oficer wrócił po chwili do środka i nie chowając pistoletu zwrócił się do następnego baptysty. A gdy i ten odmówił, wyprowadził go z namiotu w ciemności nocy i znów po chwili rozległ się wystrzał. Powtórzyło się to z trzecim, czwartym i piątym baptystą. Dymitr był ostatni i też odmówił. Jego już nie wyprowadzano, wprowadzono natomiast pięciu rzekomo rozstrzelanych. Całą szóstkę skazano później na dziesięć lat przymusowych robót. Kiedy do buncie, jaki miał miejsce w pięćdziesiątym trzecim roku, znaleźliśmy się razem na sztrafniku, Dymitr opowiadał mi dużo o życiu ukraińskiej wsi <sup>sięgając</sup> jeszcze do carskich czasów. Mówił o ogromnym uniżowaniu śpiewu wśród ukraińskiego ludu. Słynne były te letnie wieczory, gdy niemal cała wieś zbiegała się na wspólne śpiewanie, a głosy tego chóru niesły się daleko. Wiele dowiedziałem się od Dymitra, wiele się nauczyłem. Samo przebywanie z tym mocnym i dobrym człowiekiem rodziło dobre myśli i uczucie. Krzepiło.

Zupełnie innym człowiekiem był Fiodor Iwanowicz Manczenko, kierownik pracowni krawieckiej i szewskiej. Jeszcze wyższego wzrostu, prosty jak świeca, bardzo męski, o uśmiechniętej zawsze twarzy i mądrych oczach. Też Ukrainiec, inżynier górnik z Donbasu. Poznałem go bliżej, gdy już byliśmy w "Recztagu", w obozie o obostrzonym reżimie. Zbliżył nas chyba Dykman, z którym się przyjaźniłem. O Dykmanie trzeba będzie osobno opowiedzieć. Fiodor Iwanowicz był człowiekiem o szerokim geście, wielkim rozmachu, odważnym, wykształconym, mądrym i wszechstronnie utalentowanym. Znał się na malarstwie i sam malował, pamiętam jego obraz Tarasa Bulby, kozackiego bohatera z siedemnastego wieku. Znał się na literaturze i sam pisał. Wystawiono w obozie jego komedię o tematyce wczasowej. Był także utalentowanym muzykiem, grał błyskotliwie na skrzypcach i na bajanie.

Żył, jakby się znajdował w innym świecie, a nie w obozie. Nie widziałem go nigdy przy pracy, spotkać go można było natomiast, gdy przywieźli film, gdy przygotowywano koncert lub przedstawienie, gdy odbywał się mecz, gdy pojawiła się dobra książka, gdy toczyła się dyskusja. Żył jakby od niechcenia, wszystko mu się udawało. Jak on nie popadał w konflikt z obozowymi władzami, z kumem? Pomagało mu z pewnością to, że w jego pracowni sztyto niemało właśnie dla obozowego naczalstwa.

Dostałem kiedyś w przesyłce od żony z Warszawy kilka numerów Płomyka. W jednym był artykuł o Matejce, ilustrowany barwnymi reprodukcjami jego dzieł. Fiodor Iwanowicz zatrzymał ten numer, gdy mu go pokazałem. Chciał się przyjrzeć im lepiej. Urzekło go malarstwo Matejki, którego dotychczas nie znał. Trzeba mu było szeroko opowiadać o roli tego malarza w polskiej kulturze. Bardzo podobała mu się postać Skarpi w czasie kazania, jego wspaniała głowa i gest ręki.

Kiedy indziej zbudził mnie w nocy dniewalny z jego pracowni:

- Fiodor Iwanycz zowiot!

Taki już miał zwyczaj, dzień czy noc, gotów był dyskutować, grać, śpiewać. Okazało się, że Manczenko dostał nową książkę, przekład nowel Sienkiewicza. Nie mógł nie podzielić się zachwytem i radością. Był przy tym i Dykman. Czytaliśmy trochę razem. Zachwycał się Fiodor Iwanowicz postacią Bartka Zwycięzcy. "Przecież to wykapany ruski muzyk". Podobała mu się też Hania. Nie było podobnej dziewczęcej postaci w rosyjskiej literaturze. Czy można się było gniewać za zerwaną noc?

Przyjaźnił się Fiodor Iwanowicz bliżej niż ze mną z Dykmanem, Żydem z Warszawy. Pewnego razu, gdy byliśmy we trójkę, wystrzelił nagle, że jest zdeklarowanym antysemitą. Zamilkłem, a Dykman osłonił się podejrzanym uśmiechem. Ale Manczenko nie stropił się, nie ustąpił i zaczął dowodzić swej prawdy. Kiedyś tam przed wojną ktoś zwrócił uwagę - w dyskusji o antysemityzmie - że w całym Donbasie nie ma ani jednego Żyda górnika, wszyscy szukają tylko lekkich prac. Uwaga dotarła tak wysoko, że postanowiono "naprawić" tę anomalię. Ogłoszono "ochotniczy" nabór Żydów komsomolców do kopalni. Przywieziono ich do Donbasu dwa tysiące. Była orkiestra, były hasła, głośno pisała o tym prasa. Komsomolcy Żydzi zjechali wreszcie do kopalni. Nie wszyscy. Niektórzy urządzili się od razu na powierzchni. Po dwu tygodniach zostało na dole kilkadziesiąt, a po dwu miesiącach nie było tam ani jednego. "Dlatego to i jestem antysemitą" - zakończył wywód Manczenko. Nie przeszkodziło to dalszym prawdziwie przyjaznym stosunkom z Dykmanem.

Wiosną 55 roku Manczenko poszedł "na etap", zabrano go na inny о́тп. Jaka była przyczyna? Podobno zbyt duża zażyłość z żoną któregoś z obozowych naczelników. Wierzyliśmy, że przy jego męskich i towarzyskich walorach było to możliwe.

о́тп

Szedł rok pięćdziesiąty trzeci. Minęła dwutygodniowa noc grudniowa, słońce zaczęło się znów pokazywać. Przybywało dnia. Mijały najsrońsze mrozy, przełamwała się zima.

Pracowałem nadal w oddziale bezpieczeństwa pracy. Opisywałem wypadki na trzech kopalniach, sporządzałem miesięczne sprawozdania, sygnalizowałem terminy koniecznych przeglądów wyciągów i innych urządzeń technicznych. Miałem trochę wolnego czasu. Wykorzystywałem go na czytanie. Wpadł mi akurat w ręce uniwersytecki podręcznik chemii ogólnej M. Glinki. Przeczytałem go bardzo solidnie. Wyjaśniło mi się wiele rzeczy. Spotkałem tu po raz pierwszy schemat budowy atomu w ujęciu N. Bohra. Zrozumiałem teraz dobrze istotę tablicy pierwiastków Mendelejewa. Wszystko się pięknie układało, wszystko było jasne. Nowe zainteresowania pozwalały mi zapominać o rzeczywistym położeniu, czyniły życie pogodniejszym.

~~WYKAZ~~

## BUNT GÓRNIKÓW

~~PIERWSZY STRAJK GÓRNIKÓW W WOKUCIE~~

WOKUTA 1953

.... szóstego marca przyszła wiadomość o śmierci Stalina. Wilt w obozie nie mówił o niczym innym. Słuchaliśmy komunikatów radiowych bardzo zresztą ogólnikowych. Zdawaliśmy sobie sprawę, że dokonało się coś bardzo ważnego. Nastąpił gwałtowny wybuch rozmów, dyskusji i rozważań dotyczących przyszłych, przewidywanych zmian, oczekiwań i nadziei. Chwytaliśmy każdy komunikat radiowy, urywki rozmów ludzi wolnych, z rzadka udawało się zdobyć kawałek gazety. Wiadomości były skąpe. Rosły za to nadzieje i oczekiwania, utwierdzało się przekonanie, że idzie czas zmian. Obserwowaliśmy pilnie, co się dzieje wokół nas, a jeszcze pilniej co się dzieje na centralnej scenie politycznej w Moskwie. Wśród wolnych, a nawet w aparacie NKWD, widoczne były zaniepokojenie i niepewność.

Byli w obozie ludzie wykształceni, dziennikarze, działacze polityczni i godpodarczy poważnego szczebla, ludzie budzący zaufanie, których znaliśmy od kilku dobrych lat. Szukaliśmy u nich głębszej, pełniejszej informacji, starając się lepiej zrozumieć radziecką rzeczywistość i rysujące się przemiany.

Żywsze i bardziej otwarte rozmowy toczyliśmy z rodakami. Wszystkie obracały się wokół szans zwolnienia i powrotu do kraju. Wśród tych rozmów i budzących się nadziei ożywiły się wzajemne kontakty, zbliżyliśmy się więcej do siebie.

Pojawiła się też i rosła naturalna potrzeba zbliżenia do innych narodowości. Rozrastała się stopniowo sieć spotkań indywidualnych z dobrze znanymi, sprawdzonymi i godnymi zaufania ludźmi - Rosjanami, Ukraińcami, Gruzinami, Litwinami, Łotyszami i Estończykami.

W naszej polskiej grupie istniał już od pewnego czasu wyraźny ośrodek dyspozycyjny, trójka: Kazimierz Ptaszyński, Stefan Józe-

fowicz i ja. Teraz, w maju, doszło do powstania z naszej inicjatywy i przy naszym udziale - obozowego komitetu narodowofciowego. Nadbaliśmy o żelazną dyscyplinę i głęboką konspirację. Do komitetu wszedł Ptaszyński. Ja miałem bliższe kontakty z Gruzinami, Litwinami i Łotyszami, Józefowicz - z Ukraińcami. Łącznikiem został Mirosław Hentosz.

W Komitecie toczyły się narady w atmosferze zaufania, zrozumienia i zgody. Skierowano do ogółu dyrektywę o zgodzie narodowej, lojalnym i przyjaznym współżyciu wszystkich więźniów. Postanowiono obserwować czujnie przebieg wydarzeń, by być gotowym i nie dać się zaskoczyć niespodziankom. Celem działania miały być starania o poprawę losu więźniów i troska o uchronienie obozowej społeczności w przewidywanych trudnych dniach. Należało też obmyśleć formę ogólnoobozowej organizacji. Nie pisano żadnych notatek. Unikano zbędnych kontaktów. Nikt właściwie nie znał całej organizacji, ale już wkrótce widać było jej wpływ. Nastąpiła wyraźna poprawa we współżyciu, nawet z Niemcami - i tymi kilkunastoma ze Stalingradu, i <sup>z</sup> tymi przywiezionymi rok temu z Berlina.

W początkach czerwca odgrodzono kolczastym drutem jeden barak w rogu obozu i zamknięto w nim około stu ludzi przywiezionych ostatnim etapem. Okazało się później, że przywieziono ich z Paragandy. Były tam jakieś rozruchy.

A w Moskwie są jakieś niepokoje, wyczekiwania. Wreszcie dochodzi wieść o aresztowaniu Berii, a niebawem o jego śmierci. Zakłósało się teraz w całym NKWD. W obozie zaś krzepło przekonanie, że muszą teraz nadejść zmiany.

I w naszej trójce, i w obozowym Komitecie oczekiwania rosły, pojawiła się po raz pierwszy myśl, że trzeba zażądać zmian: umożliwienia widzenia bliskich, weryfikacji wyroków, zniesienia hańbiących oznak i numerów. Są próby skontaktowania się z innymi obozami. Nicudane. Zrobiło się gorąco.

Pewnego dnia, gdzieś w połowie lipca, spostrzegamy, że najbliż-

sza siódma szachta stangła. Wagoniki nie wywożą skaży na hałdy. Ale nic więcej nie przenika do obozu.

W naradach pojawia się słowo - strajk. Trudno wyważyć: determinacja, strach, trzeźwy rachunek. A może to <sup>jedyny</sup> sposób, ~~moment~~ by ruszyć sprawę do przodu? Tak myślimy my trzej, podobnie w Komitecie obozowym. Wśród więźniów nastroje gorące.

Wieczorem krótka rozmowa. Stefan jest za strajkiem, Kazimierz też; ja boję się groźnych następstw, ale boję się również, by nie umknął nam moment. Wreszcie - siódma już stangła - ja też jestem za. Trzeba poprzeć siódmą. [Rano, w drzwiach stołówki spotykam Kazimierza. Podajemy sobie ręce, skinieniem głowy dajemy znak. Zaczynamy. Kazimierz pracuje w obozie i tam zawiadomi o tym komitet. Ja ruszam na wachtę, dołączam do brygady i razem ciągniemy na kopalnię, korytarzem zbudowanym przez tundrę. Robota mi się rozkazi, nie mogę się skupić, staram się wygładzić - przepisując - protokoły z ostatnich wypadków na szesnastej. Myśl ucieka do tego co się wkrótce zacznie.]

Rano spotykam w drzwiach stołówki Kazimierza. Podajemy sobie ręce i skinieniem głowy dajemy znak: zaczynamy. Kazimierz pracuje w obozie, przeniesie to na komitet obozowy, w którym też zresztą wrze. Ruszam na wachtę, dołączam do swej brygady i ciągniemy razem na kopalnię zbudowaną przez tundrę korytarzem. Wygładzam i przepisuję protokoły z ostatnich dwóch wypadków na szesnastej, ale robota mi się rozkazi, nie mogę się skupić na niej. Myśli uciekają do tego, co się wkrótce zacznie. Po piętnastej przychodzi druga zmiana. Wpada do mnie Janusz Guffry bardzo podniecony i mówi, że na korytarzu prowadzącym do szybu czternastej szachty jest tablica z napisem "Strajk. Nie zjeżdżamy do kopalni". Idę zobaczyć. Tak, zaczęło się.

W środkowej części budynku w dużej sali kłębi się tłum górników. Wyjeżdżający z kopalni dołączają się do nich. Tłum rośnie, gęstnieje. Główny inżynier Szu - 2 /kopalnie 12, 14, 16/ Tamara Arcielówna

Gromowa wychodzi podniecona na schody, próbuje rozmawiać z górnikami, wypytuje, dlaczego nie zjeżdżają do szachty, czego chcą, ale górnicy nie są równomierni i tylko twardo odmawiają zjazdu.

Wracamy wreszcie tłumnie do obozu, to przecież dwie zmiany: poranna i popołudniowa. W obozie wre: podniecenie, dyskusje, rozmowy. Obawy i nadzieje. Komitet strajkowy działa intensywnie, wciąż w głębokiej konspiracji. Wieczorem ustala się dyrektywy na następny dzień.

Każdy barak wybiera swego starostę. Barak szesnasty wybrał Olka Zarzyckiego cieszącego się wielkim miernem wśród górników. Żywność dowożona jest jak zwykle. Blok żywnościowy pracuje normalnie. Wszyscy otrzymują jednakowe wyżywienie na poziomie trzeciego kotła. Chleb jest nakrojony. W stołówce każdy bierze tyle, ile sje na jeden posiłek. Wszyscy muszą zachować całkowity spokój. Powołuje się komitet górniczy pod kierunkiem inżyniera Piotra Piczugina. On będzie wyznaczał ludzi i brygady specjalistów i wysyłał je na szachty dla pełnienia dyżurów w podstacjach elektrycznych, dla pomiaru stężenia gazów i innych koniecznych służb dla utrzymania kopalni w normalnym stanie. Wyłoniono też dwóch przedstawicieli do prowadzenia rozmów z obozowymi władzami. Nie będą oni jednak występować jako oficjalny komitet strajkowy.

Stanąły więc trzy kopalnie Szul - <sup>dwunasta, czternasta,</sup> ~~12: Szachty nr 12,~~ <sup>szesnasta.</sup> 14, 16. Nie toczą się już na hałdy wózki z węglem i skałą. Widzą to górnicy z siódmej, czują więc nasze poparcie. Widzą to i z dwudziestej dziewiętej, widzą też z obozu budującego za rzeką Workutą elektrownię ciepłą TEC - 2.

Słoneczny piękny dzień. W obozie gwaro i tłoczno jak nigdy, przecież wszystkie trzy zmiany są na miejscu. Panuje spokój, nastój jest podniosły, odświeżony. Wszystkie służby pracują normalnie. Widzą, jak wysoki wążacz strofuje kogoś, kto wynosi ze stołówki nadmierną porcję chleba. Ludzie zbierają się gromadkami, chodzą

dyskutują, podniecenie. Nastroje zmienne - niepewność, lęk, oczekiwanie i nadzieja, dominuje jednak radość i uczucie zadowolenia, że sami próbujemy wpłynąć na własny los, że odważyliśmy się. Odzyskaliśmy poczucie własnej godności. Ludzie zbierają się grupkami rodaków, ale nie zamykają się, łatwo i przyjaźnie kontaktują się wszystkie narodowości.

Naczelnik kombinatu "Worikutugol" generał Dierewianko chciał rozmawiać, ale odmówiono rozmów z nim, zażądano przybycia z Moskwy przedstawiciela naczelnych władz NWD, ministra, Naczelnika obozu, ludzkiego i szanowanego ogólnie majora Szewczenkę, zapewniono, że w obozie będzie spokój, że on może w każdej chwili wejść do obozu i włos z głowy mu nie spadnie. Poproszono natomiast o nie wpuszczanie do środka żołnierzy ochrowców.

Trzeci dzień strajku. W obozie duże ożywienie, ludzie chodzą, odwiedzają się, rozmawiają, dyskutują - panuje nastrój powagi i spokoju. Obserwatorzy stwierdzają, że stanęła <sup>szósta i</sup> dwudziesta dziewiąta szachta. Stanęła też TEC. To już cały Północny Rejon strajkuje. Dalszych kopalń nie widać. Nie ma żadnych możliwości skontaktowania się z nimi. TEC podaje sygnały świetlne silną lampą. Jeden z naszych telegrafistów Zbigniew Lis, stwierdza, że to sygnały Morse'a, ale wykażają tylko pojedyncze i zniekształcone słowa. Podejmuje próby odpowiedzi za pomocą lusterka, wykorzystując silnie świecące słońce. Próby nie udają się.

Dochodzi do rozprawy z donosicielami - stukaczami. Kilku z nich ~~schwycono~~ <sup>pr</sup> się do położonego w północnym rogu izolatora obozu pod opieką ochry. Kilku ściągnięto na plac obok przychodni lekarskiej, bijąc ich i przeklinając po drodze. Robi się groźnie, pachnie samosądem. Stary Ukraińiec wzywa do rozwagi. <sup>Stukacz</sup> płacze, kaja się, błagając przyrzeka poprawę. Tłum zwalnia ich.

Spotykamy się w stołówce na obiedzie z Kazimierzem, ~~Stefanem~~, i lwowiakiem Jankowskim, rozmawiamy chwilę po zjedzeniu posiłku,

nagle przerywa nam ostry terkot automatu gdzieś na zewnątrz. Wybiegamy. To w rogu między komendanturą, izolatorem i barakiem biurowym coś się dzieje.

Podbiegamy tam. ~~Stefan~~ i Kazimierz - ostrzelany w partyzantce z kamiennym spokojem, ja ze strachem, z zaciśniętymi zębami, a Jankowski w ogóle gdzieś zginął. W odległości pięćdziesięciu metrów od drutów ogrodzenia faluje tłum około trzystu ludzi. Widzę wśród nich naszych, jest Janusz Guttry jest Mirek Hentosz, jest Jurek Andrusz ~~Wiercz~~ <sup>Kieniel</sup>. Za drutami gęsto ustawieni ochrowcy z automatami. Z izolatora wypuszczają kilkunastu ludzi i każą im iść wzdłuż ogrodzenia do wachty. To ci z Karagandy. Z tłumy krzyki, żeby dołączyli się do nas. Zaleknieni, niepewni wahają się, ale w końcu dołączają do gromady. A przed chwilą <sup>żołnierze</sup> ochrowcy strzelali przez druty w głąb obozu, w tłum, który domagał się zwolnienia trzymanych w izolatorze. Przed nami leżą dwa trupy. Tłum wzburzony, rwą się okrzyki i wymyślania pod adresem <sup>żołnierzy</sup> ochry. Rozpalony do wściekłości Janusz wyskakuje przed tłum, rozchyła teliogrejkę wystawia gołą pierś i krzyczy do żołnierzy: - Strielaj, padlec!

Ktoś ściąga go z trudem w tłum. Ludzie rozpoznają <sup>żołnierza</sup> ochrowca, który strzelał, pokazują go palcami, złorzeczą. Od wachty pojawia się major Szewczenko. Otaczają go najbliżsi, upewniają, że może być najzupełniej spokojny wśród nas. Ktoś powtarza odmowę rozmów z generałem Dieriewianką i żądanie ministra z Moskwy. To człowiek naszego obozowego komitetu, o którym nikt bliżej nie wie.

Ciała zabitych przewożą do "morzu", gdzie zwykle przechowuje się zwłoki i wyrabia trumny. Jutro odbędzie się pogrzeb. Pośrodku obozu ustawiono szybko wysoki maszt i zawieszono opuszczoną do połowy czarną flagę. To znak dla dalszego otoczenia, dla siódmej, dwudziestej, dziewiątej i TEC-u. Kończy się kolejny dzień buntu. W obozie nastrój powagi.

Dziś pogrzeb poległych górników. Przed południem ujawniają się w obozie dwie kobiety: Ksenia Andrejewna, główny inżynier czter-

następną kopalni, na której pracowali zabici i Tamara Arczikoowa, główny inżynier Szu-2. Poświęcają chwilę zadumy nad zwłokami górników. Wyrażają żal, że zginęli dobrzy pracownicy, dobrzy ludzie. Ludzie odprowadzają je do wachty z szacunkiem.

Tymczasem przygotowa<sup>i</sup>ną do pogrzebu dobiegły do końca. Wczesnym popołudniem zaczyna się uroczysty obrzęd. Piękny słoneczny dzień. Kilkutysięczny tłum górników zebrał się obok trumien. Spoza drutów kilkoro dzieci i kilka kobiet przerzuca ponad drutami garstki zerwanych w tundrze kwiatów. Zbiera się obozowa dęta orkiestra, rozlegają się dźwięki żałobnego marsza i pochód rusza powoli drewnianym chodnikiem wzdłuż ogrodzenia. Widać po-  
przez druty z daleka.

Za orkiestrą suną dwie trumny niesione przez górników. Za trumnami idzie brat jednego z zabitych, Litwin. Towarzyszy mu ksiądz litewski w zwykłym obozowym ubraniu. Za nimi posuwa się powoli w nastroju powagi tłum więźniów. Z wyszek i spoza drutów obserwują pobrzeż dziesiątki uzbrojonych ~~ochroneń~~. *Zaśmierz.*

Dochodzimy do boiska sportowego, które wkrótce otacza ściśle kilkutysięczny tłum ludzi. Orkiestra zatrzymuje się z boku, grając ciągle poważne marsze. Trumny zostają ustawione pośrodku boiska, obok kilka otwartych pudeł z cukierkami. Zaczyna się pożegnanie poległych towarzyszy. Pojedynczo jeden za drugim, <sup>z</sup>przesuwają się górnicy, budowlani, pracownicy służb obozowych między trumnami. Każdy schyla głowę, bierze cukierka i odchodzi dalej. Taki *Litewski* ~~ruski~~ zwyczaj. Dwie godziny przesuwają się ten pożegnalny korowód w milczeniu, w powadze, w skupieniu. Cisza, nie słychać żadnych rozmów. Ktoś zapalił papierosa, ale sąsiad spojrzawszy karcąco i papieros zgasł. Kończy się wreszcie żałobny pochód, przechodzą pomiędzy trumnami ostatni towarzysze. Orkiestra gra ostatniego marsza. Górnicy odnoszą trumny ku wachcie, gdzie czeka już wózek. Dwaj górnicy z łopatami wychodzą za bramę obozu z konwojentem. Pogrze-

bią zmarłych. To był najuroczystszy i najpiękniejszy pogrzeb, jaki widziałem w życiu.

Piąty dzień, równie piękny i słoneczny, mija spokojnie. Ochrowcy nadal nie wchodzą do obozu, nie ma powiererek. Ludzie korzystają ze słońca, zrzucają tiełogrejki i koszule, wystawiają białe ciała na działanie słońca i powietrza.

Przechodząc na umówiony kontakt widzę Stafana z gromadką naszych chłopców rozciągniętych na trawie między barakami. Śmieją się, padł jakiś kawał. Komitet pracuje. Spotykamy się po trzech, czterech ludzi. W różnych miejscach. Konspiracja zupełna, nikt dotąd nie wie o Komitecie.

Jest wiadomość, że przybyła samolotem z Moskwy specjalna komisja. Jutro ma być u nas. Trzeba się przygotować.

Przez starostów poszła do baraków dyrektywa o zachowaniu całkowitego spokoju i dyscypliny. Ustalono główne żądania i ponowne rozpatrzenie spraw, a w pierwszym rzędzie wyroków wydawanych bez sądu przez trójkę OSO /osoboje sowieszczanje/, zwolnienie zasądzonych małoletnich, dopuszczanie spotkań z członkami rodziny, zwolnienie kobiet z pracy w cegielni z uwagi na nadmierne dla nich obciążenie, nie ograniczanie korespondencji, a wreszcie usunięcie naszywanych numerów i oznaczeń, zezwolenie na noszenie włosów i cywilnych ubrań. Ogólną sytuację więźniów, konieczność zmian i wysunięte postulaty przedstawił władzom Prasokow, czterdziestoletni prawnik radziecki. Można składać indywidualne i grupowe memoriały i żądania. Pisał taki memoriał Adam Galżyński. Pisałem i ja do późnej nocy zaszyty w jakimś kącie. Żaden zresztą nie został doręczony komisji, inaczej potoczyły się sprawy. Dzień kończymy w nastroju podniecenia i oczekiwania, ale i twardej satysfakcji - dobiliśmy się czegoś niemałego!

Dziś spotkanie. Przed południem gawędzimy w gromadzie polegając na słońcu. Nasi chłopcy są dobrej myśli, żartujemy.

Wczesnym popołudniem zbieramy się na boisku piłki nożnej, na którym żegnaliśmy przedwczoraj zabitych towarzyszy. W bramce ustawiono trzy stoły, z tyłu kilka krzeseł. Przestrzeń przed bramką, nieco szersza niż pole karne, pozostaje wolna, a dalej rozmieszcza się brać obozowa. Pierwsze rzędy siadają na ziemi, następne klęczą za nimi, a dalsze stoją. Ludzie wykorzystują każde wzniesienie, nawet dachy najbliższych baraków. Jest nas przecież pięć tysięcy. Czekamy.

Wchodzi ochra, pięćdziesięciu żołnierzy w letnich polowych drelichach bez widocznej broni. Pewnie mają pistolety - sądziliśmy. Ustawiają się w rogu boiska w pobliżu bramki. Za drutami widać rozstawionych gęsto żołnierzy z automatami. Zabezpieczenie pełne.

Do wachty podjeżdżają samochody. Po chwili major Szewczenko prowadzi grupę przybyłych oficerów w naszą stronę. Kilku z nich zasiada za stołami, rozkładają teczki i przybory do pisania. Na pole brankowe wychodzi generał, człowiek średniego wzrostu, teggiej budowy. Cisza absolutna, niesamowite napięcie. Padają pierwsze słowa:

-Chcieliście rozmawiać z ministrem. Przyjechałem z Moskwy, ja wiceminister spraw wewnętrznych, generał Maslennikow, potrójny bohater Związku Radzieckiego. Gotów jestem wysłuchać was.

Zapadła na chwilę cisza, wszyscy czują, że dzieje się coś wielkiego, ważnego. Nim zebrał się Prasłow, wyskoczył jakiś młody katorżanin i powiedział niezbyt składnie kilka zdań, których nie potrafię dziś odtworzyć. Dobrze, że prędko skończył.

Wychodzi teraz z tłumu Prasłow, średniego wzrostu, szczupły, młody człowiek, bardzo spięty. Zaczyna nie bez trudu, ale w miarę jak pozbywa się tremy, prowadzi rzecz spokojniej, składniej. Mówi o krzywdzie tysięcy, milionów ludzi więzionych w obozach, mówi o dwudziestu milionach więźniów.

- Tolko nie dwadcat, tolko nie dwadcat - przerywa mu ruchem wyciągniętej ku przodowi ręki generał.

Prosołow ciągnie dalej. Mówi, że w większości zostali oni skazani niesłusznie, że żyją w obozach w bardzo trudnych, nieludzkich warunkach, że wielu z nich w tych obozach zmarło, straciło zdrowie. Że oderwani są od rodzin, że odbywają długie wyroki bez nadziei na przeżycie, na oswobodzenie.

Mówi, że w obozach jest wielu żołnierzy, którzy walczyli na froncie, że są starcy siedemdziesięcio i osiemdziesięcioletni, że są młodzi, których sądzono, gdy nie byli pełnoletni. Mówi długo, z goryczą, głos jego brzmi coraz pewniej, twardo. Domaga się zmian, ulg, naprawienia krzywd, weryfikacji wyroków, oswobodzenia, kontaktów z rodziną. Mówi dobrze i słusznie, towarzysząc mu każdym uderzeniem serca. Kończy w głuchym milczeniu, tylko oficerowie za stołami pilnie piszą.

Potem przemawiał jakiś starszy człowiek, podobno profesor. Pamiętam tylko, że mówił pięknym językiem i bardzo wzruszająco.

A po nim wystąpił młody, zuchowaty trzydziestoparolatek, przedstawił się, wymienił nazwisko i zaczął:

- Ja izmiennik rodziny, statja ~~piętd~~piętdziesiąt wosmaja.

Jestem zdrajcą kraju. Artykuł pięćdziesiąty ósmy. A oto moja historia. I ciągnie: był bezdomnym sierotą /bezprizornyj/ wychowywał go dom dziecka /dietdom/, był pionierem, potem konsolcem. Mając lat osiemnaście zgłosił się na ochotnika do wojska, poszedł na front, został ranny. Rannego wzięli Niemcy do niewoli. Zbiegł po dwóch tygodniach i przebił się do swoich. Zgłosił się do swojej jednostki, ale tu aresztowano go i skazano za zdradę ojczyzny na dziesięć lat obozów.

Mówił nieskładnie, zrywami, ale gorąco. Pięć tysięcy chłopów przeżywało jego losy, jego krzywdę. Wzruszeni byliśmy do głębi wszyscy. Było to najmocniejsze ze wszystkich przemówień.

Niespodziewanie, gdy już przewaliły się główne skargi, wystąpił z tłumu Zwiniogrodzki, Polak. Aż ścierpłem z zaskoczenia i niepokoju. A ten, chłop wysoki, prosty jak świeca, zaczyna z całym spokojem donośnym głosem i poprawnym literackim językiem. Korzysta z okazji i przedstawia najwyższym władzom radzieckim problem cudzoziemców. A są tu w obozie Polacy i Czesi, Węgrzy i Niemcy. Prosi o możliwie szybkie rozpatrzenie ich sprawy i odesłanie do rodzinnych krajów.

Bardzo dobrze i w porę wystąpił.

Maslennikow zamknął spotkanie wezwaniem do pracy i przyrzeczeniem, że podniesione sprawy zostaną rozpatrzone na wysokim szczeblu.

Goście odjechali, a w obozie zaszumiało. Radośnie zaszumiało. Nie poszedł na marne nasz strajk. Nie może być, żeby to były tylko czcze obietnice. Byli co prawda i sceptycy twierdzący, że nie należy wierzyć niczemu, co mówi i obiecuje NKWD. Spotykamy się ze Stefanem i Kazimierzem. Radośni. Aż wierzyć się nie chce, że to tak gładko i pięknie poszło i skutecznie. Nie do wiary, że najwyższe władze NKWD podjęły rozmowę z więźniami, zostały zmuszone. *Podziękowanie* zmasowane, wystąpienie kilkunastu tysięcy więźniów górników z kilku kopalni. Utrafiliśmy też w dobry moment, kiedy w naczelnych władzach radzieckich trwały rozgrywki i niepewność.

Następny, siódmy dzień strajku zaczyna się od prowierki. Ochrowcy weszli znowu do obozu. Znosimy to spokojnie. Znowu jest słońce i opalanie się. Minęło napięcie ostatnich dni. Obóz jest poruszony i rozgadany. Nastroje pogodne.

Ważną wiadomość przynosi Mirek Hentosz. Obserwował w nocy z dachu baraku akcję w obozie siódmej szachty. Widocznie całe to "naczalstwo" pojechało od nas wprost na siódmą, by tam uśmierzyć bunt. Wypędzono wszystkich więźniów w tundrę, a potem grupami wpuszczano do obozu tych, którzy zgodzili się iść do pracy, a oddzielono opornych.

Ten sposób postępowania ułatwił władzom obozowym złamanie oporu. Nie dotarły do nas żadne szczegóły tej akcji.

Zastanawiamy się z Kazimierzem i Stefanem, dlaczego u nas nie zastosowali podobnej taktyki. Nasz obóz był największy. Górnicy już dali odpór. Były <sup>ofiarą</sup> sprawy. Wiedziano, że uroczysty pogrzeb bardzo zespolił więźniów, dodał zdeterminowa<sup>nia</sup>ni. Dlatego zaczynali u nas ostrożnie. Mieliśmy bardzo dużo szczęścia.

W czasie obiadu posłyszeliśmy odległą strzelaninę. Grały automaty. To dwudziesta dziewiąta. Trwało to dość długo, kilka może kilkanaście minut. Co tam się dzieje? Znowu dziwimy się, że u nas tak gładko i pomyślnie poszło. Spoglądamy w stronę dwudziestej dziewiątej, ale to ze dwa kilometry, a w dodatku obóz zasłonięty jest wyniosłością, nic więc nie widać.

Dopiero po kilku godzinach dostrzegamy samochody ciężarowe jadące od strony kopalni przez tundrę i ginące za następnym wzgórzem. Jedną, drugą... Widziałem sześć czy siedem wozów. Nigdy tamtędy nie jeździły. Co to może być? Ktoś mówi, że to chyba wywożą zwłoki zastrzelonych. Nie na darmo była ta strzelanina. Otrząsamy się na tę myśl. A przecież wiedzieliśmy rozpoczynając strajk, że może nas to spotkać. Kończymy dzień z cichą radością, że nam się udało.

Kolejny dzień, równie słoneczny jak poprzednie, mija spokojnie. Naczelnik obozu wzywa do pracy. Toczą się jeszcze narady i spory, ale przeważa już myśl, że trzeba ruszyć do pracy. Osiągnęliśmy przecież to, czego się domagaliśmy: spotkanie z ministrem i wyłożenie swoich bólów i krzywd oraz żądań i postulatów. Obiecano je rozpatrzyć. Dalsza odmowa pracy może doprowadzić tylko do brutalnego złamania oporu, co nie obeszłoby się bez ofiar. Mamy przykład z dwudziestej dziewiątej. Późnym wieczorem zapada decyzja: jutro rozpoczynamy pracę.

Rano brygady ruszają ku wachcie, rozpoczyna się normalny ~~rozusd~~ rozusd.

Na szlachcie kierownictwo i wolni pracownicy przyjmują nas chłodno. Mają za złe ten żywiołowy bunt. Uwidoczniło się <sup>to</sup> już wcześniej, gdy kierownictwo odrzuciło pomoc przysłanych z obczu brygad specjalistów do pełnienia koniecznych służb. Wykon~~ują~~<sup>nywali</sup> ~~te prace~~ zmoobilizowani wolni ludzie.

Nie ma to większego znaczenia, w ciągu tygodnia wszystko się ułoży, wróci do poprzedniego stanu. Z moim szefem nie zamieniamy ani słowa na temat strajku. Zabieram się od razu do roboty. Przeglądam protokoły z wypadków, przygotowuję materiały do miesięcznego sprawozdania, a koniec miesiąca nie jest daleki. Kiedy szef wyszedł na lustrację szesnastej kopalni, próbuję objąć myślą całe wydarzenie, ocenić jego przebieg i znaczenie dla przyszłych naszych losów, przewidzieć następstwa.

Strajk zmusił władze naczelne do myślenia, do poważnego potraktowania sprawy. Przyjechał przecież do nas sam minister. I na pewno zmusi je do wprowadzenia zmian. Można mieć prawie pewność, że najważniejsze nasze żądania będą w dużej mierze zaspokojone. Chyba te władze zdały sobie sprawę, że mądrzejsze było przeprowadzenie rozmów z górnikiem na Szu-2 i wysłuchanie więźniów niż brutalne zdławienie buntu i masakra na dwudziestej dziewiątej.

Strajk to sprawa ogromnej wagi, to przełom w działaniu władz. To nasz sukces. Prawda, że opłacony ofiarami u nas i masakrą na dwudziestej dziewiątej. Nie wiemy, ilu ludzi tam zginęło - sześćdziesięciu czy dwustu jak krążą pogłoski i domysły. Cena ta, zważywszy na ogromną skalę oddziaływania, nie jest wygórowana. Chyba w ciągu jednego roku więcej górników umierało w naszym rejonie z powodu wypadków przy pracy i wycieńczenia. Czekać teraz trzeba na dalsze, poważniejsze rezultaty. Ogłoszone na gorąco ulgi to rzeczy drobne. Nie musimy nosić numerów, nie musimy strzyc włosów do słóry. Będą ułatwienia w korespondencji z rodziną. Ale dobre i to jako dowód, że można było wydusić na NKWD te ustępstwa.

Ogromne znaczenie ma ten ~~bia~~<sup>bunt</sup> dla nas samych, dla samopoczucia ogółu więźniów, dla postawy moralnej. Po tylu latach poniewierki łamania woli, tłumienia myśli, zdobyliśmy się na decyzję, na własne działanie, na sprzeciw. Wyprostowaliśmy się. I tego nam nikt nie odbierze, gdyby nawet nie przyszły żadne zmiany na lepsze.

Jeszcze jedna rzecz jest ważna: potrafiliśmy się zorganizować i pokierować rozsądnie całą akcją. A przecież niełatwo to było: tyle narodowości, tyle rozbieżnych interesów. Udało się jednak. I konspiracja została Zachowana. Ogół nie wie przecież - ani władza obozowa - o istnieniu ośrodka dyspozycyjnego. Wszystkie decyzje były jak gdyby całkiem naturalne, samorzutne. A już absolutnie nikt nie wie o naszym polskim ośrodku, o naszej trójce.

Zadowolenie z sukcesu jest jednak skromne, ani śladu triumfu i dumy z niego. Aż dziwne, ale po tych kilku dniach przeżytych w największym napięciu myśli, uczuć i woli odczuwam ulgę, ale czuję też ogromne zmęczenie i jakąś pustkę w sobie. Wypaliłem się, oklapłem. Dziwne. Przeżycia własne w okresie przygotowań, w momencie decyzji o strajku i w czasie jego trwania zaliczam do szczytowych w swym życiu. Podejmowaliśmy - z Kazimierzem i Stefanem - decyzje najtrudniejsze, ryzyko najwyższe. Pracowaliśmy z najwyższym napięciem myśli i woli, przeżywaliśmy obawy i wątpliwości. A także - mówię tu za siebie - lęki i zwyczajny dławiący strach. Ale znajdowaliśmy też dość odwagi, zawziętości, uporu i wiary w sens sprawy. Przeżyliśmy też chwile wzniosłe. Taki był pogrzeb dwu poległych. Do mocnych przeżyć należała rozmowa z generałem Maslennilowem. Były lęki i wątpliwości. Krzepiliśmy się wtedy, podtrzymywali wzajemnie i trwali.

Rozmawialiśmy o tym ze Stefanem i Kazimierzem, z Galińskim i Prassem, z młodszymi rodakami. Wszyscy przeżywali chwile radości, lęki i wątpliwości. Teraz przeważa zadowolenie, pozostaje nadzieja i oczekiwanie.

Komitet strajkowy przycichł, spotykamy się tylko pojedynczo. Muszę tu wspomnieć z ogromnym uznaniem o postawie litewskich i łotewskich działaczy. To byli dziennikarze, wspaniali chłopcy. Imponowali też Gruzini, zwłaszcza jeden ze starszych, pisarz.

A my, nasi chłopcy? Nie zawiedli. Kilkakrotnie doszły mnie w tych dniach dobre opinie o Polakach. "Polak nie sprzeda, Polakowi można wierzyć, Polacy to najlepsi podpolszczycy /specjaliści od podziemnej roboty/".

Spokojnie mijają kilka dni. Szachty pracują normalnie, *Kołajne* z *Miawy* wypełniają swe plany. W obozie rozegrano nawet pierwszy po strajku mecz. Wynik 3:2 dla Szachtiora. Spokojnie układam się do snu i zasypiam.

Naraz ktoś pociąga mnie za nogę. Rozespany i sły burknięciem coś, ale ten nie ustępuje. Odwracam głowę i widzę nadziraciela i dniewalnego. Jest środek nocy. Ochrowiec sprawdza moje nazwisko i rozkazuje zebrać się z rzeczami. Rozpruwam brzeg siennika, wyciągam worek z doszytymi ramiączkami - ten jeszcze z łukiszek - i ładuję swoje rzeczy. Zrywa się Antek Kołyszko i pomaga mi. Przekazuje mi swój egzemplarz "Pana Tadeusza". "Czytajcie" - mówię, ściskamy się i wychodzę z baraku. Nadzirat<sup>el</sup>iel prowadzi mnie drewnianym chodnikiem przez uśpiony obóz. Szaro, cicho. Po drodze widzę, że Stefan wyszedł właśnie ze swego baraku posiusiać. I on mnie spostrzegł. Nie dajemy sobie oczywiście żadnego znaku. Przechodzimy przez wachnię. Jeszcze kogoś tam prowadzą.

Idziemy w tundrę. Po trzystu metrach dochodzimy do zagłębienia, gdzie jest już ze trzydziestu ludzi strzeżonych przez kółkunastu żołnierzy. Stwierdzam, że są tu niektórzy organizatorzy buntu, ale nie wszyscy. Są też i inni więźniowie. Nie rozgryźli zatem strajkowego komitetu do końca. Większość to ATP - administracyjno-techniczny personel, obozowy i kopalniany stan urzędniczy i techniczny. Jest Olek Zarzycki. *Wciąż* doprowadzają nowych. Przeprowadzili

Ptaszyńskiego. Panuje głucho milczenie, nastrój ponury. Rozstrze-  
liwać nie będą, ale więzienie i dodatkowe wyroki czekają nas na  
pewno.

Wreszcie normirowszczyk z czternastej przerywa ciszę grubym  
dowcipem. Kilku uśmiechnęło się słabo. A po chwili ktoś skomentował  
sytuację: "Nu i naplewał!" I jakby wiatr przepędził czad, w którym  
byliśmy pogrążeni, poszły rozmowy, domysły. Posypały się żarty. Prze-  
łamaliśmy strach i załamanie.

Podjeżdża "czornyj woron" specjalny więzienny samochód. Żołnierze  
upychają chyba ze dwunastu ludzi w ciasne kajatki. Wzięli Ptaszyń-  
skiego. Wóz odjechał. Znowu czekamy, a wciąż doprowadzają nowych.  
Pojawiają się ciężarówki. Upychają nas dwudziestu do odkrytej skrzyni.  
Nad naszymi głowami czterech żołnierzy. Jedziemy przez tundrę omija-  
jąc z daleka drogi i osiedla. Po godzinie dojeżdżamy do opuszczo-  
nych kilku baraków <sup>d</sup>ogrodzonych jeden od drugiego drutem i opasa-  
nych dokoła kolczastym drutem i wyszkami. Wpędzają nas do baraku.  
Są tam już więźniowie. To górnicy z dwudziestej dziewiątej. Są tu  
już od kilku dni. Zamykają nas. Barak przepełniony. Po godzinie ro-  
bi się duszno, ktoś mdleje. Ogarnia nas niepokój.

Po pewnym czasie wchodzi do baraku nowy oficer, pułkownik.  
Poleca wybić szybę i ułożyć omdlałego pod tym oknem. W krótkiej roz-  
mowie wyjaśnia, że jesteśmy w więzieniu, obowiązuje nas obostrzony  
więzienny reżim: baraki będą stale zamknięte, pół godziny spaceru  
dziennie, trzy posiłki. Pułkownik robi wrażenie raczej nauczyciela  
wychowawcy niż pracownika systemu więziennego. Zdobywa zaufanie,  
zwłaszcza wtedy, gdy sam jeden nadzoruje jednoczesny spacer więź-  
niów z kilku baraków.

Z najbliższego żeńskiego obozu przywożą obiad, gęstą zupę gro-  
chową zaprawioną mięsem. Pozostałe kilkanaście porcji przeznaczamy  
dla towarzyszy z dwudziestej dziewiątej, którzy tu już kilka dni  
pokutują. Wytwarza się nastrój ogólnej życzliwości, czujemy się

towarzyszami broni. Czekamy, czas dłuży się niemiłosiernie. Ratuja nas rozmowy, poruszanie się.

Dowiaduję się o przebiegu wydarzeń na dwudziestej dziewiątej szachcie. Tam też stworzono doraźnie komitet strajkowy. Przewodził mu Edward Buca. To podkomendny Stefana Józefowicza z samborskiego AK. Znaliśmy go, był jakiś czas w naszym obozie. Odważny, ale trochę nieobliczalny. On miał wystąpić wobec generała <sup>a</sup>Moslennikowa. Cichym doradcą i właściwym kierownikiem komitetu był Edward <sup>mund</sup>Greczanik. Komisja moskiewska nie weszła do obozu, zatrzymała się w bramie. Za drutami sznur <sup>Żołnierzy</sup>~~ochronców~~ z automatami. Buca, zbesztany przez generała, stracił się, nie umiał się wypowiedzieć. Zrobiło się zamieszanie. Więźniowie nie posłuchali wezwania do wychodzenia z obozu. Wyskoczył jeszcze młody Polak, pseudonim jeszcze ze śledztwa - Kożuchowski, zaczął wyjaśniać przyczyny strajku i postulaty górników. Ale komisja nie słuchała już tego. Padł rozkaz i rozległy się strzały kierowane w tłum. Padło wielu zabitych, jeszcze więcej zostało rannych. <sup>Żołnierze</sup>~~Ochroncy~~ weszli do obozu z bronią w rękę, wygnali wszystkich w tundrę. Po kilku godzinach zagoniono ludzi do obozu oddzielając tych, którzy trwali w oporze. Byli to już nieliczni. Wywieziono ich do tego więzienia w tundrze, gdzie ich spotkaliśmy. Strajk został krwawo złamany. Nie liczonego się z ofiarami. Nikt dokładnie nie wiedział, ilu było zabitych. ~~Mówiono o sześćdziesięciu~~ ~~osobu~~ i o dwustu ofiarach.

Teraz mieliśmy pełny choć niezbyt dokładny obraz przebiegu naszego buntu. Sprawa ciągnęła się dalej. Było nas ponad siedemset chłopów w tym więzieniu w tundrze, a kilkudziesięciu wywieziono do centralnego więzienia na Kapitałce. Czekamy, co z nami zrobią. Ale czekamy też na postanowienia Moskwy co do ogólnych <sup>u</sup>więźniów w obozach. To jeszcze nie koniec. Nie upadamy na duchu, mimo niepewności, nastroje są dobre.

Wspaniała jest ta atmosfera życzliwości i przyjaźni. ~~Wspaniale~~

X  
Culor  
Wagilu  
Wojnicz  
Voksta  
Constable  
Landon

Post

Niezależnie od narodowości każdy jest akceptowany, uważany za swojego. Nigdy dotąd nie ~~czułem~~ się w obozie tak blisko innych ludzi. Tak łatwo się teraz rozmawia, nawiązuje bliższe kontakty.

Prowadzę długie gawędy z Chotniańskim prawdziwym kozakiem z nad Donu tym, który szykował sobie ucieczkę w wagonie z węglem. Średniego wzrostu, krępy, silny i odważny, wyróżniał się determinacją, budził respekt. Miał <sup>wrodzone</sup> wschodnie umuzykalnienie, piękny bas. Pośpiewywał chętnie w małych grupkach. Z jego opowieści poznawałem życie kozackiej stancy, kozacki obyczaj. Potem oddaliliśmy się od siebie, gdy minęło początkowe wzajemne zaciekawienie. Później trafiliśmy do różnych obozów.

W kącie baraku Olek Zarzycki snuje długie opowieści otoczony gromadą zaskuchanych. Koleje losu profesora Wilczura, a potem Znachora wzruszają słuchających. Widzę, że z oczu Ukraińca / Kowalenki, dawniej zawziętego wroga Polaków, toczą się łzy. Opowiadanie Olka jest jak najlepszy film. Godzinami nie wypuszczają go słuchający ze swego grona, proszą o więcej. A Olek nie każe się długo prosić. Idzie więc "Trędowata", "W pustyni i w puszczy" i inne opowieści.

Dłużyły się te nasze więzienne dni pełne niepołojów i rozmyślań. Wypełnialiśmy je - zamknięci i stłoczeni w baraku - czym się dało, rozmowami, opowiadaniem, popisami zręczności, sztuczkami nawet. Po jakimś <sup>ci</sup> dwu tygodniach zebrano nas wreszcie ze wszystkich baraków, sformowano kolumnę i pod mocnym konwojem choć bez psów ruszyliśmy przez tundrę. Minęliśmy most, dotarliśmy do obozu małej kopalni - jedenastej-połpżonej blisko Kapitałki. Rozlokowaliśmy się po barakach. Na drugi dzień przywieziono nam rzeczy, które zostały na Szu-2.

Z kopalni jedenastej i z obozu usunięto starą załogę robiąc miejsce dla nas. Było to dobrze przemyślane. Kopalnia i obóz były odosobnione, byliśmy więc dobrze izolowani. A siedmiuset ludzi wystarczyło akurat do obsadzenia małej kopalni. Po kilku dniach kopalnia rozpoczęła normalną pracę.

Kilka dni przeszło jednak luzem, trzeba było ~~jednak~~ zewidencjonować ludzi, podzielić ich według kategorii zdrowia i specjalności, zorganizować brygady i służby. Ja dostałem się do obsługi składu węglowego. Kontrolowałem wydobywanie węgla z poszczególnych oddziałów, wybierałem żetony z wagoników, wychodzących z szybu. Znowu się udało.

W czasie tych luźnych dni zbliżyłem się bardzo ze Zwinogradzkim, który wystąpił przed generałem Maslennikowem i z najstarszym w obozie Gruzinem Lewanem Gotua, ~~pisarzem i dramaturgiem, bardzo interesującym i pięknym typem człowieka.~~

P. skł  
152

Zwinogradzki, stary działacz studencki, medyk, oficer rezerwy zmobilizowany został już w trzydziestym ósmym roku. Odbył kampanię wrześniową, był komendantem oddziału partyzanckiego na Nowogródczyźnie, trafił na Workutę, pracował w obozie jako felczer i dojrzał jako lekarz, gdy trafił w ręce doświadczonego doktora Dobrzańskiego. Przeszedł kosztowne śledztwo w związku ze sfingowaną tajną organizację "kask", a po wyjaśnieniu sprawy trafił na Szu-2, gdzie był felczerem w szpitalu aż do wystąpienia przed generałem w sprawie cudzoziemców. <sup>Teraz</sup> ~~4~~ kwietnia trafił do więzienia i na karniak. Życiorys barwny. Dobry towarzysz, dzielny i prawy człowiek, dużo miał do opowiadania.

Pewnego popołudnia zebrano pozostające w obozie dwie zmiany na rozmowę z generałem Dierewianką - naczelnikiem Kombinatu Workutugol. Generał srożył się, zbeształ wszystkich strajkujących, a nas w szczególności. Poniesiemy teraz zasłużoną karę: trzy nie-  
siące sztrafniaka w pełnej izolacji, bez korespondencji i widzeń, w zamkniętych barakach, bez wypisywania pieniędzy z rachunków, bez żadnych zakupów. Na pytanie generała czy są pytania, nikt nie odpowiedział.

Później przyjechała specjalna komisja i przesłuchiwała kilkunastu więźniów. Komisji chodziło o pełne wyjaśnienie przyczyn naszego buntu.

Spotkałem tu wśród niższego personelu NKWD prawdziwego czekistę. Spokojny, zimny, zawsze starannie ubrany, wypełniał swe funkcje w sposób dokładny, przestrzegając z żelazną konsekwencją wszystkich przepisów. Człowiek - żelazo, a może człowiek - maszyna.

Przeciwnieństwem jego był naczelnik obozu, kapitan Putiatin. Był to człowiek, na uśmiechu, rozmowny, lubiący się chyba zabawić. Nie utrudniał nam życia. Mówił po polsku i lubił Polaków. Był w Polsce w czasie działań wojennych, likwidował AK, wyrażał się z uznaniem o akowcach, to byli "ludzie ideowi". Kiedy wspomniany poprzednio czekista, złożył mu donos, że ja łamię regulamin - okryłem się dodatkowo buszłatem, bo dokuczała mi nabyta w kopalni "postrzał" - Putiatin roześmiał się i machnął na to ręką, gdy się u niego zameldowałem. Oddał mi też list od żony, który nadeszedł jeszcze na Szu-2, a tu został dosłany.

Przybyliśmy na jedenastą jeszcze latem, w sierpniu, a potem szybko przyszła zima. Mrozy dokuczały mi dotkliwie, gdyż pracowałem na powierzchni i na przeciągach, wybierając żetony z wagoników. <sup>Dokuczały</sup> ~~Dokuczały~~ mi dotkliwie bóle krzyża nabyte w kopalni szesnastej.

Dusiliśmy się w tym sztrafniaku. Nie było radia w barakach, nie było książek jak na Szu-2. Ludzie pracowali niezbyt ciężko, raczej dość niedbale, nie byliśmy bardzo pędzani. Nie wiedzieliśmy, co się dokoła dzieje, nie wiedzieliśmy, czy nasz bunt przyniesie coś poważnego; poważne rezultaty.

W tej głuszy prawdziwą pociechą były rozmowy ze <sup>Zwino</sup> ~~Sz~~ Grudzkim i Lewanem Gotuą. Tegawy Gruzin, słusznego wzrostu, o silnej budowie ciała, przekroczył już pięćdziesiątkę. Wyraźista twarz, dobre mądre spojrzenie. Pisarz, dramaturg, gorący patriota, załochany w Gruzji i jej krajobrazie, <sup>w jej</sup> ~~jej~~ dziejach i ~~jej~~ obyczaju, a przy tym prawdziwy Europejczyk o szerokich horyzontach, znający literaturę światową. Pamiętam dyskusję nad Wiktorem Hugo, nad Galsworthy'm

Porównywaliśmy charakter Polaków i Gruzinów, <sup>ich</sup> nadmierny indywidualizm, podobieństwo dziejów obfitujących w klęski, zastanawialiśmy się nad przyszłością. Lewan miał ogromny autorytet wśród swoich. Byłem świadkiem, jak kilku słowami rzuconymi jak rozkaz zażegnał rozpalającą się zwadę między dwoma Gruzinami.

Pewnego dnia zniknął, zabrano go jednego na etap. Ani Gruzini, ani ja nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi, ale po dwóch tygodniach powrócił. Zawieziono go samolotem do Moskwy. W ciągu trzech dni odbyli z nim rozmowy wyżsi funkcjonariusze NKWD, dwaj pułkownicy. Próbowali go skłonić do współpracy. Chodziło o to, by zrezygnował ze swego stanowiska niezależnego patrioty gruzińskiego, by zadeklarował swą współpracę z radziecką władzą, by pisał w tym duchu pojedzenia się. Przekonywali go, że potrzebny jest narodowi, a w obozie marnuje się bez pożytku dla nikogo.

Odmówił. "Zabraliście - powiedział - wszystko, wolność, rodzinę, kraj ojczysty. Został mi tylko honor. Zostawcie go". Nie nalegali dłużej, zapytali, gdzie chciałby wrócić. Odpowiedział, że na stare miejsce. Dotrzymali słowa. Wrócił. Potoczyły się znowu rozmowy o Gruzji, o obyczajach przechowujących dawną rycerskość, o wyprawach alpinistycznych w górach Kaukazu. Lewan i w tej dziedzinie miał godne uwagi osiągnięcia. Potem losy rozdzieliły nas. Spotkałem go już po oswobodzeniu się. Wyjeżdżał do Gruzji. Żegnaliśmy go na dworcu, właściwie na przystanku w tundrze. Było ze trzydziestu Gruzinów i ja. Wypiliśmy gruzińskim obyczajem po szklance wina na pożegnanie. W kilkanaście lat później miałem wiadomości: Gotua mieszkał w Tbilisi, otoczony był szacunkiem rodaków, pisał, wydawano jego poezje, wystawiano sztuki.

Odbyliśmy wreszcie te barne trzy miesiące. Rozrzucano nas teraz po różnych kopalniach, ja trafiłem na trzecią. Obóz tej kopalni liczył ponad dwa tysiące więźniów. Byli tam niemal sami Ukraińcy. Spotkałem też około trzydziestu Polaków, przeważnie młodych.

Stosunki z Ukraińcami były dobre. W obozie było spokojnie, ani jednego błatnego.

W "kawecze" pracowałem tutaj jako organizator życia kulturalnego młody skrzypek Redyk, Polak. On zaprotegował mnie do biblioteki. Pracowałem w niej trzy miesiące. Dobrze wspominam tę pracę. Poza stałymi dyżurami w bibliotece - blisko dwa tysiące książek - obchodziłem baraki górników niosąc w skrzynce ze trzydzieści książek. Wybierałem łatwiejsze i mniejsze książki z rosyjskiej klasyki. To dawało rezultaty, przynoszone książki "rozchodziły się".

Wtedy też wpadłem na pomysł zorganizowania szkoły. Pomysł akceptowano. Znaleźli się chętni do nauki, znaleźli się też nauczyciele, którzy zaofiarowali swą pracę bezinteresownie. Na tych okazuje się można wszędzie liczyć. Wydzielono nieduży pokój w baraku. Zrobiliśmy sami tablicę, pomalowali, <sup>znieśli</sup> ~~mieścili~~ kilka stołów i ławek. Szkoła ruszyła. Trzydziestu uczniów, w tym czterech naszych, uczyło się arytmetyki, czytania i pisania po rosyjsku. Poziom czwartej klasy szkoły podstawowej. Szkoła była jeszcze czynna, gdy opuszczałem obóz idąc na oswobodzenie latem pięćdziesiątego czwartego roku.

Ostatnie miesiące pobytu w obozie pracowałem w buchalterii obliczając zarobki więźniów w kopalni. Praca ta - po przeszkoleniu na Szu-2-szła mi lekko.

Pora jednak wrócić myślą do naszego strajku w Północnym Rejonie, zastanowić się nad widocznymi już jego rezultatami i spróbować ogólnej oceny.

Nasz bunt opłacony był przecież dużymi ofiarami. Sttu a może dwustu ludzi straciło życie. Siedmiuset ludzi przeszło przez więzienie i kilkumiesięczne ograniczenie sztrafniaka. Prawie rok temu żegnaliśmy swoje zbuntowane obozy z niepewnością, ale i z nadzieją i oczekiwaniem zmian. A teraz widzieliśmy rezultaty. Pozytywne i znaczne. Byłoby rzeczą nierozsądną i megalomanią przypisywać

je właśnie naszemu buntowi. Zmieniła się ogólna sytuacja polityczna w Związku Radzieckim, zmienili się ludzie kierujący krajem, ale nasz bunt odegrał niewątpliwie znaczną rolę w zmianie polityki władz w stosunku do więźniów i obozów. Był - być może - tą kroplą, która przepełnia naczynie i powoduje zmiany. A były one pozytywne i znaczne.

1. Zmienił się w sposób zasadniczy stosunek wszystkich władz obozowych - od szeregowych ochrowców do nadzoru politycznego i naczelnika obozu oraz kierownika wszystkich służb. Teraz nie poniewierało brutalnie człowiekiem.

2. Przy każdym obozie zbudowano dom widzeń. Miał ten barak dwa wejścia <sup>jedno</sup> do obozu, drugie z zewnątrz. W środku było kilka małych pokoi wyposażonych w łóżka, stoły i krzesła. Gdy teraz przyjeżdżał ktoś z rodziny do więźnia, ten otrzymywał zwolnienie z pracy na dziesięć dni i mógł ten czas spędzić z ojcem czy z żoną. A ci najbliżsi przyjeżdżali.

Pewnego razu żona aresztowanego przed czterema laty więźnia przywiozła małego dzieciaka. Szczęśliwy ojciec przyniósł go do obozu. Co się wtedy działo! Górnicy odebrali mu synka, brali na ręce, nosili po obozie wzruszeni, kupowali mu w obozowym sklepiku smakołyki, zamówili w pracowni buciki i ubranko. Widziałem też w oczach starego szachtora niosącego chłopca. Wzruszeni byliśmy wszyscy nie wyłączając ochrowców.

Dyscyplina mocno się rozluźniła. Patrzone przez palce, że ktoś z przyjezdnych wszedł do obozu. Pamiętam starego Ukraińca <sup>S</sup> pod Charkowa, oprowadzał go syn w asyście gromadki więźniów. Był w stołówce, zjadł obiad, zobaczył, że z obozu wywożą nie zjedzony przez więźniów chleb. Było tego ze dwieście kilogramów. "A u nas chleba brakuje!" - powiedział stary, rozpłakał się i obejrzał lekliwie.

3. Zaczęto zwalniać małoletnich. Zwolniony został z tego tytułu wspomniany lwowiak Janusz Guttry, o czym się później dowiedzia-

łem, zostawiłem go przecież na Szu-2.

4. Rozpatrywane są od nowa sprawy więźniów skazanych zaocznie przez osławione trójki OSO /osoboje sowieszczanie/. Pewnego dnia przyszło wezwanie do normirowszczyka, który pracował w sąsiednim pokoju. Unieważniono wyrok, zrehabilitowano go zupełnie, przyznano bilet partyjny, przysłano mundur i wszystkie bojowe odznaczenia i wezwano do Moskwy. W czasie wojny był pułkownikiem, lotnikiem. Uścisnął nam ręce i tegoż dnia wyjechał.

5. Zniesiono wszystkie ograniczenia w korespondencji i przysyłaniu paczek.

6. Wprowadzono "zaczoty". Za jeden dzień pracy w kopalni odliczano trzy dni wyroku. Przy pracach na powierzchni odliczano półtora dnia.

7. Zniesiono naszywane łatki z numerami i literami. Pozwolono nosić dłuższe włosy, można było mieć cywilne ubranie. Przechowywano je zwykle w "kamerze chranienia". Więźniowie mieli już pieniądze, zaczęli szyc sobie koszule i ubrania, gotując się do wyjścia za druty. Materiały kupowano w obozowym sklepiku. U wielu bowiem zbliżał się koniec wyroku. I ja tak się przygotowywałem, kończyłem swoją dziesiątkę za około trzy miesiące.

# OSWOBODZENIE, POWRÓT

## Workuta - Warszawa 1954-1955

Nadchodziło lato 1954 roku. Życie w obozie trzeciej szachty płynęło spokojnym nurtem. Górnicy pracowali normalnie. Sami dbali o porządek w pracy, dbali o swe zarobki, zbliżały się przecież zwolnienia, dla wielu z nich dobiegał końca dziesięcioletni wyrok. Kopalnia wypełniała codzienny plan wydobywania.

Obozowy reżim bardzo zelżał. Dom widzeń był stale zajęty, wciąż przyjeżdżali w odwiedziny ojcowie więźniów, ich żony. Urozmaicone było życie kulturalne. Była biblioteka, były książki, czynna była szkoła. Odbywały się widowiska. Wystawiono własnymi siłami sztukę z życia Kozaków, urządzono koncert-składankę. Przyjechał z podobnym koncertem teatr miejski z Workuty, odwiedziła obóz objazdowa kultbrygada, a niebywałą radość wywołało przybycie żeńskiego zespołu z sąsiedniego kobiecego obozu z występami. Wszystkie te widowiska odbywały się w klubie, to znaczy w połowie zwykłego baraku odmalowanego i przyozdobionego efektownie przez warszawskiego malarza pokojowego Zirera, polskiego Żyda.

Uprzątnięto też teren i przygotowano boisko sportowe, na którym odbyły się dwa mecze piłki nożnej z drużyną czwartej szachty. Pozwolono nawet przyjść czwartakom, a naszym na rewanżowy mecz na czwórkę.

Wielu górników kończących wyroki otrzymało prawo wychodzenia za zonę. Nawiązaliśmy dzięki temu kontakty z przebywającymi już na wolności Polakami <sup>z Polkami</sup> w obozie na cegielni. Nawiązywał te kontakty Staszek Dębowski, który od niedawna mógł już wychodzić z obozu. Powiało innym wiatrem.

Najsilniej jednak wpłynęły na atmosferę w obozie zaczynające się zwolnienia. Zwolniono aresztowanych małoletnich, a także skazanych przez OSO, przeprowadzano rewizję wyroków.

Niektórzy więźniowie kończyli swe dziesiątki i wychodzili na wolność, a większość dobiegała do końca. Ludzie kupowali ręczniki, materiały, szyli koszule, a nawet ubrania. Zapanowała atmosfera nadziei i wyczekiwania.

Tak było i wśród naszych. Postanowiliśmy zbierać po dziesięć rubli dla każdego wychodzącego z obozu. Zbierało się początkowo po trzysta rubli, później po sto kilkanaście. Trzymaliśmy się razem. Wielkanoc świętowaliśmy wszyscy, nikt z naszych nie wyszedł na szachtę. Umożliwił to sprzyjający nam nariadczyk Gabrylian, Ormianin. Odbyło się w baraku świąteczne spotkanie. Były potem kłopoty, dochodzenia, kum się srożył. Ktoś doniósł.

I ja miałem mocne przeżycia w tym okresie. Wygarnąłem przybyłemu niedawno do naszego obozu Jankowi Z., że źle się zachowuje - chodził z nożem - że był partyzantem w AK, że nikt go nie zwolnił z żołnierskiej przysięgi. Po trzech dniach wezwał mnie kum i zaczął dopytywać o moją sprawę, czy byłem w AK - wiedział dobrze o AK! - ile mam do końca wyroku. Trzy miesiące - odpowiedziałem. Huknął wtedy na mnie, że może mi nową dziesiątkę dodać za to, co ja tu robię, ale wreszcie wygonił mnie z trzaskiem, Aż mróz przeszedł mi po kościach, prawdziwy strasz mnie ogarnął. Potem domyśliłem się, że to ten nasz "błatniak" doniósł. Był to jedyny znany mi przypadek zdrady wśród naszych, nie licząc znanego z afery "kask" Załugi. Szczęśliwie skończyło się na tym.

Latem 54 roku kończyłem przygotowania. Miałem już dwie koszule, dwa ręczniki, szyli mi ubranie. Zamówiłem sobie walizę klejoną z worków po cemencie. Miałem na rachunku osiemset rubli. Na początek wystarczy. Zdobyłem kilka adresów Polaków mieszkających w Drugim Rejonie. Pracujący w łaźni Józef

Ławrynowicz obiecał mi nocleg na kilka dni. Byłem całkowicie przygotowany do wyjścia z obozu, co miało nastąpić za jakieś półtora miesiąca. Radość i niecierpliwość wypełniały oczekiwanie.

C           Naraz wezwano mnie do "urczu"<sup>x/</sup> i dano mi "biegunkę" kartę, z którą musiałem obiegać wszystkie obozowe służby - bibliotekę, kaptiorkę, buchalterię itd. - i uzyskać potwierdzenie, że rozliczyłem się ze wszystkimi. Mam być gotów na jutro. Odbieram więc niedoschniętą walizkę, pakuję bieliznę i ubranie, biegam za pieczętkami, że nic nikomu nie jestem winien, żegnam się z kolegami. Zapakowaną walizkę wynosi z obozu Słazek Dębowski i lokuje ją na kilka dni u mieszkających na wolności Polaków. Wieczorem ostatnia gawęda z naszymi. Krótka, bezsenna noc mija szybko. Rano konwojent ~~ochrowiee~~ prowadzi mnie i dwu Ukraińców z Podola na "pieresyłkę", do obozu, z którego wypuszczają na wolność. Po kilku kilometrach drogi wchodzimy do tego ostatniego obozu.

Na pieresyłce kilkudziesięciu ludzi oczekuje na zwolnienie. Spotykam tu kilku naszych, wśród nich młodego lekarza Kiedę. Mijają męczące dni wyczekiwania wypełnione dość pustymi rozmowami. Wreszcie ładują nas po kilku na ciężarówki i rozwożą po różnych "komendanturach", gdzie będziemy się w przyszłości meldować co pewien czas.

Trafiam z kilku Ukraińcami do komendantury w Drugim Rejonie. Dają nam do podpisania jakieś druki. Ukraińcy podpisują i wychodzą wolni, uprzedzeni o obowiązku zameldowania się po dwu tygodniach. Ja czytam swój druk i znajduję wzmiankę, że odnosi się on do obywateli radzieckich. Odmawiam podpisania, jestem

x/ Urcz - biuro rejestrujące przepływ więźniów.

obywatelem polskim, stwierdzam. Komendant, sierżant, nalega, żebym podpisał. Stanowczo odmawiam. "Odeślę cię do obozu z powrotem" - grozi. "Odwoż" - mówię podniesionym głosem. I rzeczywiście tą samą ciężarówką wracam do obozu niesamowicie zdenerwowany.

W obozie awantura. Wrócił podobnie Kiedo i jeszcze trzech Polaków. Interpelujemy energicznie w kierownictwie obozu. Naczelnik nic nie może pomóc. Żądamy prokuratora. Po kilku godzinach przyjeżdża do obozu prokurator NKWD, pułkownik, kobieta. Wie już, o co chodzi, usiłuje nas przekonać, że musimy się podporządkować zarządzeniom władz, że nie ma się przy czym upierać, że w gruncie rzeczy jesteśmy obywatelami radzieckimi. Kategoriecznie protestujemy, wywodzimy swoje prawne racje. Ponad godzinę trwa spór. Prokurator nie ma odpowiedzi na nasze prawne wywody. Takie są zarządzenia władz radzieckich - to jej jedyny argument.

Na drugi dzień wiozą mnie do tej samej komendantury. Dostaję do podpisania ten sam blankiet. Biorę, piszę u dołu, że będę przestrzegał wszystkich przepisów i zarządzeń władz, że nie zamierzam <sup>nie</sup>uciekać, ale jestem i pozostaję obywatelem polskim. Będę pracować i starać się o pozwolenie na legalny wyjazd do Polski. I to oświadczenie podpisałem. "Etogo chwatit? Czy to wystarczy?" - spytałem. Komendant huczał jeszcze i groził, ale zwolnił mnie wreszcie z obowiązkiem codziennego meldowania się. Na złość, za karę! Opuściłem komendanturę zły i zirytowany.

Ruszyłem prosto przez tundrę, wolny wreszcie. A tundra bujna, zielona, w pełnym rozkwicie. Po kilkunastu krokach zapominam o komendanturze. Nikt nie idzie za mną. Idę, jak chcę. Przystaję, rozglądam się dokoła, znowu ruszam, ciągnę w kierunku osiedla. Jestem wolny. Ale czuję się dość zwyczajnie, nie bucha ze mnie radość. I tak naprawdę zwyczajnie rozpoczynam to swoje życie na wolności. Idę. A jednak dobrze, że sobie idę sam i nikt

mi się nie wtrąca w moje myśli. Nie filozofując długo idę dalej i po czterdziestu minutach dochodzę do osiedla, odnajduję dom, w którym mieszkają Polacy, gdzie jest moja waliza z ubraniami. Dotąd ubrany jestem po obozowemu, mam na sobie tlełogrejkę, buszlat.

Wchodzę, podaję swoje nazwisko, witam się z kilku osobami. Są tu trzy dziewczyny i dwaj mężczyźni. Wszyscy młodzi. Nie wiem kto tu mieszka, kto przyszedł w odwiedziny. Na pewno kilka osób mieszka w tej jednej izbie. Przebieram się w kącie, pakuję swe waciaki do pustej teraz walizki samodiełki. Jeszcze golenie i jestem podobny do ludzi. Dziękuję za "pierwszą pomoc" i po krótkiej rozmowie wychodzę. Trzeba się rozejrzeć, odnaleźć Ławrynowicza, zapewnić sobie nocleg, a potem poszukać innych Polaków. Józef przyjmuje mnie życzliwie na kilka dni. Od niego dowiaduję się o innych Polakach. Poznaję rodzinę Dziurzynskich, i doktora Makowskiego, kierownika przychodni lekarskiej. Później gościny udzielają mi Niemcowie. On pracuje w miejscowych Zakładach Naprawczych - Remz-2 - ona wychowuje dwu kilkuletnich chłopców. U nich spotykam Edmunda Greczanika. Radość spotkania święcimy butelką.

Najpilniejsza teraz sprawa to nawiązanie kontaktu z żoną. Na szczęście od niedawna można bez przeszkód wysyłać listy do Polski. Wysyłam więc pierwszą wiadomość o oswobodzeniu i proszę o odpowiedź na poste restante. Jest jeszcze kilka innych ważnych spraw do załatwienia.

Trzeba rozpocząć starania o pozwolenie na wyjazd do kraju. Już od paru tygodni rozpoczęły się indywidualne wyjazdy. Trzeba zebrać potrzebne dokumenty i złożyć podanie do OWIR-u, urzędu wydającego wizy wyjazdowe. W następnym liście proszę żonę o przysłanie metryki urodzenia i poświadczenia obywatelstwa pol-

skiego oraz zgody władz polskich na mój powrót do kraju.

Trzeba koniecznie szybko znaleźć jakąś pracę i zacząć zarabiać na utrzymanie. Zaczynam więc obchodzić biura kopalń, gdzie spotykam dawnych przełożonych. Spotykają mnie życzliwie, ale pracy u nich nie znajduję. Tego właśnie lata przysłano na Workutę kilkudziesięciu absolwentów techników górniczych i obsadzono nimi stanowiska ekonomistów, buchalterów i inne. Szukam więc dalej, a jednocześnie staram się poznać żyjących już na wolności rodaków, a także tych, co dopiero wychodzą z obozów. A wychodzi ich coraz więcej. Robi się jakoś świątecznie. Obchodzę kolejne osiedla: Drugi Rejon, Kapitałkę, Czterdziestą, Przeszachtną, moją workucką ojczyznę - Północny Rejon, Rudnik, Cegielnię. Wszędzie spotkania, wizyty, rozmowy. Przekazują mi z rąk do rąk.

Docieram do Zachodniego Rejonu. Odnajduję tu na dwudziestej piątej Żeromskich. Józef pracuje tu jako szofer. Jego żona była przed dziewięciu laty razem z moją żoną w obozie, zanim się obie oswobodziły. Długo opowiada mi pani Helena o ich wspólnych obozowych losach. Chłonę to opowiadanie, dopytuję o każdy szczegół. Była z nimi jeszcze Klementyna Grzesiakowa, żona znanego harcerskiego działacza, twórcy sławnej drużyny czarnej trzynastki wileńskiej. Na osiemnastej pracuje stary wierny towarzysz Mawian Świerczyński z trzeciej brygady AK.

Tu mieszkają Walerian i Stanisława Jackiewiczowie z trojgiem dzieci. Ludzie zacni, przemili, bez cienia niecierpliwości znoszą ciągle naloty gości. Tu każdy może się zatrzymać na dzień czy dwa. I ja korzystam z ich gościnności. Ich dom staje się wkrótce ośrodkiem polskiego życia w Zachodnim Rejonie. Trzeba jeszcze wspomnieć zacnego Piotra Dakiniewicza, pracującego w sowchodzie na farmie krów. Tamże pracują Jan i Jadwiga Gąsowscy z synem Cześkiem.

Po ostatnich zwolnieniach zaroilo się w Zachodnim Rejonie od Polaków. Było nas tu - bo i ja tu w końcu osiadłem - ponad pięćdziesiąt osób. Wszyscy byli jakoś urzędzeni, znaleźli pracę i skromne mieszkanie. Wszyscy złożyli podania do OWIR-u i czekali na decyzję. Dużo Polaków przebywało tu jeszcze w obozach. Zdobywali oni stopniowo prawo wychodzenia poza druty i oswobadzali się. Niektórzy budowali nawet własne domy, zmawiając się do tego po kilku.

Drugim takim ośrodkiem polskiego życia na Workucie stał się wkrótce dom Edmunda i Natalii Weberów w Drugim Rejonie. Edmund - wolny już od kilku lat - pracował w zakładach remontowych REMZ-2. Miał dobre zarobki, dwupokojowe mieszkanie. Żona wychowywała mu dwu synów. Oboje byli młodzi, przyjaźni ludziom, przygarniali chętnie rodaków. Rojno i gwarno było u nich niemal w każdą niedzielę. Śpiewano, bawiono się, a nieraz i potańczono. Nie obyło się i bez kieliszka. Weberowie brali czynny udział we wszystkich naszych wspólnych poczynaniach. Kiedy postanowiliśmy wynająć pokój, gdzie mogliby znaleźć punkt oparcia wychodzący z obozów, Natalia pierwsza obiegrała cały Drugi Rejon zbierając pieniądze na ten cel. Edmund obfotografował ważniejsze wydarzenia, spotkania, pogrzeby. Dobrze się oboje zasłużyli, cieszyli się też ogólną sympatią i uznaniem.

W samym mieście też było kilka domów, gdzie mieszkało po kilku naszych, gdzie ściągali i zatrzymywali się chętnie inni w soboty czy w niedziele. Mieszkał tu z żoną starszy Polak Poznań, technik wynalazca. Prawdopodobnie odbył też karę i pozostał na stałe w Workucie. Wyjeżdżał tylko jesienią na urlop do Gruzji. Garnęła się do nich nasza młodzież.

W centrum Workuty mieszkał z Greczanikiem i dwoma Rosjanami doktor Michał Raubo, poczciwy i bardzo kochany. Nocowa-

łem u niego często. Od niego to zbierałem się do odjazdu wracając do kraju. Tu wróciła z Norylska żona Greczanika po uwolnieniu. Kiedy oboje dostali pokój w ogólnym baraku, ten ich mały kąt stał się nowym punktem, gdzie niemal co niedzielę zbieraliśmy się my starsi, by pogawędzić, podyskutować - czasem gorąco - czy wymienić informacje. Bywali tam poza mną Świerczyński, dr Raubo, Żminkowski, dr Kiedo i inni.

Tuż obok elektrowni mieszkał z urodziwą żoną i synem elektryk Kwiatkowski. Niedaleko osiadł z żoną Hucułką i synkiem Żyd z Warszawy Bek, buchalter. U niego spotykali się i Polacy, i Ukraińcy.

Tak po całej Workucie i w samym mieście, i we wszystkich rejonach, we wszystkich osiedlach rozsypali się Polacy, w zależności od tego, gdzie komu udało się znaleźć pracę i jakiś kąt mieszkalny.

Po dłuższych poszukiwaniach zakotwiczylem się na siedemnastej szachcie. Pomógł mi stary towarzysz z Szu-2, Anatol Iwanowicz, Niemiec z Krymu. Oswobodził się przed rokiem, był teraz zastępcą naczelnika oddziału planowania na siedemnastej. Przyjął mnie do siebie na stanowisko statystyka. Co ważniejsze, zaoferował mi pokój w swym mieszkaniu na osiedlu przy kopalni. Sam przebywał najczęściej u żony, lekarki w osiedlu Mulda o kilkanaście kilometrów dalej. Znowu się udało, pomogła przyjaźń i życzliwość. I jak tu nie stawiać na nie! Byłem więc całkowicie urządzony. Miałem własny pokój, to najważniejsze. Miałem też pracę dobrze mi znaną, nieciężką, choć słabo opłacaną. Wystarczyło jednak na skromne utrzymanie. Kilka miesięcy jakoś wytrzymam, a przecież wyjazd do kraju chyba niedaleki.

Potoczyło się teraz zwyczajne, codzienne życie. Rano na ósmą, położonym przez tundrę drewnianym chodnikiem, na kopalnię. Kilometr drogi. Teren kopalni ogrodzony drutem, na rogach straż-

nicze ~~wszkij~~ wejście przez wachtę. W dużym pokoju "płanczasti" pracuje nas <sup>kilka</sup> sześć osób: naczelnik oddziału, dwu ekonomistów i specjalista od budownictwa kopalnianego i osiedlowego. To jeszcze więźni obozu, my pozostali - wolni.

Zarabiam 750 rubli miesięcznie, ekonomiści - po 1500, a naczelnik blisko 5000. Skąd takie różnice? To sławne "siewiernyje", czyli północny dodatek. Wolny obywatel otrzymuje po roku pracy na Workucie dziesięć procent dodatku. Dodatek ten rośnie z każdym rokiem. Kto przepracował tu dziesięć lat, otrzymuje podwójną pensję. Nasz naczelnik, który pracuje na północy już jedenasty rok, otrzymuje właśnie takie pobory. "Siewiernyje" mają wyrównywać trudne warunki klimatyczne i zachęcać młodych do przyjazdu tutaj do pracy. Dodatkowym bodźcem jest dłuższy o dwa tygodnie urlop i o czas przejazdu koleją. Zachęty te działały dość skutecznie, stopniowo przybywało do Workuty coraz więcej ludzi wolnych. Workuccy górnicy dobrze byli znani na Krymie i w Soczi. Przyjeżdżali tu na długi urlop i bawili się z rozmachem, nie liczyli się z groszem.

Godzinną przerwę południową wykorzystujemy na obiad. Obok kopalni jest nieduża stołówka. Można tu zjeść obiad z mięsny daniem za kilka rubli. Po obiedzie dalszy ciąg pracy. Wolny czas zajmuje pisanie listów, lektura, odwiedziny sąsiadów i gawędy z nimi. Tak mija tydzień.

W sobotę po południu jadę przepełnionym autobusem do miasta. Zatrzymuję się u doktora Raubo i Greczanika. Zawsze są jakieś nowości. Wyjechał już doktor Makowski i kilku innych. Edmund dostał list od żony z Norylska. Oswobodziła się, zamierza przyjechać do męża do Workuty. Ma też Edmund wiadomości od córek. Młodsza, harcerka, jest jeszcze w liceum. Starsza studiuje prawo. Ja opowiadam o żonie, kierownicze szkoły w Warszawie. Potem idziemy na pocztę. Spotykamy tu dużo rodaków.

Odbieramy listy z Poste-restante, wysyłamy swoje. Spotykamy się też na obiedzie w stołówce. Teraz już tylko szybkie zakupy - chleb, masło, cukier - i powrót wieczornym pociągami. A od poniedziałku normalny tydzień pracy do następnej niedzieli.

Zapadła już zima. Od października trzymają tęgie mrozy. Śnieg pokrył tundrę. Granatowe w lecie pasmo Uralu na wschodzie pobielalo, świeci jaskrawo w słońcu. Mało jest jednak pogodnych dni, częściej jest szaro i wietrzno. Dokuczliwe są wichury przy mrozie, a szczególnie taka kilkudniowa purga, kiedy wichur miecie śniegiem to z jednej, to z drugiej strony, że świata nie widać, a zaspy rosną i zmieniają kształt. Drogę do kopalni wyznaczono sznurem rozpiętym na wysokich tyczkach. W szalejącej wichurze, kiedy nic nie widać, wiatr często zmienia kierunek, łatwo zbłądzić nawet na krótkim dystansie. Wszyscy uciekają wtedy do domu, gdzie też jest chłodno, wiatr wywiewa całe ciepło. Lepsze są już chyba bezwietrzne dni, a właściwie noce - bo stają się teraz coraz dłuższe - kiedy trzydziesto- czterdziestostopniowy mróz ścisnie ziemię i stoi taka głucha, dzwoniąca cisza. Zmarznięty śnieg chrzęści pod nogami/<sup>i</sup>idącego przez tundrę słyhać z daleka.

Mam na szczęście odkupiony jeszcze w obozie kożuszek, czapkę uszankę i dobre rękawice, a stare walonki pożyczył mi szef. Nie boję się więc mrozów. Później przywykliśmy zresztą i do wiatrów, i do mrozów, chodziliśmy do siebie "nie wziraja na pagodu", nie zwracając uwagi na pogodę. Trzeba było tylko pocierać nos i policzki od czasu do czasu.

Chodziłem do swoich często. A ciągnęło, ciągnęło... Najbliżej było do pana Piotra, do sowchozu tuż za torem kolejowym. Ciągnęły się gawędy. Opowiadał Dakiniewicz o dwudziestym roku

i o partyzantce pod Jaszunami w czasie ostatniej wojny. Dostawał też listy od żony i rezolutnej córki Wandy. Mieszkały w Wilanowie. Czytaliśmy listy od swoich pań, komentowali. Znalazł się też zawsze kubek mleka. Potem ściągnął tu jeszcze Tadeusz Matysiak, też ochotnik z dwudziestego roku i akowiec. W środku zimy zamieszkał jeszcze u pana Piotra ksiądz Bronisław Drzepecki, człowiek dużej kultury i bardzo prostych obyczajów, pogodny, serdeczny i mądry. Radził, ofiarowywał posługę kapłańską, prowadził modlitwy, spowiadał, udzielał ślubu, podtrzymywał na duchu. Prawdziwy autorytet moralny. Potem musiał wyjechać na Syberię, a gdy mu nie pozwolono zatrzymać się w Tomsku u siostry, ruszył do Kazachstanu, gdzie odnalazł Polaków wysiedlonych z Ukrainy w czasie kolektywizacji.

Nieco dalej, ze dwa kilometry, było do osiedla osiemnastej kopalni. Tu, w ciasnym pokoiku w baraku przy torze kolejowym, mieszkały cztery młode Polki: Stenia, Janeczka, Wanda i Halina. Pracowały w służbie zdrowia i na kopalni. Ciągnęliśmy tam wszyscy. I starsi, jak ja z Marianem Świerczyńskim, ale przede wszystkim młodzi jak Staszek D<sup>u</sup>źniak, Paweł i inni. Miło było spotkać dziewczęcy uśmiech, usłyszeć dźwięczny młody głos. Lubiliśmy je bardzo wszyscy.

Dalej na wzgórzu mieszkali w osiedlu Stanisława i Walerian Jackiewiczowie z trojgiem dzieci. Tu było prawdziwe "centrum" polszczyzny, do którego ciągnęli Polacy z całego Zachodniego Rejonu. Nie było tygodnia, żebym i ja nie zaszedł. Tu wieczorami zawsze można było spotkać kogoś ze swoich, a nierzadko bywało nas więcej. Rozmowom nie było końca. Były i wspomnienia, ale na ogół niechętnie wracaliśmy do minionych zdarzeń i dni, ciążyło każdemu nielekkie ich brzemie. Częściej pojawiały się sprawy bieżące, dzisiejsze. kłopoty i trudności. Najczęstsze były informacje dotyczące wyjazdu. Wszyscy złożyli podania do OWIR-u.

port

Omawiano, kto już wyjechał, jakie miał przy tym perypetie. Nie obyło się bez dyskusji na temat przedwojennych stosunków w Polsce czy domysłów, jak tam jest obecnie. Dzieliliśmy się wiadomościami z otrzymywanych listów, a niebawem zaczęły przychodzić gazety, czasopisma i książki. Do dziś pamiętam pierwszy numer Przekroju, a później "Poemat dla dorosłych" Ważyka. Chętnie śpiewaliśmy, a zdarzało się, że i potańczyliśmy, jako że Waler miał adapter i sporo płyt, a lubił i umiał obrócić się czy wyciąć obertasa. Było komu potańczyć, bo przybyło do Rejonu kilkoro młodszych. I tak w tej przyjaznej, pogodnej atmosferze odżywaliśmy. Prostowaliśmy się. Prawdziwie dom Jackiewiczów stał się największym ośrodkiem polskiego życia w Workucie. Staliśmy się wszyscy dłużnikami tych ofiarnych i zacnych ludzi, wielce dla sprawy polskiej zasłużonych.

Wiele było rozmaitych okazji do spotkań, na przykład pogrzeby. Zmarło w ciągu tego roku oczekiwania dwu naszych towarzyszy niedoli: Soldinger, Żyd z Warszawy i *Władysław Łukawski*. Na ich pogrzebach spotykała się solidarnie cała polska społeczność. Długie orszaki odprowadzające zmarłych budziły zdziwienie miejscowych Rosjan.

Więcej na szczęście było okazji do weselszych spotkań. Imieniny Heleny Żeromskiej i Stanisławy Jackiewiczowej były naprawdę tłumne i wesołe. Zjeżdżali na nie goście z całej Workuty.

Były i nabożeństwa, na przykład majowe, były i śluby. Były też wieczorki z odczytami i dyskusjami, z deklamacjami i śpiewami, z tańcami.

Ludzie byli solidarni, pomagali sobie wzajemnie. Wszyscy pomagali wychodzącym z obozów na wolność, czym kto mógł, czy to informacją o pracy, czy przygarnięciem na kilka dni, póki eswobodzony nie znalazł sobie jakiego kąta. Wynajęliśmy ze składek

pokój w Drugim Rejonie dla oswoadzających się. Nasi lekarze udzielali porad bezpłatnie. Przykłady. Odnaleźliśmy na osiedlu Wargaszor polską rodzinę, o której doszły nas słuchy, że jest w trudnościach. Dwu z nas pojechało tam, stwierdziło, że nasz kolega jest w tarapatkach finansowych, a jego żona jest poważnie chora od dłuższego czasu. Pomógł mały zastrzyk pieniędzy, a do chorej pojechały nasze dziewczęta z osiemnastej pracujące w służbie zdrowia. Pobrały próbki, przeprowadziły analizę i stwierdziły, że to soliter. Teraz wyleczono chorą szybko. Kiedy indziej jednemu z naszych groził pobiciem i próbował wymuszenia jeden podejrzany typ. Poszła do niego delegacja sześciu naszych chłopców i wytłumaczyła mu, że lepiej zostawić naszego w spokoju. Pomogło. Wspomniany pan Piotr dawał przez cały rok mleko jednej z chorych naszych dziewcząt. Kilka tych przykładów dobrze ilustruje przyjazne stosunki w naszej społeczności. Dobra w niej panowała atmosfera, nie słyszało się o żadnych nagannych postępkach Polaków. To nie idealizowanie, o które tak łatwo przy wspomnieniach. Tak było naprawdę. Należy stwierdzić, że Polacy w Workucie byli już od chwili aresztowania grupą elitarną, wyselekcjonowaną. Przecież to byli patrioci, chłopcy z szeregów AK, czy też ludzie inaczej w sprawy polskie zaangażowani. Wypada tu dodać stwierdzenie. Byliśmy szanowani przez workucką bardzo mieszaną narodowościowo społeczność. Polacy umieli się w tej mieszance narodowościowej znaleźć. Czuli się w niej swobodnie, naturalnie, byli tolerancyjni, nauczyli się rozumieć odrębności innych, byli przyjaźnie nastawieni do ludzi. Jeszcze jedno wyraźne stwierdzenie: nie odczuwaliśmy niechęci ani wrogości do Rosjan czy Ukraińców, choć tyle od nich ucierpieliśmy. My i nasz kraj. Nauczyliśmy się rozróżniać radziecki system państwowy od Rosjan, wśród których znajdowaliśmy najlepszych przyjaciół. Z całą dobitnością stwierdzam: doznałem w ciągu

tych dziesięciu lat obozowej niewoli wiele bezinteresownej pomocy. Bez niej nie przeżyłbym tak pomyślnie tych koszmarnych lat, a pewnie nie przeżyłbym ich w ogóle.

Muszę tu wypowiedzieć myśl, która długo we mnie dojrzewała tu w Workucie. Polacy muszą w przyszłości ułożyć dobre, przyjazne stosunki z Rosjanami i Ukraińcami. I ułożą je tak. To możliwe i konieczne. Dziś po latach dodam: dokonają tego narody prawdziwie wolne, decydujące same o swych losach.

W maju 1955 roku duża gromada ludzi z Zachodniego Rejonu i z całej Workuty zjechała na dwudziestą piątą szachtę do Zeromskich, na imieniny lubianej powszechnie pani Heleny. Były serdeczności, życzenia i uściski, jadło różnorodne w obfitości i napitki wszelakie. Potańczyliśmy i pośpiewali.

Niektórzy już odjechali, a my, bliżsi sąsiedzi z dwudziestą szóstą, z osiemnastą i siedemnastą, zbieraliśmy się pomału, gdy ktoś przyniósł wiadomość: Świerczyński Marian, Stenia Szantyr i Staszek Duźniak dostali wizy wyjazdowe. Skończyła się zabawa. Zabraliśmy się i my ostatni i ruszyliśmy pieszo całą gromadką do osiemnastą, a ja jeszcze dalej ku siedemnastą. Zabawa wyparowała nam natychmiast z głów, wszystkie myśli skierowały się ku wyjazdowi. Zazdrościłem Marianowi i Steni. Pomyślałem z żalem, że nam ich tu braknie. Ale nie ma przecież rady.

Po kilku dniach odprowadziłem Mariana do autobusu, podałem mu ciężką walizę. Pojechali w trójkę, zabrali adresy, polecenie odwiedzenia naszych bliskich, obiecali pisać. Zaczęło się odtąd czekanie. Dłużyło się coraz bardziej. Nie do wiary, jak zabrakło nam tych najbliższych, jaką pustkę zostawili. Wkrótce wyjechał i pan Piotr. Wyszedł z obozu doktor Zwino-grodzki, wpadł do mnie po południu, a przegadaliśmy cały

wieczór i pół nocy. Zabrał czasopisma i książki.

Nagle przychodzi zawiadomienie; Duża grupa Polaków wyjeżdże w końcu listopada do kraju. Szykują cały pociąg. Jestem na liście. Są też Greczanikowie, Lisowscy, Weberowie, doktor Raubo, doktor Kiedo, doktor Buryło, dużo młodych. Zbieramy się. Na szachcie żegnają mnie przyjaźnie, dostaję na pamiątkę od dyrekcji pochwalny list - paczotnuju gramotu. Żegnam się z Jackiewiczami, z Wandą, która zostaje sama z czwórki dziewcząt. Zabieram walizę, jeszcze tę samodielekę z obozu, i jadę do Workuty, by tam kończyć przygotowania.

Zatrzymuję się u kochanego doktora Michasia Raubo i razem robimy ostatnie zakupy. Kupuję radio i łóżko polowe. Pakujemy się. Odwiedzamy zaprzyjaźnionych Rosjan i pozostających jeszcze rodaków. Ostatniego listopada dostajemy "suchy pajok" - chleb i kiełbasę. Zamówiona ciężarówka zabiera jeszcze kogoś po drodze i zawozi nas na dworzec. Tu już tłumno i gwarno. Zmawiamy się z Greczanikami i kilku bliższymi znajomymi, by trzymać się razem. Tak lokujemy się w jednym przedziale ciepłuszki. Ostatnie godziny czekania. Żegna nas duża gromada pozostających. Ostatnie uściski i pożegnania. Płacz. Oddaję w ostatniej chwili Wandzi puszystą uszankę, nie będzie<sup>mi</sup> już potrzebna. Ruszamy powoli. Pozostawiamy za sobą Workutę z jej szachtami, z jej obozami i całym NKWD, z dziesiątkami tysięcy więźniów, ze wszystkimi koszmarami, ze wspomnieniami wszystkich bieg i klęsk. Zostawiliśmy tu dziesięć lat swego życia. Zostawiliśmy też trochę przyjaciół wśród swoich i obcych. Zamykamy ten rozdział.

2

Pociąg złożony z kilkunastu wagonów osobowych sunie powoli na południe. Wagon ciepłuszka - to kilkanaście przedziałów, w każdym dwupiętrowe półki, miejsce na sześć osób. Parter zaj-

172  
16

mują Greczanikowie, ja i doktor Michaś Raubo - pierwsze, doktor Kiedo i Michaś Tatarżycki - drugie piętro. Urządzamy się nieśpiesznie w tej ciasnocie. Okna zalodzone, nic nie widać. Mróz trzyma tęgi, koło trzydziestu stopni. Bierzemy od konduktorki wagonu kapiatok, zaparzamy herbatę i spożywamy pierwszą kolację. Jest i kura, jest i kieliszek. Zadbali o to Edmund i Laskowik. Lokujemy się na spoczynek, ale sen nie bierze. Schodzę cicho na dół, idę ku końcowi wagonu, a tam doktor Michaś wychuchał okienko w zalodzonej szybie i wygląda przez nie. Chce zobaczyć, kiedy zaczną się lasy, tajga. Na razie tylko zaśnieżona tundra.

Rano, kiedy nieco pojaśniało, przeprowadzamy powoli - bo ciasno - najkonieczniejsze zabiegi toaletowe, golimy się i spożywamy śniadanie. Jesteśmy już daleko od Workuty, ujechaliśmy kilkaset kilometrów.

Inta. Tu zabieramy znowu gromadkę Polaków. Wieczorem dojeżdżamy do Pieczory. Tu znowu Polacy. Zbieramy tak naszych aż do Uchty. Jest nas już z półtora tysiąca.

W wagonie ciasno, duszno, ciepło. Godziny ciągną się nieznośnie. Polegujemy, skracamy włokący się czas rozmową, próbujemy grać w brydża. Trochę czytamy, ale światło jest nięgle. Wjechaliśmy już w strefę lasów. Niewiele jednak możemy zobaczyć, wracamy więc do rozmów.

Żona Edmunda, Maria, opowiada o Norylsku, w którym przebywała ostatni rok. To zachodnia Syberia, dalej na północ od Workuty. Nowe zupełnie miasto w sąsiedztwie Igarki i Dudinki, portów rzecznych na Jenisieju. Wydobywa się kobalt, nikiel i inne cenne "metale kolorowe". Klimat sroższy niż w Workucie. Miasto, kopalnie, huty w budowie. Ruch jak w młynie. Bardzo ciężkie warunki bytowania. Dużo przestępców. Dwa razy sama znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Doktor Michaś opisuje swój pobyt w "Sangorodku", małym

~~niekiedy~~ obozie przeznaczonym dla zagrożonych i chorych na gruźlicę. Swoista odmiana „Czarodziejskiej Góry Manna”.

Przypominam Edmundowi, jak to w trójkę z Garniewiczem jechaliśmy dziesięć lat temu na Workutę. A teraz my dwaj wracamy, a on został osadzony ponownie i dostał dodatkową dziesiątkę za „wrogą agitację”. A było to tak. Garniewicz został zatrudniony od samego początku jako buchalter, miał więc pomyslnie warunki bytowania w obozie. Pod ~~koniec~~ <sup>przełomem między trzecim</sup> roku jego sąsiad, z którym nieraz wygadywali na obozy i NKWD, może i na Stalina, zdradził go, zrobił donos, a później poświadczył to na rozprawie sąłowej. Odbyła się też inna rozprawa i zapadł wyrok. Stukacz pożegnał się wkrótce z życiem. A Garniewicz wrócił szczęśliwie do kraju po pięćdziesiątym szóstym roku w ramach ogólnej repatriacji.

I tak jedziemy kilkanaście dni. W nocy przejeżdżamy przez peryferyjne dzielnice Moskwy. Tylko luna świateł zdradziła wielkie miasto. A potem już Ukraina - Kijów, Fastów. Przelatujemy te miasta prawie nie zatrzymując się. Dwugodzinny postój we Lwowie wykorzystuję, by wpaść do Janusza Guttry'ego. Nie zastałem go niestety w domu.

Wreszcie ostatnia stacja. Przygraniczna. Sklep, w którym można coś kupić za ostatnie ruble. Pobieżna rewizja bagaży. Wsiadamy do polskich wagonów i późno w noc odjeżdżamy ku granicy. Oczekiwanie. Milczymy wzruszeni. Po pewnym czasie pojawia się w wagonie pierwszy Polak. Młody, zuchowaty, w sportowej kurtce i czapce. Upewnia nas z uśmiechem, że jesteśmy w Polsce. Ogarnia nas cicha radość. Nikt nic nie mówi. Uśmiechy. Zasypiany odprężeni.

Budzimy się już w kraju. Wyglądamy ciekawie przez okna. Wzgórza i doliny. Wsie i małe domy, ogródki otoczone sztachetami, wąskie pasy pól. Małe to wszystko, drobne, ale chędogie, zadbane. Dostajemy pierwszy polski biały chleb i kiełbasę. Przygotował

to Polski Czerwony Krzyż. Wczesnym wieczorem dojeżdżamy do Nowego Sącza. Tu zorganizowano duży punkt przyjmujący repatriantów. Nie jesteśmy pierwsi, wraca dużo ludzi.

Powoli wyładujemy się z pociągu. Czekają tłumy. Wybiegam peronami ku dworcowi. Jakiś starszy pan pyta mnie, czy przyjechał tym transportem Cierpiński. Potwierdzam. Wracam do pociągu, wołam młodego Cierpińskiego, informuję go, że ojciec przy wyjściu czeka. Ktoś znowu woła, ktoś pyta. Cierpińscy padają sobie w objęcia. Ogólne wzruszenie, w gardle coś ściska, oczy wilgotnieją. Spotykam młodego człowieka z moich stron. To Grela z Charsznicy. Informuje mnie o mojej rodzinnej wsi Chodowie, o moim bracie stryjecznym lekarzu, docencie w Krakowie, podaje mi jego adres. Powoli lokujemy się w ośrodku repatriacyjnym, to chyba stare koszary wojskowe. Zmęczenie bierze górę. Zasypiamy.

Od rana sprawy. Fotografowanie się. Telefonuję do liceum w Rabce, proszę, by zawiadomili profesora Dynera o moim przyjeździe. Wysyłam depezę do brata w Krakowie. Podoba mi się Sącz, uporządkowany, schludny. Kupuję piękne jabłka po pięć złotych kilogram. Wieczorem rejestracja. Rano następnego dnia otrzymujemy papiery repatriacyjne i po tysiąc złotych zasiłku. Zbieramy się z Greczanikami na popołudniowy pociąg do Krakowa.

Już na dworcu wpada Dynier, mój przyjaciel serdeczny, najpierwszy. Mocny, braterski uścisk. Wzruszenie nie daje mówić. Patrzymy sobie tylko długo w oczy. Władek mieszka z żoną i dwojgiem dzieci w Rabce. Pracuje w Liceum dla wychowawczyń przedszkoli. Zawiadomili go. Ruszył natychmiast do mnie. Jakaż radość! Długa, nie kończąca się, spieszna, urywana, przeskakująca z tematu na temat rozmowa w pociągu. Władek jedzie ze mną do Krakowa.

W Krakowie przesiadka. Przenosimy swe rzeczy. Czekamy w tłumie na warszawski pociąg. Mówią mi, że ktos pytał o mnie. Rozglądam się. Tak, to jakaś pani. Zwracam się ku niej i dostrzegam za jej plecami brata. Władysław zabiera mnie do siebie na szybką kolację i odwozi zaraz na dworzec. A tu już Greczanikowie i Dynier załadowali nasze rzeczy do pociągu. Pożegnanie i odjazd.

Noc przedrzemaliśmy w pociągu. Od Warki już nie śpimy. Zaczynają się rozmowy, pytania. Ludzie patrzą na nas zdziwieni. Skąd, tak daleko i tyle lat!

Nareszcie w Warszawie. Stary dworzec. Ranek chłodny, pochmurny. Wilgotno po nocnym deszczu, a to przecież piętnasty grudnia. Jakiż inny świat: wyjeżdżaliśmy dwa tygodnie temu przy trzydziestu stopniowym mrozie! Na peronie spotyka nas Teresa, młodsza córka Edmunda. Wpada moja żona. Pędziła ze szkoły, z dalekiego Bródna. Pierwsze przywitanie się. Ładujemy nasze bagaże do taksówki i żona zabiera nas do siebie.

Praga, Nieporęcka, drugie piętro w starym domu, malutki miły pokój. Co za szczęście! Edmund wzdycha, żeby to taki kąć dostać w Gdańsku, do którego otrzymali skierowanie. Po śniadaniu Greczanikowie wyjeżdżają do Mławy, do starszej córki Basi. Zostajemy sami. Nareszcie! Po dziesięciu latach jesteśmy znów razem. W domu.

# WIDOMU. WORKUTA POWRÓCIŁA

WARSZAWA 1955 - 1990

Małenki pokój w centrum Pragi wydał mi się szczęśliwą przystanią po burzliwych latach wojny, okupacji, więzień i obozów. Odnależliśmy się z żoną po dwunastu latach rozłąki. Było ciepło i pogodnie, przypominały się miodowe miesiące. Okazało się, że jesteśmy oboje zdrowi i silni, choć to pięćdziesiątka siedziała mi na karku. Byłem znikomy wszystkim. Wysłuchiwałem wieczorami opowieści żony. Wypytywałem o jej powrót, o rodzinę, o przyjaciół.

Z najbliższej rodziny przeżyli wojnę wszyscy. Sześć siostr z rodzinami żyje w Miechowskim na wsi. Stryjecznego brata Władysława spotkałem już w Krakowie. Żyją najserdeczniejsi przyjaciele - Władysław Dyner w Rabce /spotykał mnie już w Sączu/, malarz Adam Dobrzański i adwokat Władysław Zięba, obaj w Krakowie. W Katowicach mieszka Józef Pieter, w Warszawie Pierzan i Korniszewski. Jest tu też kilku miechowiaków.

W ciągu dnia, gdy żona wyjeżdżała do szkoły, chętnie przesiadywałem w domu, gdzie było tak zacisznie i miło. Pisałem listy, dużo czytałem, chciwie chłonałem gazety i książki. To znów wrywałem się na miasto.

Warszawa wydała mi się szara i smutna w zimowych deszczach i chłodach. Ale i ludzie byli jacyś przygaszeni, lichoburani, zmęczeni i bez uśmiechu. Ulice też poszarzały, ubogie były wystawy sklepowe, mało było światła i reklam, a wieczorami ciemno. Najbardziej dojmujące były nie usunięte jeszcze ruiny, nie odbudowane jeszcze domy. Ileż zniszczenia tu się dokonało! Ale ruch na ulicach duży.

Pojechaliśmy na Marszałkowską. Duże wrażenie robi nowy

jej fragment MDM - Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa. Trochę to za uroczyste, za sztywne i mało ożywione, ale cieszy.

A wreszcie Pałac Kultury. Ogrom, a taki dziwny i obcy mimo tej attyki z nadmiernie wysokimi pałkami. Ogromny plac i tyle pustki dokoła. Na wprost Pałacu na ruinie domu ogromna makieta spadającej bomby z napisem NIE. Wstrząsające. Kapitalny pomysł Trepkowskiego.

Stare Miasto już pięknie odbudowane. Śliczne uliczki, stare mury, Barbakan. Żona pokazuje mi, dokąd sięgały zwały ruin, gdy szła tędy pierwszy raz w czterdziestym siódmym roku. Pokazuje, gdzie były ścieżki i przejścia, miejsce, gdzie przysiadła na stosie cegły, gdzie zapłakała i zdecydowała: tu zostanę.

Cudowny fronton katedry. Dobrze, że odbudowano ją w pradawnej formie. Wnętrze harmonijne, czysty surowy gotyk, ale bardzo tu jeszcze pusto, gołe ściany. Wystuchuję ze ścisniętym sercem opowieści żony o wojennych losach katedry, o tym, jak ją zobaczyła w ruinie po powrocie z Workuty.

Po kilkudziesięciu krokach nowy cios: ruiny Zamku. Pozostał z niego nie uporządkowany do końca plac ze szczątkami murów, fragmentów rzeźb i kolumn. Straszne. Kiedy my to odbudujemy? Czy w ogóle odbudujemy?

Z góry cudowny widok na odbudowany jak cacko Mariensztat, na Wisłę, na Pragę. Schodzimy na dół koło kościoła św. Anny. Tu nowość - tunel otwierający przełot na zachód. Mądre, celowe rozwiązanie. To cieszy, podobnie jak cała nowa trasa W - Z z Mostem Śląskim. Żona opowiada, jak to przy budowie tunelu mocno podcięty grunt zaczął tępać zagrażając fundamentom kościoła. Inżynier Cebertowicz zastosował wtedy zastrzyki betonowe w ziemię dla ustabilizowania podłoża, a sam w krytycznych minutach stał w kasku na ambonie i obserwował mury

179

świętyni. Wytrzymały. Pomogły jego wynalazcu zastrzyki z be-  
tonu. Wracamy na Pragę przez Most Śląski o ileż lepszy od  
starego Kierbedzia. To pierwsze spotkania z Warszawą.

A w domu cicho, ciepło, serdecznie i... ciasno. Toż  
to ledwie jedenastcie metrów. Piszę listy. Cieszę się ze spot-  
kan. Jan Pierzan, polonista, przyjaciel jeszcze z Siennicy,  
jest dyrektorem liceum im. Władysława Czwartego. Świetny pe-  
dagog i organizator, trzyma szkołę na wysokim poziomie.  
Feliks Korniszewski, psycholog, wrócił z żoną Zofią, z dziec-  
mi Adamem i Ewą z Genewy, gdzie przez kilka lat reprezentował  
Polskę w Międzynarodowym Biurze Wychowania. Pracuje obecnie  
w Instytucie Pedagogicznym, żona ma zajęcia w Filharmonii  
Narodowej, a wysoce utalentowane dzieci uczą się w szkole  
muzycznej. Ciągłe opowiadania, serdeczności, wzruszenia.

W niedzielę ~~Idziemy~~ przez całkowicie już odbudowany  
Nowy Świat. Ciągniemy dalej przez arakowskie Przedmieście.  
Odbudowane. Jakże tu pięknie! Stoi Pałac Staszica, jest Ko-  
pernik, jest Mickiewicz, ale znów utykamy w pustkę po zburzo-  
nym Zanku.

Wieczorem długa opowieść żony o powrocie z Workuty i  
z Wilna. Po dotarciu do Wilna nie znalazła w mieszkaniu  
żadnego śladu po naszych meblach i ubraniach. Zabrali je wi-  
docznie lokatorzy, którzy mieszkali po nas. Zatrzymała się  
kątem u nieznajomych. Nie otrzymała od razu pozwolenia na  
wyjazd, musiała więc podjąć pracę w krawieckim artelu. Od  
władz więziennych uzyskała zwrot obrączki i paru drobiazgów  
zabranych przy aresztowaniu. Oddano jej nawet moją teczkę.  
Minęła zima i dopiero późną wiosną, po urządzeniu prawdziwej  
awantury jakiemuś rosyjskiemu pułkownikowi uzyskała zezwo-  
lenie na wyjazd.

Na prośbę pani Marii Rzeuskiej z Polskiego Urzędu

Repatriacyjnego zgodziła się zabrać z sobą kilka skrzyń z polskimi książkami dla profesora Lorentza. Dojechała z nimi towarowym pociągiem do granicy polskiej. A tu nowy kłopot. Sowieccy pogranicznicy nie przepuszczają skrzyń z książkami, brak jakiegś bunagi. Podobną biedę ma jeszcze jedna pani i inżynier wracający do kraju w tymże pociągu. Wyruszają oni do Wilna, by uzyskać konieczne zezwolenie. Zaczyna się czekanie. Wagony stoją w polu w odległości pół kilometra od polskiej granicy. Na szczęście jest lato, ciepło. Żona pitrasi sobie w menażce jakieś posiłki i czeka. Na noc skrupulatnie zasuwa drzwi wagonu. Pogranicznicy pogadują, namawiają do pozostania w Związku Radzieckim. A czas leci. Zgodnie z wizą wyjazdową został tylko dzień do przekroczenia granicy. Ponieważ inżynier nie wrócił do tego momentu, żona zdecydowała się wyjechać, pozostawiając zamknięty i zaplombowany wagon z książkami na opiece sowieckich pograniczników. Nadszedł długi pociąg złożony z kilkudziesięciu pustych odkrytych wagonów. Wsiadła do jednego z nich. Przed samą granicą pogranicznicy sprawdzili wagony opukując je żelaznymi prętami. Zmieniła się załoga, polscy kolejarze przejęli pociąg i poprowadzili go przez granicę na Korze i do Olsztyna. Od granicy zaczął się inny świat. Skończył się spalony, bezludny kraj, tu toczyło się normalne życie, zaludnione były wsie, zagospodarowane pola.

Tak dotarła żona do Olsztyna, stąd jechała już normalnym osobowym pociągiem do Warszawy.

Po wyjściu z dworca ruszyła na Targową, do apteki naprzeciw Ząbkowskiej. Oddała tu właścicielowi paczuszkę od jego brata, tego inżyniera z wagonu. Tu też udzielono jej noclegu na pierwsze dwie noce. Gdzie tu się ruszyć? Stała na rogu Ząbkowskiej i Targowej, tu duży ruch, może spotka kogoś znajomego. Rzeczywiście po godzinie przechodziła tędy Janka

Iwanczewska, koleżanka szkolna sprzed wojny. Ta zaciągnęła ją na wystawę zamykającą rok szkolny. Tu spotkała starszą koleżankę, z którą pracowała jeszcze w Siennicy. Wiackowa zabrała ją do siebie i udzieliła schronienia w przepelnionym już domku na Grochowie. W ciągu dwu tygodni nocowała tu w łazience.

A teraz praca. Nie było problemu, co robić. Wraca do szkoły. Janka ciągnie do szkoły na Ząbkowskiej, w której sama pracuje. Na strychu, gdzie sama z dwoma synami mieszka, jeszcze jest miejsce. Ale inspektor Nowakowski posyła żonę na Annopol, brak mu tam nauczycieli. Kusi perspektywą małego pokoiku, który zwolni się, bo obecny lokator przenosi się do dwu pokoi w tymże mieszkaniu po śmierci jego sąsiada. Zona godzi się więc na trudną pracę na dalekim Annopolu, podpisuje umowę, a po dziewięciu dniach zajmuje ten pokój, w którym się dziś gnieździmy.

Po kilkunastu dniach, kiedy nacieszyliśmy się sobą, kiedy obejrzałem już Warszawę, jedziemy na Nowy Rok do Chodowa, do rodzinnego domu. Żyją tu trzy moje siostry, Zosia, Józia i Bronia z rodzinami, w sąsiednich Zagorzycach mieszkają Hela z Ludwiką, a w niedalekich Przegławicach Jaga.

Dojeżdżamy. Z dala już widzę dom z czerwonej cegły. Nie byłem w nim szesnście lat. Gospodarzy w nim najstarsza siostra Zocha z mężem Antkiem, który przywiózł nas furką z dworca kolejowego. Witany się. Przyglądamy się sobie. Jakże znać ciężkie przeżycia okupacyjne i powojenne, a głównie ciężką harówkę tych szesnastu lat na twarzy Zosi! Ale to nic, znów jesteśmy razem. Jest dobrze, serdecznie.

W domu jest ludno. Zosia ma siedmioro dzieci, wszystkie już dorosłe. Do przedwojennej trójki przybyło jeszcze czworo.

Zaczyna się rozmowa, właściwie jest to obustronne dopytywanie się. Zmarł w czasie wojny kochany dziadzius, nasz opiekun po wczesnej śmierci obojga rodziców. Jeszcze na łożu śmierci dopytywał: Nie wrócił ta Franus? Z najbliższej rodziny żyją wszyscy. Zmarł tylko w Oświęcimiu wujek Mucha. Dowiaduję się, że zginęło w czasie wojny kilku kolegów szkolnych: Sakłak, Stano, Chwastek, Kownas. Kończymy późny wieczór zmęczeni, uspokojeni.

Na drugi dzień po południu zaroilo się w domu, przybyły wszystkie siostry z mężami, z dziećmi. Okupacja przeszła im dość gładko, dopiero po wojnie zaczęły się prawdziwe biedy.

Mąż najmłodszej Broni, akowiec, komendant miejscowej partyzantki, został aresztowany <sup>czterdziestym siódmym roku</sup> w ~~pięćdziesiątym roku~~, przeszedł brutalne śledztwo i wyrok śmierci, zamieniony na dziesiątkę. Wypuszczono go przed miesiącem ze zrujnowanym zdrowiem, z otwartą gruźlicą. Czy wróci do zdrowia?

Zochu inną przeżywa z Antkiem tragedię. Oparli się przymusowej kolektywizacji, kiedy to "zachęcano" chłopów do zapisywania się do spółdzielni rolniczej. Zachęty, a raczej groźby były różne. Spędzono na przykład raz wszystkich mężczyzn, zagnano ich do odległego wąwozu i grożono wystrzelaniem. Ale część gospodarzy oparła się. Nie wstąpił i Antek. Rozbito mu więc gospodarzę. Zabrano mu czternaście hektarów dobrze uprawionej ziemi na rzecz spółdzielni, a przydzielono wzamian ziemię w trzynastu kawałkach rozrzuconych w różnych miejscach, nawet w sąsiednich wsiach. Zrujnowano gospodarstwo.

- Wiesz - mówi Zosia - jakeśmy tu harowali. Na tym polu nie ma miejsca, gdzie by moja noga nie stąpnęła, a teraz serce mi się kraje, gdy widzę, jak na moim polu Franek Szczepka się krząta, bo akurat jemu je przydzielili.

Gospodarstwo rzeczywiście w ruinie. Bije w oczy bezsens tej brutalnej, przymusowej kolektywizacji. Chodzą teraz słuchy,

że spółdzielnia zostanie zlikwidowana, a grunta wrócą do właściwych gospodarzy. Ale zdrowia nikt nie wróci, krzywd nie naprawi.

Ściemnia się, nadchodzi zimowy wieczór. Siadamy do stołu. Gwarno, ciasno, ale miło. Ciągną się gawędy, przeplatają się pytania i odpowiedzi. Zaczynamy wreszcie śpiewać, nasz dom był zawsze rozśpiewany. Idą kolędy i różne stare i nowe piosenki. Śpiewamy i o góralu, co to odszedł z gór dla chleba, i o burzy, co huczy wkoło nas, i o kalinie, co rosła w gaju nad potokiem. Uleciały gdzieś zmartwienia i troski, zrobiło się ciepło i przytulnie jak dawniej.

Aż zaśpiewaliśmy starą piosenkę, jak to brat żegnał się z siostrą odchodząc w świat daleki

kiedy idziesz na kraj świata,  
mój braciszku, bywaj zdrowy.  
Bywaj zdrowy, bywaj zdrowa,  
żegnały się dwie sieroty.

A choć mu nie brakowało  
ani soli, ani chleba,  
ale wszystko to za mało,  
bo swojego nie miał nieba.

I napisał liścik drobny  
złotookim piórkien pawia,  
lecz tak smutny i żaloszny  
że co słowo to zakrwawia.

Ale tu załamały się nasze głosy, nie dokonczyliśmy piosenki, przemogło wzruszenie. I mnie, nie nawykłemu do rozczulania się, głos się zmienił i zamrugalem jakoś podejrzenie. Zrobiło się trochę zamieszania, które przerwał Antek podnosząc kieliszek. Długo jeszcze siedzieliśmy przy stole.

Po kilku dniach żona wróciła do Warszawy, a ja zanurzyłem się w Polskę. Trzeba się przecież napatrzeć, trzeba wszystko od nowa zobaczyć, sprawdzić, trzeba tylu ludzi spotkać, nagadać się, nacieszyć.

W Krakowie zatrzymuję się u brata Władysława, który odnalazł mnie na dworcu, gdy jechałem z Sącza do Warszawy. Mieszka u niego najmłodszy z braci Józef, inżynier. Dowiaduję się, jak zginął młodszy od Władysława o rok Stanisław, w rodzinie Taju, lotnik. Stracony w jednym z nalotów na Niemcy przebywał z lotnikami angielskimi i holenderskimi w oflagu w Żaganii. Uciekli, ale wyłapano wszystkich osiemnastu i wszystkich rozstrzelano. Znowu ciągną się wieczorami gawędy i opowiadania. Dobrze mi tu i ciepło.

We dnie brodzę po Krakowie. Ocalał na szczęście! Kochane stare mury, znam tu każdy kąt. odwiedzam je teraz niespiesznie. Czcigodny Wawel, Grodzka z tylu starymi kościołami: świętego Andrzeja, świętego Piotra, dominikanów i franciszkanów z cudownymi witrażami. Rynek z Sukiennicami i Ratuszową Wieżą. Nieporównana uroczysta głębia Mariackiego. Ołtarz // Stwosza w konserwacji, ale jakże szczęśliwie wrócił do kraju. Tyle radości!

A tuż obok szukam starej tabliczki wmurowanej w ścianę kościoła świętej Barbary, którą wypatrzyliśmy z Dynierem jeszcze za studenckich czasów. Jest! Odczytuję powoli niewyraźny już napis:

Optimae Feminae Annae Filiae  
Jacobi coniugi Amantissimae  
Georgius hoc Monumentum  
posuit Anno MDXL

Przed kilkuset laty wzniosł ten pomnik mąż ukochanej swej żonie Annie. Amantissimae! I do dziś świadczy ten kamień o żywych ludzkich uczuciach. Marmur zachował też małą kamienną główkę kobiecą. Odchodzę wzruszony.

Ciągnę Floriańską do Bramy, do Barbakanu. Stoją staruszki! A oto i Akademia Sztuk Pięknych, gdzie odnajduję Adama Dobrzańskiego. Docent, malarz, witrażysta i najlepszy obok Dynera przyjaciel.

Innego dnia zachodzę na uniwersytet. Wchodzę na stary, kopernika pamiętający dziedziniec Collegium Maius. To tu odbywały się sobotnie uczone dysputy. Jakże pięknie wygląda teraz po zdjęciu tynków! Tonę w radości.

Zaglądam do Collegium Novum, chodzę po znajomych korytarzach, zatrzymuję się na drugim piętrze przed salą, w której słuchaliśmy wykładów Konopczyńskiego o liberum veto, Sobieskiego o reformacji, Kota o stosunkach Polski z Zachodem. Przed trzydziestu laty zdarzyło się, że weszliśmy z kolegą spóźnieni przez te właśnie drzwi na proseminarium profesora Piotrowicza. Spytał o nazwiska.

- Król, Książek - odpowiedzieliśmy, a cała sala, chyba ze dwieście osób, gruchnęła śmiechem. Zabawny incydent udobruchał surowego profesora, a my dwaj staliśmy się na dwa tygodnie najbardziej znanymi studentami. Palcami nas pokazywano, gdy szliśmy razem jak zwykle.

Zachodzę do Wyższej Szkoły Pedagogicznej po drugiej stronie ulicy Straszewskiego. Zbiegają się koledzy z mojego rocznika, dziś doktorzy, profesorowie: jest Wawrzoń, Hulewicz, Garbacik, Słowikowski. Dopytują o wszystko, na co skrótowo odpowiadam. Prowadzą mnie do rektora Mysłakowskiego. Znowu opowiadanie.

Jeszcze spotkanie u Dobrzańskich, na które zjawili się Ziębowie, Wilk, Skalski. Po rozejściu się gości Adam mówi mi, że jego matka modliła się za mnie codziennie, aż do swej śmierci przed dwoma laty. Tyle wspomnień, tyle wzruszeń.

A potem ruszyłem do Rabki, do Dynera. Poznaje jego żonę Irenkę, dwoje dzieci w wieku licealnym Arzysia i Joasię i babcię. Ciepłutko i pogodnie w domu, choć bardzo skromnie. Oboje uczą w szkołach. Gawędy i wspominki zaczynają się do późna w noc. Tu już przyszła prawdziwa zima. Przed południem jestem sam, łażę więc po okolicy na nartach, które dostałem od brata Władka. Cieszę się ruchem, małymi zjazdami i cudownymi widokami na Grzebien, na Lubon, na Babią Górę.

Po dwa tygodniach jadę do Zakopanego na spotkanie z bratem, który wpadł tu na tydzień w przerwie między zajęciami w Akademii Medycznej. Zaczyna się białe szalenstwo, roztropnie zresztą stopniowane. Dawno nie byłem przecież w górach. Antałówka, Pod Reglami, Dolina Białego, Gubałówka, Kalatówki, Kasprowy... Ileż chwil zachwytu, ile radości z podejść i zjazdów, z rosnącej z każdym dniem sprawności. To były szczytowe momenty. A fundował wszystko brat, od nart i butów poczynając.

Po powrocie do Krakowa jeszcze kilka wypadów: to do Jaśka Kruszca do Niepołomic, to do stryja Stacha do Miąsowej pod Kielcami, to do Józka Pietera, organizatora i rektora katowickiej WSP.

Wróciłem do domu w początkach marca. Jak jedna chwila mignęły te trzy miesiące spotkań i wędrówek, miesiące ponownych zaślubin z krajem. Miesiące te były radości pełne, ale przyprószone dostrzeganiem wszędzie przygnębieniem, poczuciem ograniczeń, krzywd i ubezważnowolnienia.

Wszystkie dziedziny życia objęte były tym trędem. Tragedia kolektywizowanej przymusowo wsi. Tragedia szkoły, gdzie bezpieka miała swoich stukaczy w każdej klasie. Tragedia nauczyciela, który jak popychle pędzony był do wszelkich posług,

do agitacji za kolektywizacją, do wyborów, do spisów, do pomocy w zbiorach. Zakłamanie prasy i radia. Panoszenie się partii i aparatu bezpieczeństwa niszczące wszelką inicjatywę, wszelkie oznaki niezależności. Wszystko było pod naciskiem potężnej ręki Związku Radzieckiego.

Nie zniewolono jednak całkowicie społeczeństwa, nie wytopiono do cna wolnej, niezależnej myśli, nie złamano cichego oporu wsi. Przyszły wydarzenia październikowe pięćdziesiątego szóstego roku i powrót Gomułki. Przyszło nieco więcej swobody, ograniczono wszechwładzę bezpieki, pozostawiono wieś w spokoju. Wzrosły nadzieje.

Zacząłem szukać pracy. Za radą kolegów nie wróciłem do szkoły. Znalazłem ją w wydawnictwie "Iskry". Kierownictwo i redaktorzy byli ludźmi młodymi. Panowała tu dobra, liberalna atmosfera. Przyjęto mnie dobrze. Pracowałem głównie nad serią podręczniczą "Naookoło świata", ale podejmowałem i inne inicjatywy. Dobra to była praca. Zanurzyłem się w nią z ochotą. Miałem poczucie sensu tej roboty, było też miejsce na własną inicjatywę. Spotykałem tu wielu interesujących ludzi - pisarzy, tłumaczy i wydawców. Bezpośrednie stykanie się z takimi ludźmi jak Fiedler, Lepecki, Wankowicz, Osmańczyk, Grzędziński, Jaszunski, Centkiewicz, Korabiewicz, Budrewicz, Adamiecki, Wolański, Kapuściński, Dziewanowski, Woźniakowski dawało satysfakcję. Przynosiły też zadowolenie bezpośrednie kontakty z "zagranicznymi" - Heyerdahlem, Lundquistem, Dolcim, Merim, Huntem, panią Feyein, a pośrednie nawet z Henigwayem i Steinbeckiem. A ileż radości dawały spotkania z alpinistami - Ostrowskim, Huntem, Długoszem, Skoczylasem, czy też z żeglarzami - Teligą, Baranowskim i Urbanczykiem.

W ciągu siedemnastu lat mej pracy w "Iskrach" przeszło przez moje ręce sto trzydzieści książek w nakładzie ponad sześciu milionów egzemplarzy. To był kawał roboty. Doobrze "czułem ją w rękach" - i dokonania, i trudności, i potknięcia. Nie bez żalu żegnałem się z Wydawnictwem odchodząc na emeryturę.

Na sprawy kraju patrzyłem stosując przemiennie dwa punkty widzenia:

- Wspominałem, jak to było przed wojną i jaką Polskę zamierzaliśmy odbudowywać po jej zakończeniu,

- porównywałem wciąż nasze życie z życiem radzieckiego społeczeństwa.

W tej przemienniej perspektywie obraz naszego kraju zniszczonego wojną i zniewolonego narzuconą "opieką" nie wydawał mi się już tak beznadziejnie szary. Społeczeństwo nasze nie było całkowicie zniewolone, broniło się. Była nadzieja na przemiany. Należało tylko wytrwać, a tymczasem pracować uparcie, odbudowywać i budować na każdym polu, w każdej dziedzinie. Zdawałem sobie sprawę, że większe przemiany mogą przyjść tylko równocześnie z przełomem w Związku Radzieckim. Mówiłem, gdy mnie pytano, że zmiany tam przyjdą, gdy społeczeństwo radzieckie stanie się zamożniejsze, gdy przestanie tam zagrażać głód, gdy dojdą do pełnego męskiego wieku miliony wykształconych ludzi, gdy wzrosną ich potrzeby, gdy nie da się ich izolować od reszty świata w dobre radia i telewizji.

A szły wydarzenia budzące nadzieje. Był październik pięćdziesiątego szóstego roku i powrót Gomułki, repatriacja setek tysięcy więźniów i przesiedlonych ze wschodu, odstąpienie od przymusowej kolektywizacji wsi, uzyskanie pewnej niezależności, była "polska droga", *nie prowadząca masy daleko.*

Były też załamania. Rok sześćdziesiąty ósmy przyniósł

zawstydzającą interwencję w Czechosłowacji, usmierzenie ruchów studenckich i bezsensowną falę antysemityzmu. Tragiczne wydarzenia w Gdańsku w roku siedemdziesiątym kompromitowały komunistyczne rządy, podobnie jak załamanie gospodarcze i polityczne końca lat osiemdziesiątych.

Narastał tymczasem ruch oporu zwieńczony strajkiem stoczniowców, narodzinami solidarności i wybuchem entuzjazmu związanego z tym wydarzeniem. <sup>Tragedia stanu wojennego.</sup> A wreszcie przyszedł zaskakująco nagle upadek systemu komunistycznego w <sup>siedem</sup> ~~siedem~~ <sup>osiem</sup> ~~osiem~~ dziesiątym dziewiątym roku, radość i trudności w budowaniu demokracji i nowego ładu społecznego i gospodarczego.

Przeżywałem to wszystko głęboko, całą duszą, od pierwszych lat. Od początku prowadziłem czynny tryb życia. Szybko też otrząsnąłem się całkowicie z obozowych koszmarów, z męczących początkowo snów prześladowczych. Praca, rodzina, przyjaciele, wydarzenia i przemiany w kraju wypełniały mi świat.

Niespodziewanie, po trzydziestu kilku latach, Workuta wróciła do mnie. A stało się to tak.

W lutym dziewięćdziesiątego roku odwiedził mnie jeden z moich młodych obozowych przyjaciół Mirosław Hentosz. Osobliwe były jego losy. Radzieckie władze długo nie zezwalały mu na wyjazd. Wrócił do kraju dopiero w sześćdziesiątym dziewiątym roku, po dwudziestu pięciu latach od chwili aresztowania! Wrócił z żoną Rosjanką i trojgiem dzieci. Przyjaciele pomogli mu znaleźć pracę, uzyskać mieszkanie. Dzisiaj Mirek jest już emerytem, żona cenioną nauczycielką, a dzieci dorosły, usamodzielnili się, pozakładały własne rodziny.

W styczniu bieżącego roku Hentosz był z żoną w Workucie, odwiedził swego szwagra, górnika. Przywiózł stamtąd numer gazety "Zapolarie", z którym do mnie przyszedł. Gazeta zanies-

ciła mapkę workuckich obozów, kopalni i cmentarzy z czasów stalinowskich, a także apel miejscowego oddziału Towarzystwa "Memoriał" o pomoc we wznesieniu w Workucie pomnika ofiarom prześladowań. Odzwała się daleka Workuta!

Krótką była nasza narada. - Włączymy się! - postanowiliśmy. Napisaliśmy więc od razu apel do kolegów workucian, na odwrocie załączyliśmy mapkę, odbiliśmy na ksero dwieście egzemplarzy i rozeszaliśmy to wśród swoich. Napisaliśmy jednocześnie do workuckiego oddziału Towarzystwa "Memoriał" zgłaszając swój udział i wyrażając życzenie, by w pomniku został wyraźnie zaznaczony los Polaków, którzy ginęli w workuckich obozach.

Sprawa rozwinęła się pięknie. Starzy towarzysze obozowi nie zawiedli. Od żyjących jeszcze stu kilkunastu starych ludzi, emerytów, wpłynęło do dziś - sierpień 1990 - blisko cztery miliony złotych. Wysłano już - dzięki życzliwej pomocy radzieckiej ambasady - dwa tysiące rubli na rzecz pomnika. Towarzystwo "Memoriał" przyjęło z radością nasz udział, przyrzekając spełnić nasze życzenie. Uradziliśmy, że na pomniku znajdzie się płyta z brązu ze stosownym napisem polskim i rosyjskim oraz z akowską kotwicą. Niech to będzie upamiętnienie polskich ofiar. Niech to będzie skromny wkład w dzieło lepszego zrozumienia się i przyjaznego zbliżenia naszych narodów. Tej sprawie poświęcimy resztki naszych sił. A na odsłonięciu pomnika w 1991 roku wybiera się już sześciu naszych towarzyszy.

Tak to Workuta jeszcze raz wróciła w moje życie.